

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



Niedokończona  
gawęda



*Maria Kurecka*

# Niedokończona gawęda



Tower Press  
Gdańsk 2000

Projekt okładki  
*Dariusz Szmidt*

Opracowanie graficzne  
*Pracownia Graficzna „Linus”*

Skład i łamanie:  
*Jerzy M. Kołtuniak*

Na okładce wykorzystano zdjęcia Autorki  
pochodzące z archiwum rodzinnego

Z rękopisu przygotowała  
*Ewa Czerwiakowska*

Redakcja  
*Sonia Cynke*  
*Antoni Pawlak*

Korekta  
*Barbara Bukowska-Przychodzeń*  
*Elżbieta Smolarz*

Wydanie pierwsze

© Copyright by Leszek Szaruga & Tower Press, Gdańsk 2000

ISBN 83-87342-20-3



Tower Press  
Gdańsk 2000

## [ I ]

„Noskum prolepija benedikatvirgomaria – sęs anż gardję veje sjur nu!”

Niezrozumiały ten okrzyk wydobył się pomieszaniem chórem z przeszło stu młodych ust. Dziewczynki, podlotki i dorosłe już panny tkwiły w równo wyciągniętych szeregach. Dopiero suchy trzask dwóch niewielkich deszczułek w rękach wysuniętych z czarnego zakonnego habitu rozerwał karną spoistość. Z przeszło stu ust wyrwał się przeciągły okrzyk ulgi, gromada rozpierzchła się w mig jak stado spłoszonych wron: rozległy się krzyki, piski, śmiechy, nawoływania. O boisko zadudniła piłka. Zafurkotały granatowe, plisowane spódniczki. Podskakiwały na plecach szerokie, białą tasiemką trzykroć lamowane, marynarskie kołnierze.

– *Et vous, mon enfant?*<sup>1</sup> – czarna zakonnica odwróciła się do drobnej postaci, tkwiącej ciągle jeszcze bez ruchu. – *Il faut rejoindre les autres – jouer, courrir.*<sup>2</sup>

Dziecko w czarnej, brzydkiej sukience nawet nie drgnęło. Nie rozumiało ani jednego słowa. Przerazone i przeraźliwie obce tępo stało w rogu ogromnego placu.

Początkowa inwokacja w prawidłowej łacinie brzmiała zresztą nabożnie jako akt strzelisty: *Nos cum prole pia benedicat Virgo Maria*<sup>3</sup> z dodaną w poprawnej francuszczyźnie prośbą: *Saints Anges Gardiens, veillez sur nous!*<sup>4</sup>

Ona tego nie rozumiała. Nic zresztą prawie nie rozumiała z tej obcej, używanej tutaj mowy, która do rozpaczki doprowadzała ją już od paru tygodni. Przywieziona tu, oddana w doświadczone i sprawne rę-

-----  
<sup>1</sup> *Et vous...* – (franc.) A ty, moje dziecko? [Wszystkie przypisy pochodzą od redakcji].

<sup>2</sup> *Il faut rejoindre...* – (franc.) Trzeba przyłączyć się do reszty – bawić się, biegać.

<sup>3</sup> *Nos cum prole...* – (łac.) Niech Dziewica Maryja wraz z Dzieciątkiem nam błogosławi.

<sup>4</sup> *Saints Anges...* – (franc.) Święci Aniołowie Stróże, czuwajcie nad nami!

ce, pojmowała tylko najprostsze, najkonieczniejsze wskazówki, jakich udzielała jej – skąpo i szorstko – gruba rudowłosa i dorastająca już dziewczyna, która na samym początku chwyciła ją za rękę i prowadząc długim, zimnym, bielonym korytarzem, oznajmiła:

– Jestem twoją *aînée* (starszą siostrą). Ale po polsku prawie nam mówić nie wolno. Zresztą nauczysz się tamtego i to prędko. – Po czym, dotykając palcem poszczególnych przedmiotów – były już w wysokiej sali o licznych rzędach łóżek – rozpoczęła pierwszą lekcję poglądową: – *Le lit* – łóżko, *l'armoire* – szafa.

Czarne zakonnice same zresztą kaleczyły tę obowiązującą, obcą mowę. Z różnych pochodziły krajów, a rotacyjne cykle dość mechanicznie przenosiły je co parę lat z jednego państwa do innego, co znosiły z chrześcijańską pokorą. Sława ich pedagogicznych i dydaktycznych osiągnięć nie ponosiła zresztą wskutek tych pielgrzymek najmniejszego uszczerbku.

Internat klasztorny z założenia był wysoce ekskluzywny, niewiarygodnie drogi, ale też odpowiednio zorganizowany i niemal stuprocentowo gwarantujący opuszczającym – po upływie należytych lat – jego progi córkom arystokracji, ziemiaństwa bądź sfer bankowo-przemysłowych szlif jak najlepiej ułożonych panien z dobrego domu.

Ona nic o tym nie wiedziała. Gdyby była w stanie zrozumieć – pewno i nie chciałaby wiedzieć. Na razie pojmowała tylko tyle, że – mimo zimnej bieli ścian i korytarzy, jasnych sal i klinicznej czystości – zapadła, czy raczej wrzucona została, do głębokiej, czarnej studni, z której wyjścia nie było – być nie mogło. Masywne dębowe drzwi do głównego hallu, pobudowanego w otwarty z jednej tylko strony kwadrat czteropiętrowego budynku, zamykano wieczorem na liczne zamki i zabezpieczano grubą, żelazną sztabą.

Drzwi te poznała najpierw. Zapamiętała najdokładniej. Przy nich przecież – trzęsącą się z zimna w długiej, białej i pod samą szyję zapinanej koszuli – odnajdywano ją niemal co nocy przez kilka pierwszych miesięcy. Wzywany lekarz kręcił głową: – Tęskni do domu. Lunatyczka? E, nie. Przejdzie. – I zapisywał gorzko-słone lekarstwo, które wieczorem wlewano jej prosto do ust zimną, połyskliwą łyżką.

Radykalniejszy sposób zaaplikowała jedna ze służebnic pańskich niższego – jak to się nazywało – chóru, do którego zaliczano kobiety nieuczzone, a zajmujące się sprzątaniami, praniem, gotowaniem i wszelką gospodarską posługą: – Miskę z zimną wodą dać przed łóżko – to będzie po kłopotcie!

I było.



Młodszym i starszym uczestniczkom tego rojowiska, które z biegiem lat przekształcone miało zostać w szeregi *des jeunes filles bien rangées*<sup>1</sup>, wolno było w ciągu dnia posługiwać się także mową ojczy-  
stą. Ale okazje po temu były ściśle uregulowane: przerwy szkolne, dwugodzinny poobiedni odpoczynek (*grande récréation*<sup>2</sup>) i oczywiście lekcje prowadzone przez panią od polskiego bądź panią od historii. Ta ostatnia zwłaszcza budziła postrach w co młodszymi uczennicami niesamowitymi opowieściami. Można się było z nich dowiedzieć o legendarnym królu w wielkiej wieży nad jeziorem, który nieczym podstępem zwałił tam swoich licznych stryjów i wytruł ich co do nogi. Poniósł potem zasłużoną karę: żywcem go myszy zjadły. Dalej rzecz szła o pięknej, dziewiczej królowej, o której rękę ubiegał się rycerz z sąsiedniej krainy. Powody, dla których odtrąciła tego konkurenta i desperacko rzuciła się zaraz potem w głęboki nurt Wisły, nie wydawały się początkowo jasne. Niebawem jednak konkluzja – i to w postaci śpiewno-rymowanej – dostępna stawała się nawet dziecku:

*Ta opowieść jest o Wandzie  
Co nie chciała Niemca –  
Lepiej zawsze mieć Polaka  
Niżli cudzoziemca.*<sup>3</sup>

Że wszyscy niemal cudzoziemcy godni byli kosza i wzdardy, dobitnie wyjaśniało – także przy tej okazji cytowane – porzekadło: „Jak świat światem nie będzie Niemiec Polakowi bratem”.

Sprawy rodzinno-matrymonialne zostały tedy historycznie rozwiązane i rozstrzygnięte już od samych legendarnych początków.

Były i inne jeszcze potworności, jak na przykład ziejący ogniem a żarłoczny smok, rezydujący pod królewskim zamkiem i nieustannie domagający się od struchlałych mieszkańców ówczesnej stolicy coraz to nowych ofiar: „a najbardziej smakowały mu małe dzieci i niewinne, młode panienki”... Ale tu w sukurs przychodził lud: ubogi, lecz dzielny a sprytny szewczyk zabił barana, nafaszerował go smołą i siarką, po czym u włazu do smoczjej jamy podrzucił. Smok pochłonął smakowity kąsek, ogniem siarczystym wąpił mu zapłonęły, ledwo się jesz-

-----  
<sup>1</sup> *des jeunes filles*... – (franc.) statecznych pańien.

<sup>2</sup> *grande récréation* – (franc.) czas odpoczynku, rekreacja.

<sup>3</sup> Wszystkie cytaty w książce podano tak, jak zapamiętała je Autorka.



cze, nieborak, do rzeki przyczołgać zdołał – żłopał i żłopał wodę bez pamięci, aż wreszcie rozpękł się z hukiem – a szewczyka-wybawiciela nie minęła zasłużona nagroda.

Pogodniejsze opowieści zdarzały się także: o trzech legendarnych braciach („zapamiętajcie: Lech, Czech i Rus!”) i dumnym orle, o aniołach, pod postacią zwykłych wędrowców zakamuflowanych, którzy odwiedzili chatę poczciwego kołodzieja, akurat w dniu postrzyżyn jego syna („... pogański był to wprawdzie obrzęd – no, ale aniołowie”...), a z wizyty tej błogosławione i doniosłe skutki miały wynikać dla tego pacholęcia i całej wokół krainy. Lecz przeważały zdecydowanie barwy ciemne, ponure, głębokim przerażeniem napawające dzieci, przyjmujące to wszystko za najprawdziwszą – cóż że odległą już – rzeczywistość.

Szkolny dzwonek oddalał wreszcie te upiory – do następnego razu. A dzień lub dwa później do klasy wchodziła czarna zakonnica, siadała za stolikiem na podwyższeniu, zwanym katedrą i, otwierając książkę, oznajmiała: – *Et maintenant nous allons lire ensemble...*<sup>1</sup> – i uczniowska gromadka chóralnie powtarzała za nią: – *Nos ancêtres, les Gaulois...*<sup>2</sup>,

...których dzieje też zresztą ociekały krwią.



Pianino było stare, rozstrojone, klawisze szczękały w nim niczym rozchwiejutane zęby, ale akompaniatorka potrafiła wydobyć z nich jeszcze melodię.

– *Plié*<sup>3</sup>, *mesdemoiselles – voyons donc! – plié – encore – pli-i-i-é!*<sup>4</sup> – komenderowała mistrzyni tańca.

Gawot, menuet, walc. Ukłony, przechyły. Takt, takt! I – dla należytej równowagi – clou wszystkiego: godny, najmniej skomplikowany polonez.

„Plije”, jak na własny użytek zeswojszczyły to wezwanie uczennice, dotyczyły przede wszystkim głębokiego, dworskiego dygu, wykonywanego na trzy pas:

- 1) postawa zasadnicza,
- 2) przygięcie lewego kolana, szerokie koło zakreślane prawą nogą i półprzysiad w tej pozycji niemal do podłogi,

-----  
<sup>1</sup> *Et maintenant...* – (franc.) A teraz czytamy razem...

<sup>2</sup> *Nos ancêtres...* – (franc.) Nasi przodkowie, Galowie...

<sup>3</sup> *Plié* - (franc.) nazwa figury tanecznej, polegającej na uginaniu kolan.

<sup>4</sup> *Plié, mesdemoiselles...* – (franc.) *Plié*, panienki – próbujemy! – *plié* – jeszcze raz – *plié*

3) powrót do pierwszej pozycji – lekko, zgrabnie i z wdziękiem. Dygi były konieczne – rozpoczynały i kończyły cotygodniowe lekcje tańca.

Co tydzień także – zaraz po uroczystej mszy niedzielnej – cała gromada wychowanek zbierała się w wielkiej sali, gdzie następowało imienne odczytywanie stopni ze sprawowania podczas minionych siedmiu dni. Uczennice wzorowe lub oceniane na bardzo dobrze występować musiały z szeregu, przechodzić przez całą salę i – wykonując ów przepisowy dyg – odbierać z rąk przełożonej nagrodę – białą (dla najmłodszych), srebrną (dla średniaczek), złotą (dla najstarszych) różę, którą przypinano im tuż nad sercem do marynarskiej bluzki. Tak udekorowane wracały wśród owacyjnych oklasków na swoje miejsce. Róże były jednak ważne tylko za określony, dawny czas i zdarzało się, że szybko znikały z piersi dumnej właścicielki. Toteż do najczęstszych – a też najskuteczniejszych – napomnień pedagogicznych należało zawołanie: – Oj, bo stracisz różę!

Wyróżnienie, zaszczyt, nagroda – a gdzież kary? Co groziło czarnym owcom, których wybryki sumowały się z końcem tygodnia w opłakane (najdosłowniej!) niedostateczne lub najbardziej przerażające: – *pas de note*<sup>1</sup>?

O drobiazgach, takich jak pozbawienie deserów bądź też nakaz całkowitego – przez dzień lub i więcej – milczenia, nawet i mówić nie warto. Najbardziej rozbrykane maluchy stawiano również przy łada okazji do kąta albo kazano klęczeć pośrodku klasy – zwyczajnie na podłodze lub w poważniejszych przypadkach na podsypianym gęsto drobnym grochu.

Karą ostrzegawczą było tak zwane oddzielenie. Werdykt wydawano zazwyczaj tuż po lekcjach, przed obiadem, wobec całej szkoły zgromadzonej w refektarzu. Pojawiała się dyrektorka – postawna kobieta o drobnej, lisiej twarzy – wywoływała delikwentkę, każąc jej zabrać sztucę, a także serwetkę w nieodzownym kółku z monogramem, i obwieszczała: – *Mon enfant, vous êtes séparée!*<sup>2</sup>

Tak pohańbiona siadać i jeść musiała odtąd sama, przy małym stoliczku, plecami do społeczności. Rozmawiać z nią ani zbliżać się do niej – nawet na przerwach – nie wolno było nikomu. Izolacja taka trwała – w zależności od ciężaru win – dzień, dwa, a nawet i pięć. Dzieci starannie ze swojej strony jej przestrzegaly. Trochę z obawy, a też z mniej lub więcej skrywanej ulgi, jaką dawało im tak oficjalne usankcjonowanie wrodzonego okrucieństwa.

-----  
<sup>1</sup> *pas de note* – (franc.) nie ma oceny.

<sup>2</sup> *Mon enfant...* – (franc.) Moje dziecko, jesteś oddzielona!

Karą ostateczną – dla niepoprawnych – było wydalenie, przed którym przestrzegano wymownym: – Oj, bo wyjedziesz stąd na własnym materacu! (Pościel i całą tzw. wyprawkę szkolną musiały wychowanki przywozić z domu).

Ale w szeptanych do ucha najbliższych przyjaciółek pogłoskach i plotkach uparcie powracała jeszcze jedna, złowroga wieść: – Po nią przyszła komisja i...

O tym „i” – z zeznań namacalnego świadka – trzeba będzie opowiedzieć w innym miejscu.



Trzask dwóch niewielkich deseczek, złączonych zawiasami w rozdaj poręcznej książeczki rozpoczynał każdy dzień, wraz z inwokacją:

– *Jésus, Marie, Joseph.*

– *Je vous rends mon coeur* – mruczał w odpowiedzi chór rozespanych głosów, ale wezwanie powtarzano – dla większej jasności – w mowie rodzimej:

– Jezus, Maria, Józef.

– Oddaję Wam moje serce!

Wgryzione w głąb mózgu, dosłownie weń wbite suchym klekotem drewna, na całe życie zapamiętane słowa. Krążyła anegdota, że podrastająca już panienka, zaproszona przez koleżankę do arystokratycznego pałacu jej rodziców i delikatnym pukaniem do drzwi budzona nazajutrz przez lokaja, zerwała się z pościeli, wołając donośnie: – Oddaję Wam moje serce! – a skonfundowany sługa na te słowa rzucił się do ucieczki, bo przybyła w gościnę osóbką była wprawdzie z dość znakomitego rodu, lecz zezowata i krzywozęba rozpaczliwie.

Suchy klekot drewna dzielił czas dokładnie – od rana do wieczora. W dni powszednie, niedziele i święta. Nigdzie przed nim nie było ratunku.

Wyłęgarnia. Hodowla (pepiniera). Ścisła i czujnie strzeżona izolotka. Do perfekcji doprowadzona tresura. Cyrk?

Po porannym myciu w emaliowanych, białych miskach – wodę zimną i gorącą dostarczała przez małe, białe lakierowane kabiny, osłonięte od przejścia równie białą zasłoną, bezszelestnie poruszająca się gromada służebnic bożych niższej rangi – zejście parami na mszę do ka-



*„Na moje rozkazanie: niech  
Miasto wstanie!” [...] I wstaje  
Miasto. Wolne Miasto. W do-  
stojności swojej gotyckiej i re-  
nesansowo-barokowym przepy-  
chu. W dźwięku dzwonów nie-  
zliczonych swoich kościołów  
i niepowtarzalnych zapachach  
słonej wody, smołowanych,  
słońcem nagranych desek,  
świeżo parzonej kawy i kwaśno  
dymiących cygar. [...] W złoce-  
niach patrycjuszowskich ka-  
mienic i krętych, ciemnych za-  
ułkach.*



*... nade wszystko - misie, różnej wielkości i ma-  
ści, których z biegiem lat uzbierać się miało po-  
nad dwadzieścia. One też kolejno - jeśli tylko  
się mieściły - wożone były w wózku na spacer,  
budząc zdumienie dziewczynek z sąsiedztwa...*

plicy. W glansowanych, skórkowych rękawiczkach i, co gorsza, ciemnobrązowych welonach, opadających aż na plecy, z nieznośnie ciasną obręczą z szerokiej gumy, uciskającą uszy i głowę. Później spieszne pierwsze śniadanie.

Później – klekot: – *En classes!*<sup>1</sup>

Później – dzwonek. Lekcje. Dzwonki. Przerwy. Klekot: – *Le second déjeune!*<sup>2</sup>

Refektarz. Długie stoły ustawione w podkowę. Białe, emaliowane dzbany (kawa z mlekiem, pomarszczone, tłuste kożuchy na powierzchni, skupiona uwaga, by nie trafiły z kolejnym chlustem do twego akurat kubka), sterty chleba z masłem. Kolejny klekot – powrót do klas.

Dzwonek. Odnoszenie książek i zeszytów do *salles des études*<sup>3</sup>. Klekot i parami – od najmniejszych do największych – zejście na obiad. I przed każdym posiłkiem – inna niż przed lekcjami, gdy co dzień rano przyzywa się ku pomocy Ducha Świętego – modlitwa, której jedno zwłaszcza słowo niezmiernie sprawia trudności – szczególnie najmłodszym: – Pobłogosław Panie nas i te dary, które z Twej (oooch!) szcudroblowości spożywać mamy...

Po obiedzie – rozdanie poczty (wszystkie listy rozcięte – poddane uprzednio skrupulatnej cenzurze) i zaraz dwugodzinna *grande récréation*, rozpoczynana niezmiennie cytowaną na wstępie inwokacją – wielki wybieg, „wyszalnia”, sprawnie zorganizowane gry w *cache-cache*<sup>4</sup>, dwa ognie, koszykówkę lub siatkówkę dla starszych. Najstarsze mają nieco większą swobodę i większy wybór: pływanie lub wiosłowanie po okrągłym, zielonym jeziorze, tenis, a nawet konna jazda.

I znów drewniany klekot: – *On rentre!*<sup>5</sup>

Spadziste drewniane pulpity (nigdy nie wiadomo, kiedy pojawią się kontrolerki, każąc wszystkim wyjść na korytarz i kolejno sprawdzając, czy należycie wyłożone są błyszczącym papierem, a zawierają tylko porządnie ułożone utensylia szkolne: zeszyty z lewej, książki z prawej, farby, cyrkle, piórniki – pośrodku – a nie na przykład – przemywane z ławki do ławki rysuneczki albo liściki, lub – o zgrozo! – nic z nauką wspólnego niemające lektury!), wpuszczone w nie szklane kałamarze, wielkie okna, jasne ściany i stolik, przy którym urzęduje *surveillance*<sup>6</sup> – niekoniecznie zakonnica, bywa że i któraś z najstarszych

-----  
<sup>1</sup> *En classes!* - (franc.) Do klas!

<sup>2</sup> *Le second déjeune!* – (franc.) Drugie śniadanie!

<sup>3</sup> *salles des études* – (franc.) pracownia (w szkołach klasztornych).

<sup>4</sup> *cache-cache* – (franc.) zabawa w chowanego.

<sup>5</sup> *On rentre!* – (franc.) Wracamy!

<sup>6</sup> *surveillance* – (franc.) nadzór, kontrola.

uczennic. I przepisowe milczenie, przerywane tylko krokami ku temuż stolikowi, szeptane opowiadanie się: na lekcje języków obcych (prócz wszechobecnej francuszczyzny udziela się tu – prywatnie – niemieckiego i angielskiego), muzyki, a także obwieszczanie półgłosem: – *Je vais au billet!*<sup>1</sup>

Eufemizm ten określa podłużną, niewielką deszczułkę, przyczepioną do leżącego na stole dość sporego klucza, którym otworzyć należy drzwi pomieszczenia, służącego do zaspokajania potrzeb naturalnych. Ale w każdym z owych studiów klucz jest tylko jeden. Nic dziwnego, że chwilami – zwłaszcza w sali najmłodszych – poniektóre w ławkach swoich niespokojnie kręcą się i wiercą, z gorącą nadzieją wpatrując się w drzwi.

Klekot – i znów zejście na podwieczorek, podczas którego wolno podjadać produkty przysłane w paczkach z domów, pilnie przestrzegając przepisowego dzielenia się nimi ze swoim stołem.

Powrót za pulpity. Pomoc w absolutnie nierozwiązywalnych – zwłaszcza rachunkowych – zadaniach ze strony *surveillance* zapewniona. Ale niech no która oderwie wzrok od pulpitu i zapatrzy się w okno lub ścianę: – *Mon enfant – vous ne travaillez pas!*<sup>2</sup> – napomina zaraz karcący głos dozoru.

Klekot. Znowu parami. Znowu refektarz. Kolacja. Jarska przeważnie (nie przeciążać żołądków przed spaniem!). Kukurydziane kolby z masłem. Zsiadłe mleko z suto kraszonymi kartoflami. Pożywny szarozielony jarmuż, którego gąbczaste włókna załazą za zęby.

*I récréation du soir*<sup>3</sup>. W dużej sali – gdzie odbywa się cotygodniowe odczytywanie stopni ze sprawowania i wiele innych uroczystości – kłapie rozchwieirutane pianino, a przy jego dźwiękach wykonywać można wesołe gry ruchowe, dziarsko maszerować, nawet (ale to już w starszych grupach i nigdy dwa razy tą samą parą) potańczyć.

Klekot. Długi, karny szereg wędruje na wieczorne modlitwy do kaplicy. Klekot – wstawać, wychodzić: – *Formez-vous en rangs!*<sup>4</sup>

Klekot – i mozolna wspinaczka po schodach, aż na trzecie piętro, do „dortoirów”<sup>5</sup> w coraz bardziej zziąjanym chórze powtarzającym co wieczór, nieuchronnie:

-----  
<sup>1</sup> *Je vais au billet!* – (franc.) Chęć do bileciku!

<sup>2</sup> *Mon enfant...* – (franc.) Moje dziecko, nie pracujesz!

<sup>3</sup> *récréation du soir* – (franc.) rekreacja wieczorna.

<sup>4</sup> *Formez-vous...* – (franc.) Ustawcie się w rzędach!

<sup>5</sup> Z franc. *dortoir* - sypialnia.

*Kto się w opiekę  
Odda Panu swemu,  
A całym sercem  
Szczерze ufa Jemu,  
Śmieie rzec może:  
Mam obrońcę Boga,  
Nie przyjdzie na mnie  
Żadna straszna trwoga.*

Przychodziły przecież. I niejedna. Ale to już nie wina psalmisty.



Lęk był podstawą, fundamentem całej tej edukacji. Od porannego klekotu po wysapane z trudem ostatnie słowa Psalmu. Lęk przed czarnymi zawoalowanymi postaciami. Przed starszymi i równolatkami. Przed lekcjami, gdy – z obowiązującym i tutaj dygiem – wychodzić trzeba było na środek klasy i deklamować płynnie: *Maître corbeau sur un arbre perché, Tenait en son bec un fromage...*<sup>1</sup>; przed dziurą w pończosze lub – o zgrozo! – podartym rękawem, przed rygorami, zakazami, nakazami – najczęściej niepojętymi ani też wyjaśnianymi – przed niebosięzną drabiną pochwał i napomnień, nagród i kar, przed kleksem w zeszyście i oślim uchem w szkolnym podręczniku, nieładem w bieliźniano-ubraniowej szafce, opatrzonej własnym numerem, którym znaczone wszelkie osobiste rzeczy i której zawartość kontrolowano równie często i niespodziewanie, jak wnętrza drewnianych pulpityów; przed ostrzegawczymi uwagami (*Vous voilà de nouveu en retard!*<sup>2</sup>), a nade wszystko przed niezrozumiałym, wartko turkoczącym obcym językiem. Ale nie mniejsza zgroza ogarniała i przed rodzimą mową.

Rok już minął. Nawet więcej. Wystraszona dziewczynka w czarnej sukience oswoiła się po trochu z wysoką przezroczystą klatką, w którą wrzucono ją tak niespodziewanie. Nie nosiła też już czarnej sukienki, tylko granatowy, marynarski mundurek. I nie walczyła po nocach z masywnymi drzwiami: zimnowodna terapia poskutkowała. Od biedy mogła się też porozumiewać z obcojęzyczną gromadą czarnych po-

-----  
<sup>1</sup> *Maître corbeau...* – (franc.) Pan kruk siedział na drzewie i trzymał w dziobie ser... – fragment bajki La Fontaine'a *Kruk i lis*. W znanym przekładzie I. Krasickiego ten sam fragment brzmi: Kruk miał w pysku ser ogromny...

<sup>2</sup> *Vous voilà...* – (franc.) I znów spóźniona!



staci. Ale zaczął się nowy etap: przygotowanie do największej w życiu uroczystości – specjalny kurs katechizacji przed przystąpieniem do sakramentów Pokuty i Komunii Świętej.

Sakrament? Treść tego słowa umieć trzeba było wyrecytować z pamięci absolutnie bezbłędnie: – ... jest to znak widzialny łaski boskiej niewidzialnej.

Nauczyła się tego i wielu innych formułek. Płynnie. Posłusznie. Nie rozumiała nic. Bo – znak? To można jeszcze było pojąć. Różnicę pomiędzy widzialnym a niewidzialnym wytłumaczył ośmio- i dziewięciolatkom siwy, podobny do nieco zdziwionego wróbla, ksiądz kapelan na swój dobrotliwy, nieskomplikowany sposób: – Lampa, stół, zeszyt, ty sama nawet – to rzeczy i osoby, które widzimy, ale Anioł Stróż, Święci Pańscy, Matka Boża, wreszcie Bóg sam widzialni nie są i być nie mogą, bo wysoko, w niebie czuwają nad nami.

Zgoda. Ale: łaska? Widzialny znak tego niewidzialnego? Konkretny a naiwny umysł dziecka wykonuje najdziwniejsze łamańce, ani rusz dojść nie mogąc, o co tu właściwie chodzi. Przyswaja sobie wszystkie odpowiedzi, wydrukowane tuż pod pytaniami w katechizmowej książeczce, ale niczego to nie daje, prócz rosnącego poczucia strachu. Sam problem Trójcy Świętej – mimo dużego, kolorowego obrazka, który go ilustruje – skomplikowany jest niezmiernie: Bóg Ojciec to siwobrody, dostojny starzec w złocistych szatach; Syn Boży, czyli Pan Jezus – też wprawdzie ma brodę, ale ciemnobrązową – dobrotliwą twarz okoloną puklami długich włosów, szatę ma na sobie czerwoną, ale żeby biały gołąb, unoszący się na tle błękitnego nieba miał być Duchem Świętym – zgodzić się żadną miarą nie można. Wprawdzie napisano w Piśmie (i tego uczyły się na pamięć od pierwszych lekcji religii, gdy to „na początku stworzył Bóg niebo i ziemię”...), że „Duch Boży unosił się nad wodami”, ale nigdzie nie stwierdzono tam wyraźnie, że był to (widzialny przecież!) gołąb. Akurat gołąb – to wstrętne ptaszysko? Od lat miała osobiste porachunki z gołębiami, których nie cierpiała. Ale może nawet sama myśl tak buntownicza była już grzechem? Ciężkim grzechem? („... popełnionym z chęci obrażania Boga” – no, co to, to nie! i „w materii ciężkiej” – tu ogarniały ją znowu dręczące wątpliwości!). Ledwo ważyła się zresztą na takie myśli, a wyznać ich nie śmiałyby nawet dobrotliwemu kapelanowi.

Były jeszcze inne zagadki. Oto podczas codziennej mszy przy jaśniejącym od świec, bogato ukwieconym ołtarzu odzywają się srebrne dzwoneczki i rzędy średnich, a także starszych uczennic – przystrojonych z tej racji w białe welony – klękają kolejno przy balustradzie,

przyjmując biały opłatek, który kapłan wkłada im prosto w usta, i wracają w skupieniu, ze złożonymi rękami i spuszczonej oczami na swoje miejsca do ławek. A z chóru dobiega pieśń – rozlewnie słodka, wielogłosowa:

*O święta Uczto!  
Tu swoim ciałem  
Karmi nas Chrystus  
Napawa krwią.  
A w sercu dziecka  
Biednym i małym  
Jasności Bóstwa  
Ukryte lśnią...*

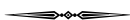
Ciałem? Jakże to? Dlaczego? Nieustannie przecież tłumaczą im, jak marne, nędzne i grzeszne jest właśnie ciało. I że jest tylko jak gdyby naczyniem (garnkiem? miską?), którego samą obecność na świecie usprawiedliwia tylko i jedynie dusza – zwłaszcza dusza w stanie łaski. Ale to ciało – moje własne, myte starannie co rano i co wieczór z zachowaniem należytej skromności (od pasa w górę oraz od pasa w bardziej już przerażający dół, lecz zawsze z osłoniętą – zsuniętymi odpowiednio kawałkami bielizny – niemytą właśnie jego częścią), kąpane cotygodniowo w wielkiej wannie (i w długiej, pięć sięgającej, kąpielowej koszuli) – niczym przecież nie przypomina białego, okrągłego opłatka rozdawanego tam, przy ołtarzu. I czy Pan nasz, Jezus Chrystus, doprawdy nie miał już innego wyjścia, jak zamknąć się właśnie w ciele, a nie na przykład we wnętrzu jakiegoś pięknego kwiatu? (W Niedzielę Palmową, gdy poświęcono wiązanki wierzbowych, szarych kotków ozdobionych gałązkami tui, łyka się wprawdzie te miękkie, puszyste kulki, co podobno chroni od chorób przez cały następny rok – no, ale to całkiem inna sprawa).

Szczerą zgrozą natomiast przejmują dziecko następne słowa. Napawa – to znaczy chyba poi, wlewa – ale co? Krew? Jak to? Krew oczywiście jest w każdym człowieku. Słona, czerwona. Można się o tym przekonać, nieostrożnie ostrząc ołówek albo łapiąc piłkę na własny nos. A poza tym wspomnienia z wcześniejszych jeszcze lat nieodparcie wracają tu do domowej kuchni, gdzie na stole leży kura dopiero co przez tak zwaną dziewczynę z targu przyniesiona i właśnie zarżnięta: krew płynie z jej szyi, dużo mdląco pachnącej krwi. Ale takie myśli kołujące się w dziecięcej, wystraszonej głowie są z całą pewnością nie-

dopuszczalne, może nawet Bogu uchybiające? A Bóg przecież jest wszechobecny i wszechwiedzący – więc?

W snach nawiedzają ją teraz majaki i koszmary, zrywa się z krzykiem, spocona, z przylepioną do pleców koszulą. Rankami, przed wyruszeniem do kaplicy, dostaje zawrotów głowy i długich, męczących torsji, aż zaniepokojone sługi boże sprowadzają z miasteczka grubego, ciężko posapującego lekarza (z tej racji przezywanego Foką), który – żadnych organicznych przyczyn doszukać się nie umiejąc – zaleca najskuteczniejszą kurację: dłuższe spanie, czyli zwolnienie od koszmaru kaplicy. Ale z czasem i te przypadłości mijają. A do kaplicy przecież chodzić trzeba, zwłaszcza w okresie przygotowań do bliskiego już, najpiękniejszego dnia życia.

Inny obrzęd – raz tylko wprawdzie do roku odprawiany – sprawia, że dziecko lodowacieje, drętwieje ze strachu. Oto wieczorem, w mrocznej kaplicy odbywa się nabożeństwo ku czci jednego z licznych świętych Andrzejów. Ten ma być szczególnie pomocny przy chorobach gardła. Ławka za ławką wychodzą więc elewki i równymi rzędami przyklękają u ołtarzowych balasków. Ksiądz kolejno do nich podchodzi, niosąc w rękę skrzyżowane ukośnie (krzyż św. Andrzeja przypomni się wiele dziesiątków lat później przy uczeniu się... znaków drogowych) i zapalone świece. W ostry szpic owego trójkąta wsunąć należy głowę i wysłuchać aktu strzelistego, odmawianego przy każdej. A jeśli zadrza płomyk i zajmie się od niego welon i całe włosy? Gęsia skórka, drżące nogi – ale znikąd ratunku. Szczęśliwie zresztą magiczny rytuał nigdy nie doprowadził do ogniowej katastrofy – mimo to niektóre głowy cofały się przed nim.



*Les Servantes de Notre Sauveur*<sup>1</sup>, bo taką nazwę nosił ów zakon, dawały się też z czasem odróżniać coraz lepiej. Były wysokie i niskie, chude i grube, nieubłagane surowe i bardziej wyrozumiałe. I choć jedynym ich Oblubieńcem jest Pan Zastępów, w liczbie mnogiej mówić o nich należy *mesdames*<sup>2</sup>. A mimo że imię początkowe każdej z nich brzmi tak samo: Pia, rozróżnić je można od przydanych imion następnym. Jest więc Dame (co pobrzmiwa jeszcze echem dworskim jakby) Pia Angélique i Pia Jeanne, Pia Consolata i Pia Genvure. Grupa najstarszych dziewcząt, mniej respektująca ów tytułowy ceremoniał, mó-

<sup>1</sup> *Les Servantes...* – (franc.) Służebnice Naszego Zbawiciela.

<sup>2</sup> *mesdames* – (franc.) panie, damy.

wi po prostu skrótowo o Dame Berthe albo Dame Joséphine – wybierając się na prywatną lekcję muzyki czy też angielskiego. W tym najdostojniejszym gronie też jednak istnieją – uchwytne już po krótkim czasie – różnice i gradacje. Na samym szczycie jest – z rzadka tylko widywana – *supérieure*<sup>1</sup> Dame Thérèse, najważniejszą – na co dzień – jest *la directrice*<sup>2</sup>, tyczkowata Dame Célestine o długiej, koziej twarzy i suchym, ostrym głosie. Są jeszcze *dames de classes*, czyli wychowawczynie: Dame Claire – Szwajcarka, Dame Ernestine – tłuściutka i skłonna do śmiechu Holenderka, Dame Jacqueline – żywa, pełna temperamentu Hiszpanka, zawsze szybkim krokiem, furkocząc ciężkimi szatami, przemierzająca korytarze. I drobna, malutka, przyciszonym, łagodnym głosem mówiąca *dame infirmière*<sup>3</sup>, Mathée, która opiekuje się chorymi w dwóch niewielkich pokojkach dla nich tylko przeznaczonych, a oddzielonych od reszty pomieszczeń, zawsze na klucz zamkniętymi, podwójnymi oszklonymi drzwiami.

W służbie bożej, której poświęciły się wszystkie, jeden wspólny cel im przyświeca: wychowanie tej gromady, którą ich opiece oddano. I z pełnym poświęceniem wypełniają ten obowiązek, usiłując należycie obciosać i kształtować nie tylko dusze, lecz także i ciała swych elewek. A ileż cierpliwości, stanowczości i wytrwałości wymaga – zwłaszcza przy najmłodszych – ujarzmienie jakże niejednolitej, niekarnej i niesfornej, hałaśliwej, kłótlivej, małpio nieraz złośliwej czeredy.



Najwyższy wymiar kar stosowano tylko w ściśle określonych przypadkach, a i tak zróżnicowano go do trzech stopni. Pierwszy stosowano bezapelacyjnie w każdą niedzielę: za niedostateczny stopień ze sprawowania. Napiętnowane nim publicznie maluchy wędrowały po zakończeniu cotygodniowej sesji do tak zwanej małej kaplicy – pustego pokoju z niewielkim posążkiem Najświętszej Marii Panny, gdzie starsze elewki chodziły niekiedy odprawiać chwile skupienia i ciche, krótkie modlitwy w ciągu powszednich popołudni. W ślad za nimi pojawiała się egzekutorka – za owych czasów była nią tęga, przysadzista Tośka (ze starszych średniaczek) o wąskim czole, stale obsypanym czerwonymi krostami – i kolejno podchodzącym do niej delikwentkom aplikowała czarną, graniastą linijką łapy, po trzy na rękę, a przy krzykach lub piskach – jeszcze po jednej dodatkowo. Za skandaliczny

-----  
<sup>1</sup> *supérieure* – (franc.) przełożona.

<sup>2</sup> *la directrice* – (franc.) dyrektorka.

<sup>3</sup> *dame infirmière* – (franc.) pielęgniarka.

brak stopnia porcja była podwójna. Proceder ten opisał już dokładnie pewien znakomity Irlandczyk w *Portrecie artysty z czasów młodości*, w szczególności wdawać się nie warto. Prawdzie gwoli – i na użytek późniejszych pokoleń – zaznaczyć tylko trzeba znaczną skuteczność chowania obolałych rąk pod własne pachy, co prawie zawsze przynosiło ulgę.

Wypadki skrajnego nieposłuszeństwa, kłamstwa, łakomstwa, wszelkie fomy i grymasy zbytnio już obciążające sprawność i karność najmłodszej grupy, likwidowała wspomniana już komisja. W skład jej wchodziły dwie starsze średniaczki – obserwatorka i egzekutorka, obowiązywała też obecność opiekunki niesfornej maluchy. Cała czwórka schodziła na sam dół, do piwnic, gdzie mieściła się rozległa pralnia z szerokimi, drewnianymi ławami na wyżętą bieliznę. Na takiej ławie musi wzdłuż całej jej długości położyć się – twarzą do dołu – delikwentka. Zadzierają jej aż po szyję spódniczkę i obowiązkowo noszoną białą halkę – po czym egzekutorka wymierza w miejsce, naturą rzeczy do tego przeznaczone, ustaloną ilość pasów (w tych czasach weszło w modę u średniaczek noszenie szerokich, skórzanych pasków). Obserwatorka liczy głośno, a do obowiązków *ainée* należy – w razie konieczności – przytrzymywanie fikających nóg rozwrzeszczanego i zasmarkanego dzieciaka. Konieczność taka zachodzi zresztą rzadko: sama przewaga osobowa komisji paraliżuje niczym oko jadowitego węża. A pięć do dziesięciu pasów przynosiło – najczęściej – natychmiastowy, pożądaný skutek.

Wykonanie kary ostatecznej (po której grozić mógł już jedynie wyjazd na własnym materacu) odbywało się w rejonach podniebnych: na najwyższym piętrze. Obok strychu mieściły się tam niewielkie pokoiki tak zwanych panien kandydatek sposobiących się do zakonnego stanu. Chodziły zawsze cichutko i pojedynczo, a na głowach nosiły – nieco kokieteryjnie wiązane – śnieżnobiałe chusteczki. Na bielutkie łóżko jednej z – nieobecnych wtedy – kandydatek musiała skłaniać głowę i przednią część tułowia niepoprawna elewka, wypinając dolną i tylną partię własnej osoby. Egzekucji towarzyszyła – zapewne wskutek pewnej nieprzyzwoitości – jedynie *dame de classe*. Obowiązki jej polegały nie tylko na zadarciu spódniczki i halki, ale nadto na odpięciu z trzech guzików klapy obszernych majtek i podciągnięciu wzwyż tkwiącej w nich dziennej koszuli. Na tak obnażone pole spadały – głośno odliczane – razy brzoźowych, dobrze wymoczonych różeg, których spory zapas stał tuż obok w wiadrze. Ich dostarczycielką, a zarazem i egzekutorką wyroku, była kierowniczką pralni, zamaszysta pa-

ni Ogórkowa, a wprawę miała znakomitą, gdyż – jako że mąż ją odumarł – wychowywała samotnie trzech podrastających synów. Rozdzierające ryki towarzyszące tej operacji do niższych pięt nie dochodziły, a po jej zakończeniu pakowano schlipiałą i schrypniętą od krzyków smarkulę do łóżka. Odpocząć tam mogła jedynie w zakazanej pozycji – czyli na brzuchu, ale ulga taka była krótkotrwała, gdyż niebawem budzono ją, każąc obrócić się na wznak. W łóżku wolno było leżeć tylko i wyłącznie na plecach, z rękami ułożonymi na kołdrze i nawet w nocy – przyświecając sobie małymi latarkami – zakonnice sprawdzały szeregi śpiących.

Wymiar kar – z wyjątkiem łap – podawano do wiadomości publicznej na dużej tablicy ogłoszeń, umieszczonej w głównym korytarzu – oczywiście już po egzekucji, choć – chyba wbrew pedagogicznym założeniom – nie powodowało to odwrócenia się rojnej czeredy najmłodszych od poszkodowanych. Przeciwnie: chciwie wypytywano je o szczegóły, starając się też zebrać u co bardziej już w tym względzie doświadczonych różne przydatne na przyszłość („dzisiaj tobie, jutro mnie”) wskazówki: napinać się – czy lepiej leżeć jak flak, oddychać głęboko czy płytko itp.

Przez kilka lat, które dziewczynka w czarnej sukience tam spędziła, karę ostateczną stosowano ledwo parokrotnie. Raz – za bieganie po szczycie stromego i wysokiego dachu i zrzucanie z niego dachówek. Innym razem – za pokaz zimnych ognii po wieczornym zgaszeniu świateł: wywołany przy tym niezręczną manipulacją zapalkami całkiem spory pożar, strawił połowę zasłon w białej sypialni. Wyczyny – przyznać trzeba – nieprzeciętne. Ale któż zdoła odgadnąć, co za pomysły lęgną się w łepetynach nieustannie musztrowanych małpiaków?



„Na moje rozkazanie: niech Miasto wstanie!”.

Magiczne zaklęcie skutkuje. Bo był to czas magiczny, baśniowy, bajeczny. Rozczytywała się wtedy w bajkach, baśniach, legendach, podaniach, klechdach. Roilo się w nich od złych i dobrych wrózek, zaklętych skarbów, walecznych rycerzy, skrzatów, elfów, krasnoludków. Żyła wśród nich, zapadała w książki jak w najgłębszy las, przez którego wierzchołki ledwo przedrzeć się potrafią smugi prawdziwego (co jest prawdziwe?) słońca. Może więc i teraz, gdy kości już ku ziemi skrzypią, spróbować tego zawołania raz jeszcze?

I wstaje Miasto. Wolne Miasto. W dostojności swojej gotyckiej i renesansowo-barokowym przepychu. W dźwięku dzwonów niezliczonych swoich kościołów i niepowtarzalnych zapachach słonej wody, smołowanych, słońcem nagrzaných desek, świeżo parzonej kawy i kwaśno dymiących cygar. W różnorodności kamiennych przedproży – sławetnych „beischlagów”, na które wspiąć się można po paru schodkach, zawsze zakończonych potężnymi kulami albo łbem jakiegoś potwora, do którego otwartej paszczy koniecznie trzeba wsunąć trochę drżącą ze strachu rękę. W złoceniach patrycjuszowskich kamienic i krętych, ciemnych zaułkach. W nazwach ulic przywołujących przeszłość, cechową zwartość i dumę: Ław Chlebowych, Konwi Mlecznych, ale też Powroźników, Kowaczy Kotwic i Ducha Świętego<sup>1</sup>.

Królewskie miasto, herbem uwieńczone: czerwoną tarczą z dwoma białymi krzyżami, której z obu stron strzegą płowe lwy, a nad którą unosi się złocista korona.

Wznoszone, rosnące w potęgę i dostatek przez setki lat. Pustoszone, palone, plądrowane. Oblegane, przechodzące z rąk do rąk, chobre, harde i hanzeatyczne. Niespokojne zawsze i niepokojone nieustannie – łakomy kąsek dla swoich i dla obcych. Turkoczące mieszaniny przeróżnych języków i ładownych wozów. Miasto wielkiej wody i wielu rzek, w które – jak i w jego mury i bruk – wsiąkała krew („A w Raduni krwawa woda / szkoda matki, ojca szkoda”). Jest jeszcze szara Motława. I niesłusznie tak nazwana – Martwa Wisła, alias Leniwka. I bramy, baszty, mosty, fosy obronne.

Nie o dziejach jego jednak dawnych czy najnowszych pisać tu trzeba. Uczynił to w ostatnich czasach już z rozlewną precyzją swych smukłych palców krajan – kronikarz zapamiętały, o sumiastym wąsie morosa i uważnym spojrzeniu smoliście cygańskich oczu. Wybębnił sumiennie na swoim biało-czerwonym bębenu (sprzedawano je – takie właśnie – za moich i jego niedużych jeszcze lat w każdym sklepie z zabawkami). Rozpłaszczył w wielowarstwowej panoramie w swym *Turbocie*, bo Ryb ten, aczkolwiek do gatunku płastug należący, musi z piarskiego nakazu być koniecznie rodzaju męskiego. Tu o innych sprawach będzie mowa.

Miasto dzwoni. Nie tylko powszednim, innym znowu – niedzielnym, jeszcze innym – najhuczniejszym, bo świątecznym rozkołtysaniem kościelnych dzwonów, czy dostojnie powściągliwym (bo prote-

-----  
<sup>1</sup> Obecnie ulice: Chlebnicka, Stągiewna, Powroźników, Kotwiczników, Świętego Ducha.

stanckim) chorałem, rozlegającym się z kościelnej także – ale której? – wieży: *Üb' immer Treu und Redlichkeit / Bis an dein kü-ü-ü-hles Grab...*<sup>1</sup> Dzwonią ostro, nagle kremowożółte tramwaje. Dzwonią cienko, przenikliwie dzwonki rowerowe. Dzwonią też najrozmaiciej – wozy, a raczej ich woźnice – do wtóru kół hurgocących po kociołbiastej jezdni. Pierwszy – z samego rana – dzwoni potrójnie blim-blim, blim-blim, blim-blim wóz mleczarski. Na ten sygnał ze wszystkich bram biegną kobiety, staruszki, dzieci – każde z nieodzowną kanką w ręce – po swoją porcję. Kanka to zwięzająca się ku górze, rudo lub niebiesko emaliowana bańka, do której mleczarz – zgramoliwszy się z wysokiego siedziska – nalewa blaszaną kwartą z dużych, na wozie umieszczonych, konwi. Komu ćwierć, komu pół albo i cały litr świeżutkiego mleka. Inaczej – potrząsając sporym, mosiężnym dzwonkiem o drewnianej rączce – zapowiadał swe przybycie inny dostawca, wołając przy tym zawsze w tym samym rytmie i melodii:

– Ka-a-rto-

-fel!

Nagły spadek owego „fel” nasuwał – w najmłodszych przynajmniej latach, gdy sprawy dnia powszedniego wydawały się jeszcze mocno skomplikowane – nieodparte przypuszczenie, że biedny ten, choć skądinąd barczysty i nieźle odżywiony człowiek, musi oto koniecznie, zaraz i już dziś sprzedać choć jeden kartofel, z całej ich góry, zalegającej wóz, której z niewiadomych przyczyn nikt ani rusz kupić nie chce. Ale wysypujące się na to zawołanie z bram okolicznych kamienic kobiety, otaczały wóz i do nadstawionych koszy lub koszyczków kazały zsypywać sobie wcale spore porcje tych grul, pyr, ziemniaków, jabłek ziemnych (*Erdäpfel*) wreszcie, choć przyglądająca się ich ważeniu – na solidnej, w tyle wozu umieszczonej wadze – mała dziewczynka nie wiedziała podówczas o istnieniu ich bliskoznacznej nazwy w innym języku: nie słyszała jeszcze o *pommes de terre*<sup>2</sup>.

Ciężkie, ogromne perszerony o długich, prawie białych grzywach, kulistych zadach i gęsto owłosionych nogach ciągnęły wozy największe, a czarno umorusany woźnica, któremu tylko białka oczu przeświecały z zasmolonej twarzy, potrząsał największym, także mosiężnym, dzwonkiem i już z daleka obwieszczał swoje przybycie podwójnym okrzykiem – przeciągłym za pierwszym i spieszonym spadkiem zamykanym za drugim razem:

<sup>1</sup> *Üb' immer Treu...* – (niem.) Bądź zawsze wierny i rzetelny / aż po twój zimny grób.

<sup>2</sup> *pommes de terre* – (franc.) ziemniaki.



– *Koh-len!*

*Koh-*

*-len!*<sup>1</sup>

Węglarz miał także na wozie wagę, poczerńnięte, wielkie kosze przeznaczone do transportu rozwożonego towaru, a ponadto pomocnika, który zakupione ilości opału roznosił do kolejnych kuchen lub – rzadziej – piwnic. Z tyłu wozu, od zewnątrz, na poprzecznych, zamykających go deskach, umieszczona była jeszcze niewielka ławeczka dla drugiego pomocnika (pierwszy siedział przy woźnicy). Gdy go niekiedy brakowało, dzieciarnia migiem pędziła do upragnionej ławeczki, bo kto pierwszy zdołał się wspiąć na nią, mógł w turkocie i przy akompaniamencie donośnego dzwonienia przejechać znaczny kawał drogi. Podróże takie nie były jednak zbyt dobrze widziane przez rodziców, a już najmniej przez samego węglarza, a że bat na swoje potężne koniska miał spory i – przede wszystkim – bardzo długi, odmachiwał się nim skutecznie od tych nieproszonych gości i trzeba było przemyślności nie lada, żeby taką wyprawę odbyć bez szwanku.

W upalne dni lata albo pogodne dni jesieni inne jeszcze wozy ostro dudniły po nierównym bruku przy akompaniamencie okrzyków: – „Eppel – Be-e-re – Spe-e-le – Plu-u-me”! – Z sadów okolicznych zwożono do miasta wszelki – przeważnie wielki – urodzaj jabłek, gruszek i śliwek przeróżnych gatunków, a zapobiegliwe gosposie znowu mknęły z koszykami, aby się zaopatrzyć na zimę. Dzieciaki – oczywiście – korzystały z tych okazji, łasując z wozów, ile się tylko dało – ale dorośli przez palce patrzyli na te podkradki.

Prawdziwą plagą potrafiła być niekiedy szczególnie wielka a obfita ławica śledzi. Rybacy wbiegali wtedy na kolejne podwórka, objuczeni blaszanymi wiadrami, z daleka już wołając donośnie: – *He-e-ring! He-e-ring! Fünf Pfund ein Gulden!*<sup>2</sup> – Srebrny gulden był – po niedawnych koszmarach inflacji – całkiem solidnym, sporej wartości pieniądzem. Następną po nim monetą było – również srebrne – pięć guldenów – z wizerunkiem kościoła Najświętszej Panny Marii i solennym dachem głównej jego wieży na odwrocie. I jeszcze ciułane troskliwie przez dzieciarnię – fenigi. Reszta pieniędzy była papierowa.

Pięć funtów – czyli 2,5 kg – śledzi za guldena okazywało się ofertą wcale ponętą i niebawem ze wszystkich okien kuchennych płynąć zaczynały smakowite zapachy dobrze w mące obtoczonych, na smalcu ostro wysmażonych śledzi, których chrupkie ogonki należały do

-----  
<sup>1</sup> *Koh-len...* – (niem.) Wę-giel! Wę-giel!

<sup>2</sup> *He-e-ring!...* – (niem.) Śle-e-dzie! Śle-e-dzie! Pięć funtów za jednego guldena!

największych przysmaków dzieciństwa. Ale takie gratki – rzecz jasna – nie zdarzały się co roku.

Niesprawdzona, bo historycznie jakże odległa, wieść gminna niosła – też przez kuchnie i podwórka – upartą legendę o jakimś zgoła niespotykanym urodzaju na królewską rybę, czyli szaroróżowego łosia, który ponoć raz kiedyś w tak ogromnych ilościach się pojawił, że zrozpaczone dziewczyny do wszystkiego ugadzając się na kolejną służbę, z góry sobie zastrzegały, że łosia jeść się nie będzie częściej niż trzy razy w tygodniu.

Złota – królewska, bo przez króla Polski fundowana – kaplica. Złota gdańska wódka, czyli goldwasser, w której likierowooleistej, leciutko jakby pomarańczami pachnącej cieczy pływają i migocą drobnutki, złote kruszyny. Złota legenda o królewskiej rybie – a może i prawda? Któż dziś odgadnie!



Huldy, Helgi i Hildy chadzały nieodmiennie do Kantoru pani Piefke. Wchodziło się tam po trzech kamiennych schodkach do mrocznej sieni i z niej – po lewej – do dwóch niezbyt jasno oświetlonych pokoi. W pierwszym, obstawionym wokół ścian krzesłami, czekały swojej kolejki krępe przeważnie, krzepkie a grubokościste dziewczyny, z których każda mocno ścisnęła w rękach mniej lub bardziej podniszczoną torebkę. Zawartość owych torebek badała skrupulatnie w sąsiednim pokoju właścicielka tego – jak by się to dziś określiło – biura pośrednictwa pracy, stosownie kierując stojące przed jej obliczem kandydatki do lepszych lub gorszych państwa lub nawet – przy rażących brakach odpowiednich kwalifikacji – do najniższej płatnej, a najbardziej uciążliwej posługi. Dokumenty musiały układać się w zborną całość, z której dotychczasowy przebieg życia i pracy tych wiejskich zazwyczaj i raczej jeszcze młodych aspirantek do zatrudnienia miastowego wyłonić się był winien jasno i przejrzysto. A więc najpierw – metryka, z kolei papier najważniejszy! – świadectwo moralności, wystawiane i podpisywane przez lokalnego, wiejskiego proboszcza, potwierdzające skromność, uczciwość, pracowitość, pobożność i różne inne cnoty wiejskiej dziewczyny, później zaś – o ile nie ubiegała się o pracę w mieście po raz pierwszy – chronologicznie ułożone świadectwa z miejsc poprzednich – z reguły wystawiane przez kolejne panie domu, choć nieraz opatrywane podpisami samotnych starych kawale-

rów lub bezradnych w chaosie domowego gospodarstwa i z tychże względów najbardziej wyrozumiałych wdowców.

Frau Piefke była drobną, acz energiczną, dość zamaszystą w ruchach kobietą w wieku trudnym do określenia, gdyż stalowszare jej włosy szcęsane były od czoła gładko i wielkimi szpilkami ciasno spięte w tyle głowy w tzw. kok, czyli jak to onymi czasy nazywano *Dutt*, a czarne, małe i bystre oczka wertowały przedkładane papiery przez parę grubych, w żadną oprawkę nieopatrzonych binokli, które w języku niemieckim nosiły znacznie stosowniejszą nazwę szczypacza alias „kneifera” od metalowego uchwyty mocującego je na nosie i pozostawiającego na nim trwałą, sinoczerwoną pręgę.

Przedsiębiorstwo pani Piefke prosperowało znakomicie, być może i wskutek tego, że unowocześniła je ze znacznym pożytkiem, instalując bynajmniej jeszcze nierozpowszechniony w owych czasach telefon. Drewniane, brązowe pudełko z wystoperczonym z samego jego środka czarnym, metalowym ryjem, wisiało tuż za jej plecami na ścianie, a z boku zawieszona była na widelkach słuchawka. Zdejmując ją, należało chwilę poczekać, aż zgłosi się dyżurna telefonistka z centrali (panienka nie tyle z okienka, co z pudełka zwana podówczas *das Fräulein vom Amt*<sup>1</sup>) i jej podać numer własny oraz rozmówcy, z którym – po kolejnym, dłuższym raczej niż krótszym czekaniu przy akompaniamencie brzęków, zgrzytów i warkotów – następowało magiczne połączenie, niekiedy zresztą urywające się nagle w pół słowa, z równie magicznych a niedocieczonych przyczyn. Techniczna ta inwestycja opłaciła się wkrótce sowicie, gdyż w portowym mieście telefonów pojawiało się z każdym tygodniem więcej, a i klientek, pilnie poszukujących przyuczonej już – a więc droższej w cenie – służącej lub choćby tylko prostej dziewczyny do wszystkiego, także nie brakowało. Powiadomione o walorach i umiejętnościach – jakby specjalnie dla pani upatrzonej Hildy, Helgi, Huldy – pojawiały się owe łaskawe panie (bo inaczej służące nigdy się do swoich chlebodawczyń zwracać nie miały wtedy prawa) w skromnym kantorku Piefki, zadając wystraszonemu lub rezolutnym, mrukliwym lub dobrze już wyszczekany dziewczynom mnóstwo dodatkowych pytań:

- A dzieci bawić umie?
- A psy trzy razy dziennie wyprowadzać?
- Papugę z palca nakarmić? (Chodziło o dużą, zielono-niebieską arę, nie żadne tam seledynowe, błękitne czy białe papużki nierozłączki, hodowane parkami w klatkach, zresztą moda na nie przechodziła,

-----  
<sup>1</sup> *Fräulein...* - (niem.) panienka z centrali.



*Ulica zaś nazwę nosiła - w przybliżonym przekładzie polskim - Zgniętej Fosy, lub - co nowsze dociekania zdają się potwierdzać - po prostu Freta, czyli miejskie śmieciowe wysypisko. Za nic natomiast tłumaczyć jej nie należało na polską Gnilną...*



*Uroda Pam to jej oczy, ogromne, szare i - choć to brzmi przeokropnie i najbanalniej - po prostu promienne. Jawią się w nich nagłe błyski i głębokie cienie niczym chmury na sklepieniu nieba i tkwi chyba samo sedno całej jej osobowości. Drugą cechą, odróżniającą ją od innych ludzi, są ślimaki.*

gdyż powszechnie utrzymywano, że to właśnie one są roznosicielkami groźnej a tajemnej papuziej choroby).

Tak zwane perły, czyli starszawe już zazwyczaj, godne i dobrze swoją cenę znające, samodzielne gosposie, obeznane z wszelkimi tajnikami domowej krzątaniczy, pojawiały się tu nader rzadko. Zazwyczaj władały w kuchniach poszczególnych domów latami, bywało, że dziesięciokami lat, stając się z czasem pełnoprawnymi członkami rodzin swych chlebobawców, po czym, uciuławszy spory nieraz grosz, albo wychodziły jeszcze za mąż, albo wracały w rodzinne strony, albo też – gdy z niezależnych od nich względów traciły miejsce u państwa – polecane były najgoręcej do następnego, przeważnie zamożnego domu, otaczane tam atencją i życzliwością, jako że o nie było zawsze najtrudniej.

Perłą w stanie całkowicie jeszcze surowym były najczęstsze klientki kantorku pani Piefki: dziewczyny prosto ze wsi, nieco jeszcze nieporadne i wystraszone brzękiem, hukiem, szumem i wartkim tempem życia wielkiego miasta. Zdarzało się przecież, że pod kierownictwem wytrwały, a też wyrozumiały swoich pań, z czasem nabierały ogłady, przystojnych manier i dość nawet szybko przyswajały sobie wszelkie, niezbędne w ich fachu umiejętności.

Klientelę pośrednią, taksowaną szczególnie surowo i podejrzliwie, stanowiły dziewczyny, które nie z jednego już miejskiego garnka pojadły, przetarły się – niekiedy w bardzo dosłownym sensie – przez sporo domów i ulic, w miarę cwane i w miarę układne. Poznać je było można już od pierwszego rzutu okiem po przyklepionych do jednej tylko skroni, naleśnikowatych, modnych beretach, krótszych przyodziewkach, słupkowych pantoflach, a niekiedy nawet żywych rumieńcach, wywołanych przeważnie pocieraniem policzków zwilżonym, ogniście cynobrowym opakowaniem niezbędnej w każdym gospodarstwie cykorii i mocniej lub słabiej podczernionych (wypaloną zapalką) albo i – *horribile dictu!*<sup>1</sup> – wygolonych brwiach.

Parę klas wiejskiej szkółki pokończone miały niemal wszystkie. Liczyły więc w miarę sprawnie, koślawymi cyframi wypełniając kartki rozliczeniowe z codziennych wypraw na targ lub do okolicznych sklepików. Z kulfoniastym spisywaniem zakupionych produktów było już gorzej, ani wspominając o ortografii. Czytanie przeważnie nie nęciło ich wcale i w chwilach wolniejszych od licznych prac domowych wołały śpiewać, modlić się albo też wymykać na tylne, kuchenne schody, by poplotkować choć chwilę z sąsiadką-koleżanką.

-----  
<sup>1</sup> *horribile dictu* – (łac.) strach powiedzieć.

Pojawiały się w progach nowego miejsca ze sporym, drewnianym i przeważnie jaskrawą zielenią lub ugrową brunatnością pokrytym kuferkiem – którego sklepienie wieko pokryte było wewnątrz wylepiankami z kolorowych widokówek, obrazków świętych, a u co bardziej oblatanych fotosami gwiazd filmowych – opatrzonym solidną kłódką, oraz z wielkim płóciennym worem z pościelą – zagospodarowując się w kolejnych klitkach, zwanych szumnie pokoikiem dla służby, jakiejś ściennej wnęce czy niszy albo i w małej szafce i na żelaznym łóżku, ustawionym po prostu w kącie kuchni.

W mig też okazywało się, że nawet największe z pozoru niezguły w pełni świadome były swych podstawowych praw: do koszykowego, czyli drobnych, acz nielegalnych oszczędności, jakie udawało im się uszczknąć z pieniędzy wydzielanych na codzienne zakupy, oraz do wychodnego, czyli wolnego dnia, w którym wolno im było opuszczać miejsce i korzystać z uciech miejskich, choć tylko do granic wyznaczonej i surowo przestrzeganej godziny powrotu w domowe pielesze – najczęściej dziesiątej wieczór.

Zdeklarowane dewotki jeszcze przed rozpoczęciem obowiązku zarowowywały sobie dodatkowo a to wczesne poranne msze święte – nie zapominając oczywiście o niedzieli – a to dodatkowe wyjścia na nieszpory, majowe, czerwcowe lub październikowe nabożeństwa, litanie i różańce, tudzież comiesięczne bodaj zebrania członkiń stowarzyszenia patronki służby domowej, św. Zyty. Nie ona jednak opiekowała się nimi w chorobie, lecz popularnie tak zwana chora kasa, która rzecz prosta, sama bynajmniej chorą nie była, tylko pomoc medycyno-lekową zapewniała, składki zaś płacić obowiązany był chlebobawca. Czasy były to już zdecydowanie postępowe!

Helgi, Huldy i Hildy – choć nie tylko pod tym troistopodobnym występowały imieniem, zdarzały się też różne Trudki, Tildy i Grety – pojawiały się i znikwały z szybkością meteorów. Może – a nawet z pewnością – nie we wszystkich kuchniach i domach, na pewno jednak w tym jednym gospodarstwie, o którym teraz wspomnieć już trzeba bardziej szczegółowo. A szybkie te przemiany, powitania i rozstania nic niemal – lub tylko niewiele – miały wspólnego z ich umiejętnościami. Praprzyczyną nieporozumień i podstawową kością niezgody była kasza. Zwykła kasza.

Dom był ościężały, toporny, szary, choć czteropiętrowy, a należał do mistrza kominiarskiego, pana Kaisera, który – jak na zamożnego kamienicznika przystało – sam także w nim mieszkał, na najlepszym, pierwszym piętrze. Jakże go podziwiano, zwłaszcza w niedzielę, gdy

w swoim galowym, czarnym mundurze z okrągłymi, złotymi (czyli mosiężnymi, ale wyglansowanymi do połysku) guzikami i w wysokim, starannie wyszczotkowanym cylindrze pojawiał się na ulicy! Wszystkie okoliczne dzieci – nie tylko chłopcy! – marzyły na ten widok, by zostać kominiarzami. Ulica zaś nazwę nosiła – w przybliżonym przekładzie polskim – Zgniłej Fosy lub – co nowsze dociekania zdają się potwierdzać – po prostu Freta, czyli miejskie śmieciowe wysypisko. Za nic natomiast tłumaczyć jej nie należało na polską Gnilną, od której fetor szkaradny aż na tu zapisywane kartki niesie – brrr!

Numer domu był dziesiąty, a brama – co wieczór zamykana – opatrzona przemyślnym urządzeniem, potocznie przez domowników określanym jako przetykadło. Był to spory klucz, tym się od innych różniący, że wcale nie miał tak zwanego oka (albo ucha), tylko z obu swych stron zamykadłowe ząbki, które należało wsunąć do dziurki, przekrócić, bramę otworzyć i z kolei – stojąc w zależności od potrzeb już zewnątrz, na ulicy albo wewnątrz, w sieni – raz jeszcze z odpowiedniej strony obrócić i z owej dziurki wyciągnąć. Dalej było pięć schodków i ciężkie, oszklone, wahadłowe drzwi wiodące na schody. Z podestu, tuż po wspomnianych pięciu schodkach, na tzw. wysokim parterze znaleźć można było po obu stronach mieszkaniowe drzwi. Mieszkanie, o które tu chodzi, ulokowane było – od wejścia – z prawej strony.

W kwadratowym przedpokoju na ścianie wisiał – kubek w kubek takusieńki jak u pani Piefke – telefon, w rogu zaś jaśniała czule na jasnofiołkowy kolor lakierowana drewniana budka-wygódką, z ultranowoczesnym jak na owe czasy rezerwuarem wodnym i wiodącym odeń łańcuszkiem, opatrzonym na końcu porcelanowym dzyndzlem. Z takiego właśnie przedpokoju wejście było od razu do niewielkiej jadalni, o lampie z obszernym, ciemnofioletowym abażurem, nisko zwieszanej nad prostokątnym, rozsuwanym stołem. Na co dzień był on pokryty ciemnoczerwoną ceratą, dołem ozdobioną żółtymi, regularnymi zygzakami („taki wzór nazywa się meander” – zostało z tych najpierwszych wspomnień wyjaśnienie). Sześć ciemno bejcowanych krzeseł wokół, o prostych, też prostokątnych wysokich oparciach. I wielki rzeźbiony kredens z licznymi szafkami i szufladami. I z lewej – na podłodze przy oknie – spora, rozłożysta, seledynowożółta domowa lipka, o liściach pokrytych puszystymi włoskami. I – po tej samej stronie – drzwi do kuchni, a po przeciwnej – do dość mrocznego saloniku. Stało w nim pod ścianą połyskliwie czarne pianino ze stertą nutowych zeszytów, na podłodze leżał niewielki, brązowy dywan,



a resztę pokoju zajmował komplet mebli – fotele i rozłożysta kanapa – krytych chłodnym, gładkim, szarozielonym materiałem, owalny wśród nich stół (prawdziwy mahoń! – mawiała ze znawstwem ciotka Jola), a pod ścianą składany, kwadratowy stolik z blatem obciągniętym ostrozielonym sukniem.

Stąd kolejne drzwi wiodły do sypialni – trzeciego i ostatniego pokoju z rozłożystą, trzydrzwiową szafą, łózkami i umywalką o białym, marmurowym blacie (na którym stała porcelanowa miska i takiż dzban, zdobione secesyjnymi nenufarami o węzowatych, powyginanych liściach), wiadrzem na brudną wodę i białym bidetem o składanych, metalowych nóżkach. Pewnie i co więcej mieściło się jeszcze w tych pokojach, ale w pamięci kronikarskiej ostały się tylko te szczegóły.

No – i piece. Białe, połyskliwe, o wielkich kwadratowych kaflach, piece, od których w mroczne jesienne i najciemniejsze zimowe ranki zaczynał się dzień, rozpoczynało całe życie domu. Rozpalane troskliwie, karmione hurgocącym na szufli węglem, pieczołowicie zakręcane w trudnej do ścisłego ustalenia chwili, żeby dobrze trzymały ciepło. Świat od nich się właśnie codziennie na nowo zaczynał – od buzującego w ich wnętrzu ognia, a niekiedy od trwożnych obaw i narad, gdy – mimo wszelkich starań – zabuzować nie chciał, bo nie było cugu. Ale cug był przeważnie – i to nie byle jaki – nie darmo przecież dom to był kominiarski.

Pora na przedstawienie mieszkańców – i zarazem kłopot poważny. Bo wbrew powszechnie utartym zwyczajom – dziwnie się nazywają. To jest – mają, oczywiście, imiona różne, a wspólne nazwisko, wyryte na żółtej, mosiężnej tabliczce przyśrubowanej do drzwi wejściowych i pilnie przez kolejne Hildy, Helgi, Huldy do połysku pucowanej białym, wstrętne cuchnącym Sidolem. Ale na co dzień sprawa ta jest bardziej skomplikowana, by nie rzec nawet – gorsząca.



Zacząć trzeba od Pam. Ani wysoka, ani niska, szczuplutka, prosta, o strzelistych nogach, dość dużych, szybkich rękach, owalnej twarzy, której urody nie dodają ani zbyt wydatne kości policzkowe, ani nieco zbyt długi nos, ani zbyt szerokie usta. Uroda Pam to jej oczy, ogromne, szare i – choć to brzmi przeokropnie i najbanalniej – po prostu promienne. Jawią się w nich nagle błyski i głębokie cienie niczym chmury na sklepieniu nieba i tkwi chyba samo sedno całej jej osobowości. Drugą cechą, odróżniającą ją od innych ludzi, są ślimaki. Bo Pam ma

ogromne, ciemnobrunatne o złotawych połyskach aż do kostek spływające włosy, które na co dzień – z przedziałkiem pośrodku – splata i upina mnóstwem wiecznie gubionych, szylkretowych spinek po obu stronach kształtnej głowy. Nie tylko spinki sprawiają jej bezustanne zmartwienia – bardziej jeszcze moda ówczesna, nakazująca paniom nosić kapelusze w kształcie ohydnych, dnem do góry nasadzonych i aż po brwi sięgających garnków. Żaden z tych tworców na ślimaki wleźć nie chce, a że szanująca się kobieta bez kapelusza na ulicy zjawic się nie może – balansują krzywawo na wysokościach, nadając ich właścicielce wygląd odrobinę zawadiacki, a trochę i zabawny. I to w czasach, gdy wszelkie kobiece głowy ostrzyżone były króciusiętko na chłopczycę!

Pam z mody kpi, a w każdym razie robi z niej sobie niewiele. Sukienki nosi proste i najczęściej ciemne – może z wyjątkiem mięciutkiej z jasnolawendowej dzianiny i odświeżonej, wesołej w czerwono-czarne drobne wzorki na białym tle. Zwykle chodzi w bezrękawowych, dość długich – jak na arcy podkaszane ówczesne kreacje – brązowych, szarych czy granatowych przyodziewkach, zmieniając do nich tylko białe lub kremowe, długorękawowe bluzki. I do każdej przypina zegarek, który też należy do jej znaków szczególnych: na długim, dwakroć wokół szyi zakręconym i niemal aż do pasa spływającym drobnym, srebrnym łańcuszku przypinany bywa ów zegarek – wielkości włoskiego orzecha – równie srebrną kokardką przy dekolcie lub też nad sercem. Kopertę ma podwójną, zdobioną złotymi esami-floresami, a wewnątrz koperty ukryte są malutkie fotografie jej rodziców (czyli dziadka Franciszka i babci Teodozji). Cyferblat zegarka jest biały, a same cyfry na nim czarne i rzymskie.

Pam nie maluje się, a horrendalnie drogich, prawdziwie jedwabnych pończoch ma tylko jedną parę. Na sypialnianej umywalce stoi co prawda spore, żółtawe i barwnym bukietem ozdobione pudełko francuskiego pudru *Quelques Fleurs* i ciemnoszafirowy flakon ze srebrzystą zakrętką, czyli *Soir de Paris*, ale na tym też i kończą się jej koncesje względem światowości czy mody.

W jadalni poza posiłkami królują podłużne, szarobiałe pudełka, ozdobione zielonym liściem i czerwonym napisem *Morwitan*, i szczęka niestrudzenie papierosowa napychaczka. Z rozsypanego na gazecie tytoniu wkłada się – otworzywszy jej na zawiaskach ruchome wnętrze – odpowiednią porcję, zatrząskuje i długim szpikulcem wsuwa do nasadzonej na jej okrągłość gilzy. Stos papierosów rośnie szybko – i równie szybko znika.

Bo Pam jest prędką. W mowie, ruchach, paleniu i wszelkiej robocie. A roboty ma huk. Albo haftuje, albo z dziwnej – czasami kolorowej – słomy zwanej rafią sporządza jakieś podstawki czy kubeczki do papierosów właśnie, albo już je niesie na kolejno przez siebie organizowane bazary, loterie fantowe czy wenty, albo – bywa, że i parę razy dziennie – wyrusza na przeróżne zebrania, spotkania i narady. W sprawie Macierzy Szkolnej – czyli polskiej szkoły, biblioteki polskiej, chóru, a jakże, polskiego, jasełek lub rocznicowo-patriotycznych obchodów. Z żółtą opaską na rękawie pełni dyżury w Misji Dworcowej na przeskardnie pokracznym dworcu, z którego peronów sprytni naganiacze łowią co bardziej hoże, oszołomione pierwszym zetknięciem z wielkomięskim hukiem dziewczyny, wioząc je na przyobiecane dobre posady, czyli wprost do lokalnych – a bywa, że i zamorskich – burdeli.

Nie jest znudzoną mieszczką, wyżywającą się w dobroczynności, ani wojującą feministką. Jest sobą – już jako młodziutka dziewczyna zapaliła się do społecznej roboty, bez której życie wydaje się jej ciasne i szare. Tylko że za młodu – z iluż niebezpieczeństwami połączona była ta jej praca – tam, nad Wisłą, zawsze nad Wisłą: najpierw z wysokiej skarpy, tuż przy tumie (w którym dwóch polskich królów pochowano) oglądana, później w Warszawie, gdzie trafiła jako początkująca nauczycielka ubogich szkółek podmiejskich! Teraz – zabory znikły, zajęć natomiast z każdym dniem przybywa, więc uwija się pośród nich, na ile jej tylko czasu, dnia i zdrowia starczy.

Bo Pam jest chora, bardzo, nieuleczalnie chora – to relikwiny późniejszych lat jej młodości w dalekiej, zbyt śnieżnej i mroźnej krainie. Straciła tam synka, omal nie utraciła wzroku, a nerki od owych lat odmawiają raz za razem posłuszeństwa, mimo stałych konsultacji u lekarzy, kuracji w przeróżnych badach i starannie przestrzeganej, skąpej, bezsolnej diety. (Dzień w dzień niemal ten sam widok i zapach przy obiedzie: kawałek białej ryby, gotowane kartofle, mdląco pachnąca oliwa – koniecznie prowansalska – i parę kropel cytryny). Nic dziwnego, że tęskniła za kaszą, potrawą tu całkowicie nieznaną, z wyjątkiem manny – grysiku dla niemowląt lub podawanej na gęsto i zimno z malinowym sokiem, też jako deser dla dzieci. Pam pisała tęskne listy do nadwiślańskiego miasta z wysoką skarpią, a mieszkająca tam starsza jej siostra przysyłała w odpowiedzi białe woreczki, wypełnione już to drobną perłówką, już to grubszą, jęczmienną albo żółtą, jaglaną, albo i najdrobniejszą krakowską, którą – po ugotowaniu – wylewało się na płaski talerz, by zastygła i później, pokrojoną w kosteczkę, rumianą

i chrupką podsmażano na patelni i tylko na maśle, bo margaryna – we wspomnieniach z niedalekich, wojennych lat – uchodziła za ohydny erzac, namiastkę, mogącą spowodować najgroźniejsze skutki, ze skretem kiszek włącznie.

Pyzate i chorowite, jedyne dziecko dawało się niekiedy namówić do spróbowania tych specjalności, ale kolejne dziewczyny do wszystkiego rebeliowały otwarcie wobec „takiego tam” jadła, które może i warto kurom podsypać, aleć zgroza karmić nim dorosłych, ciężko pracujących ludzi i – jedna po drugiej – wymawiały od pierwszego. Kasza tedy była przyczyną kulinarnych nieporozumień i kolejnych wizyt w mrocznym kantorku pani Piefke.



Zmieniające się – niekiedy z szybkością szkiełek w kalejdoskopie (któż dziś jeszcze pamięta, czym była dla dzieci ta chrzęstliwie barwna ułuda?) – Huldy, Helgi i Hildy wywarły jeszcze jeden wpływ uboczny, a w skutki brzemienny. Pam, nie mając z kim zostawić dziecka w domu – rada nierada – musiała zabierać je ze sobą na przeliczne narady, komitety i zebrania. Żeby zaś mała nie przeszkadzała i nie nudziła, nauczyła czterolatkę czytać. Efekt był znakomity: każdy dzień zaczynał się od książki, trwał w książce i książką się kończył. Litery, jak litery – nie było ich w końcu tak wiele, a składane coraz sprawniej, ujawniały niesłychane i coraz to inne nowości. Gorzej nieco, że tę nowo nabytą umiejętność prezentować się chciało koniecznie także i na zewnątrz – w tramwaju czy na ulicy. Głośne odczytywanie wszelkich napisów i szyldów przekształciło się w świetną zabawę, bo na przykład *Zigarren* bez dodatkowych wyjaśnień oczywiście zapowiadały cygara, tak jak od razu zrozumiałe były bliskie sobie w obu językach *Zucker* czy *Kartoffeln*, ale taka np. głośno w tramwaju z mijanego domu triumfalnie odczytana:

– *Heb-am-me* (i czegoż ci dorośli pasażerowie tak się raptem wszyscy uśmiechają)... Pam, co to?

– Akuszerka.

– Co robi?

– Pomaga dzieciom się urodzić.

Jasne. Każdy człowiek ma przecież urodziny, czyli *Geburtstag* (a niektórzy szczęśliwcy, wówczas wiedziała już, że Polacy, z czasem doszli jeszcze Francuzi – dodatkową okazję do prezentów w postaci imienin albo *jour de fete*), uroczyste obchodzony dzień urodzin –

w jego osiągnięciu pomaga zapewne ta pani – więcej nie ma co (na razie) głowy tym sobie zaprzątać.

W ogóle żyje się konkretnie i pytać wolno o wszystko – zaraz, głośno, nigdy nie słysząc (później ileżset razy – od obcych już) głupawych odpowiedzi:

– Za mała jesteś, żeby ci na to odpowiedzieć!

– Cicho, smarkulo – o tym się nie mówi!

– Jak pójdziesz do szkoły (będziesz starsza), to się dowiesz!

Albo – najbardziej już demagogicznie: – Dzieci i ryby nie mają głosu! (*Quand les grandes personnes parlent – les enfants se taisent!*<sup>1</sup>) itp.

Odpowiedzi były zawsze konkretne, krótkie i całkiem serio – co ważne, jeśli nie najważniejsze.



Tej otwartej, a wszechstronnej edukacji towarzyszył akompaniament muzyczno-wokalny. I znów: repertuar był poważny. Nie żadna tam kliwko-dziecinna pioseneczka o klasowym rozwarstwieniu społeczeństwa, gdzie to „... w bramie dziad wyciąga rękę” – tę, owszem, też się znało i nie cenilo bynajmniej. Gorzkie łyzy najszczerzego współczucia budziła pieśń inna, w pierwszych już słowach donosząca o nieszczęsnym losie Maurów, bo oto okazywało się, że „Już w gruzach leżą Maurów posady”... Pum stracił właśnie niedawno posadę, czyli pracę, czyli płatne zajęcie i w zasobnym dotąd mieszkanku nagle pojawiła się luta bieda. Jakże więc nie żałować Maurów, którym także trafił się taki los?! Na pociechę śpiewało się więc balladę („pamiętaj: to ballada!”), czyli romantyczną pieśń, w której „chłopiec piękny i młody” wędruje z „dziewicą” „brzegami sinej Świtezi wody”, przy czym wymieniają prezenty i też zaraz wiadomo z jakiej racji:

*Ona mu z kosza daje maliny*

*A on jej kwiatki do wianka;*

*Pewnie kochankiem jest tej dziewczyny,*

*Pewnie to jego kochanka.*

– A co to „kochanka”? – z chytrymi uśmieszkami podpytywali obcy, czyli goście.

– To tak jak Pam. Ileż razy Pum do niej mówi: „kochanie!” – odpo-

-----  
<sup>1</sup> *Quand les grandes...* – (franc.) dosłownie: Kiedy dorośli rozmawiają, dzieci są cicho!

wiała rzeczowo, nie pojmując chóralnego wybuchu śmiechu, jaki zawsze następował po tym wyjaśnieniu.

– A poza tym – gorszą się głupi dorośli – jak ty mówisz do własnych rodziców? Jakież Pamy i Pумы? Jak w zoo, wszystkie dzieci mówią przecież „tatuś” i „mamusia”, a i to z szacunku zwracają się do nich przez „niech mama”...

Niech tam niech. W tym domu było inaczej i żadne sarkania prze-mądrzałych gości odmienić tego nie mogły!

Společne a przeliczne zajęcia Pam nie wywodziły się jednak tylko z wrodzonej jej motoryczności, poczucia groźnie upływającego czasu i postępującej choroby – przede wszystkim wpływały z jej płomien-nego patriotyzmu. Pum raczej pobłażliwie odnosił się do tej strony jej działalności, ale Pam wiedziała swoje. Wyjaśniała to zresztą – a opo-wiadać umiała celnie i kolorowo. Zaczynała na przykład tak, że o szar-nej godzinie, cicho sobie na pianinie przygrywając, śpiewała (miała czysty, choć słaby alt) „najsmutniejszą piosenkę”:

*Lecą liście z drzewa,  
Co wyrosło wolne,  
Na mogile śpiewa,  
Jakieś ptaszę polne.*

*Nie było, nie było  
Matko szczęścia tobie:  
Wszystko się prześniło –  
A twe dzieci w grobie!*

Dalej było już coraz przeraźliwiej i żałobniej:

*Popalone sioła  
Popalone miasta,  
A w polu dokoła  
Zawodzi niewiasta.  
Nie było, nie było...*

Zawiła początkowo treść objaśniona została już przy pierwszym śpiewaniu najdokładniej: Moskale – rozbiory – okropności – powsta-nie (stąd „na mogile” – zresztą druga zwrotka już bardziej szczegóło-wo rzecz relacjonowała). A zamiast „Matko” należało właściwie śpie-wać „Polsko”, tylko że to właśnie (jak i same te śpiewy) zabronione

było najsurowiej przez Moskali, że w szkole i w urzędzie tylko po rosyjsku wolno było mówić, zaraz też dowiedzieć się było można, kto to szpicel, a kto donosiciel i Historia (przez duże H oczywiście) z posępnym łopotem czarnych swych skrzydeł wdzierała się do małego saloniku.

O ruskim gimnazjum z surową „kłasną dumą” w owym mieście nadwiślańskim z wysoką skarpią mowa była jeszcze, o brązowych mundurach ze sztywnym, na haftki zapinanym kołnierzem („jak obroża!” – wzdygła się na samo wspomnienie Pam), obszywanych starannie u rąbka długiej do pięt spódnicy tzw. szczoteczką („którą się tylko błoto i kurz z ulicy zamiatało!”), o wielogodzinnym codziennym ślęczeniu nad znieawidzoną cyrylicą, ale też o końcowym triumfie w postaci złotego medalu, którego uzyskanie umożliwiło jej później nauczycielsko-społecznikowską pracę wśród najuboższych. I, oczywiście, o tajnych kółkach polskiej, zapalanej młodzieży, stertach konspiracyjnie przechowywanych kajetów z przepisywanymi potajemnie patriotycznymi wierszami, sekretnych spotkaniach w niewielkim, zaufanym gronie, gdzie śpiewało się półgłosem (i przy szczelnie zasłoniętych oknach) jakże posępny chorał: „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej”... lub szczególnie niebezpieczne „Boże, coś kraj nasz przez tak liczne wieki”..., ale tu – w razie niespodziewanej wpadki – można było usiłować się wykić twierdzeniem, że śpiewało się wspólnie bardzo wówczas popularną pieśń maryjną „Serdeczna Matko, opiekunko ludzi”... Melodia była wprawdzie ta sama – ale modlitw i pobożnych śpiewów we własnej mowie tubylcom w tym Prywislan-skim Kraju jakoś nie zabroniono.

Stąd – płomienny patriotyzm i staranna „edukacja narodowa”. Na: „Kto ty jesteś? – Polak mały” czy skoczne: „Witaj, majowa jutrzeńko”... przystać można było jeszcze bez oporów. Poważniejsze kontrowersje zaczęły się dopiero przy „Jeszcze Polska”..., bo – jakże to: „Z ziemi włoskiej – do polskiej”? Skoro już wyjaśniona została ta zawilgość, natychmiast wyłaniała się poważniejsza: „Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę”... Po pierwsze: po cóż tać się w aż dwóch rzekach po kolei tylko po to, by „być Polakami”? A po drugie: – Nie mówiłaś mi, nie rysowałaś, że Wisła jest w samym środku Polski, a Warta tam z boku od niej, o, z tej strony! – i dziecinny palec z nieubłaganą logiką posuwał się po kartce ze schematycznym zarysem kraju i jego rzek. – To jak to iść? Najpierw przez Wisłę, później dopiero przez Wartę i co? To się Polska skończy!

Gdy i te wątpliwości zostały należycie przedyskutowane, edukację rozszerzono na inne jeszcze kręgi i o nich, przy okazji, wspomnieć też koniecznie będzie trzeba.



Doktor Euler był mały: dwie pękate dynie, u dołu zakończone parą nikłych nóżek, u góry zaś uwieńczone połyskliwą łysiną na krągłutkiej głowie z parą groźnie migocących okularów. Z temperamentu był gwałtownym cholerykiem i już na schodach dudnił jego wrzaskliwy baryton. Gdy przerażone, rozgorączkowane i rozchlipane dzieci nie od razu stosowały się do gromkich jego poleceń, wrzeszczał na nie jeszcze głośniej, tupiąc przy tym nogami. Szufłowatymi rękami dotykał jednak rozpalonych, małych ciał szybko, sprawnie, niezmiernie delikatnie, a w poważniejszych wypadkach odrzucał drewnianą słuchawkę i, przykładając do dzieciennych pleców czy piersi swe wielkie, owłosione, słoniowate ucho, przeprowadzał odsłuchanie bezpośrednio – a nie słyszano, by mylił się w diagnozie. Był postrachem zarówno dzieci, jak i rodziców, a równocześnie najlepszym w mieście pediatrą. Legendy krążyły o honorariach, jakie zdzierał w domach bogatych czy choćby zamożnych, ale powszechnie też utrzymywano, że dzieci ludzi biednych zawsze leczył za darmo.

– *Handtuch und Seife! Und einen abgekochten silbernen Löffel!*<sup>1</sup> – darł się już od progu, po czym szorował namydlone ręce jak przed operacją i przyniesioną, koniecznie wygotowaną i koniecznie srebrną, łyżkę pakował odrętwiałemu ze strachu dzieciakowiomalże do samej tchawicy, co powodowało smarkanie, krztuszenie, ale też konieczność jak najszybszego otwarcia ust, a o to mu przecież chodziło.

Gdy ta drakońska metoda nie odnosiła pożądanego skutku, rzucał z furią łyżkę na podłogę i własnoręcznie ciągnął pacjencików za język, jakby zamierzał wyrwać go im z kretesem!

Przerażona Pam nauczyła więc swoje chorowite dziecko przezornie – w rzadkich chwilach własnej remisji i podczas przerw w kwękaniu co i rusz na coś zapadającej małej – jak najszerzej rozdziawiać usta i głosem brzuchomówcy wołać przy tym donośnie:

– Aaa! Aaa! Aaaa!

Metoda, przy późniejszych okazjach, wydała rezultaty znakomite, ale, rzecz dziwna, rozgorączkowane, wystraszone gromkim porykiwaniem dzieciaki mimo wszystko lubiły jakoś swego straszego dok-

<sup>1</sup> *Handtuch und Seife!*... – (niem.) Ręcznik i mydło! I wyparzoną srebrną łyżkę!



tora, który tak szybko i umiejętnie potrafił im ulżyć w każdym prawie cierpieniu, a pod koniec wizyty albo zabawne stroił miny i ucieszenie mrugał, albo nawet pozwalał przez chwilę bawić się swym grubym, złotym zegarkiem – co prawda należycie umocowanym na długiej de-wizce i chowanym później do kamizelkowej kieszonki.

Lekarstwa, jakie przepisywał, były zazwyczaj ohydnie niesmaczne – słone, kwaśne, cierpkie, gorzkie. Ale gorsza jeszcze od nich była powszechnie przezeń zalecana dieta dla małych rekonwalescentów: – *Gekochtes Taubenfleisch, Brühe und Zwieback!*<sup>1</sup>

Ileż upartych namów i anielskiej cierpliwości trzeba było, żeby osła-bione (a też rozkapryszone) chorobą dzieci namówić do przełknięcia paru łyżeczek postnego, gołębiego rosółku lub, co gorsza, mdłego i już samym swym zapachem mdlącego, gotowanego gołębiego mięsa w asyście wprawdzie chrupkich, lecz kłujących w dziąsła sucharków! – Brrr!!!

Po latach ujawnił się – też oczywiście w książce – protoplasta tego rodzaju terapii – nie kto inny bowiem, tylko domowy lekarz zacnych Buddenbrooków; doktor Grabow podobnie odżywiać kazał niedoma-gające senatorskie latorośle: *Ein wenig Taube! Ein bißchen Franzbrot!*<sup>2</sup>

Kiedyż to Pam po raz pierwszy trafiła do impetycznego konsyliarza z tym swoim utrapionym dzieckiem? Czy w przeszłości tak zamierz-chłej, że dziś ginie już całkiem w pomroce lat, gdy z dnia na dzień ma-łe jeszcze ciało zeszywniało, zdrętwiało zupełnie, zamknięte powie-ki nie chciały się podnieść i tylko płyciutki oddech i słabe kołatanie serca świadczyły, że życie doszczętnie z niego nie uszło?

Czy może wtedy, kiedy niecierpliwa, dorosła ręka pchnęła w sieni wahadłowe drzwi, mocno i boleśnie przytraskując w nich dziecinny palec? Chirurg chciał od razu cały człon pierwszy amputować, nie zważając na błagania matki: – Przecież ona musi uczyć się muzyki na pianinie!

Doktora Eulera nie obchodziły argumenty żadnej z tych stron: szerniały na węgiel paznokciec zdarł natychmiast własnoręcznie, nie bawiąc się w żadne znieczulenia, a później nakazał smarowanie ma-ścią, przyrządzoną według swojej recepty, i częste wizyty kontrolne. Kuracja trwała (co Pam skrupulatnie odnotowała w kalendarzu) rów-no sto osiem dni i doprowadziła do całkowitego wyleczenia. Wyrósł nawet i nowy paznokciec, a lekcje muzyki na pianinie też się później odbywały przez sporo lat.

-----  
<sup>1</sup> *Gekochtes Taubenfleisch...* – (niem.) Gotowane gołębie, rosół i suchary!

<sup>2</sup> *Ein wenig Taube!*... – (niem.) Trochę gołębia! Trochę białego chleba!

Ale kolejne zatopienie w gorąco-dusznej półprzytomności jest jakieś inne, a czerwone plamy, jakie nagle rozlały się po całym ciele, przeraziły nie tylko dziecko; bardziej jeszcze matkę. Co duch sprowadzony doktor Euler, też zachowywał się inaczej niż zwykle, a co najdziwniejsze – wcale nie krzyczał. Badał tylko długo, dokładnie, a w końcu wypowiedział zwięzłą diagnozę: – *Scharlach!*<sup>1</sup> – Czyż możliwe, że w rozpalonej dziecinnej głowie tak się wszystko naraz odwróciło i pomieszało? Bo z sąsiedniego pokoju, dokąd rodzice udali się z lekarzem na poradę, dobiegać zaczęły donośne krzyki, ale wydawała je Pam! Doktor wprawdzie też odzywał się coraz głośniejsze, ale ona tym razem nad nim górowała. Z podnieconej dyskusji docierały przez uchylone drzwi tylko pojedyncze słowa: szpital – infekcja (a co to znów takiego?) – wreszcie – z wyraźną już pogroźką: – *Polizei!* – Jak to? Zaraz więc zjawia się tutaj jeden z tych trawiastozielonych policjantów w czarnym, połyskliwie lakierowanym wysokim czaku na głowie i... I co? Lekarstwo przyniesie? A może sprowadzi takie specjalne komando od napadów (*Uberfallkommando*), którego przeraźliwą trąbkę słychać niekiedy na ulicach: taa-tüü-taa-taa?

Doktor wreszcie odszedł. Pam zwyciężyła – dziecka do szpitala nie oddała, a żaden zielony szupo w domu się nie pojawił. Trwała tylko – ileż długich tygodni (tych, zaafierowana Pam nie nadążyła już zaznaczyć w kalendarzu) – nękająca szkarlatyna, której jedynie finał był niezmiernie interesujący, gdyż polegał na zdzieraniu całych płatów własnej skóry, szeleszczącej jak pergamin.

Rekonwalescencja okazała się dłuższa i nudniejsza od samej choroby: nogi ugiwały się, jakby były z masła, wszystkie sukienki okazały się nagle przeraźliwie workowate, a nawet tak pracowicie haftowane przez Pam okrągłe, białe krezki, które zmieniało się codziennie, zwisały fałdowato wokół dziecinnej szyi, wybitnie teraz podobnej do oskubanego gołębia.

Promieniał tylko doktor Euler, hucząc jak trzmiel: – Żadnych komplikacji! U tak chorowitego dziecka! Przy takim nasileniu! – I przychodząc z ostatnią już w tej turze wizytą, wysapał, kładąc przed małą długie pudło jej wzrostowi niemal dorównujące: – Otwórz! Tylko ostrożnie! To dla ciebie.

Fatalnie: w pudle tkwiła ogromna lalka!

Otóż lalek w tym domu nie bywało. Wyjątek – i to pogardliwie traktowany – stanowiła rozkudłona, jednooka (bo drugie jej oko padło za-

-----  
<sup>1</sup> *Scharlach!* - (niem.) Szkarlatyna!

pewne ofiarą wczesnej docieklivosti: „jak to jest tam w środku?”) Ewka, relikw przadawnych czasów. Obok niej przetrwał też cały z filcu uszyty, a z Berlina niegdyś przywieziony Jaś, w kraciatej kamizeli i z rudą, początkowo bujną, a po przyszczyżeniu króciutką już i jak rżysko kłującą czupryną. Wszelkie inne lalki bezapelacyjnie się rozdało. Nie nadawały się do żadnej zabawy. Były głupie i nudne. Co innego – koń na biegunach (był!). Co innego pluszowe zwierzęta: czarny kot z zielonymi oczami, spory zając i – nade wszystko – misie, różnej wielkości i maści, których z biegiem lat uzbierać się miało ponad dwadzieścia. One też kolejno – jeśli tylko się mieściły – wożone były w wózku na spacer, budząc zdumienie dziewczynek z sąsiedztwa, obwożących z przedwczesną macierzyńską dumą swoje wysztafirowane „puppy”.

Dobrze obeznani z tym stanem rzeczy domownicy popatrywali nie bez obaw na swe wybitnie antylalkowe dziecko: cóż ten raróg w tej sytuacji gotów nawyprawiać? A nawet skrzyć go nie można będzie później należycie, bo takie to jeszcze mizeractwo. Ale z ulgą i zdumieniem zobaczyli, że patykowata noga zaszurała niezręcznie na kształt dygu i posłyszeli wyraźnie wypowiedziane: – *Schönen Dank, Herr Doktor!*<sup>1</sup>

Bo też była to arcyłalka, jakiej nie widać było nawet na wielkiej wystawie suto zaopatzonego sklepu z zabawkami. Ogromna (Pam zmierzyła ją później: 71 cm!), o prawdziwych, ciemnych włosach, oczach niebieskich (które się zamykały) z równie prawdziwymi rzęsami, o zginających się rękach i nogach i ubrana wcale nieodświętnie w niebieską sukienkę w białe paski. Miała nawet ażurowe, białe skarpetki i zapinane na guziczek (jak te podówczas powszechnie noszone) czarne, lakierowane pantofelki. Zaakceptowana została od pierwszego spojrzenia i nazwana Alą (z racji niezapomnianych pierwszych stron Falskiego: „To lala”, „A to Ala”, „To lala Ali”). Do wózka się oczywiście nie mieściła, ale nie wychodziło się z nią na podwórko, trochę, by nie wzbudzać niepotrzebnej zazdrości (to wytłumaczyła Pam), a więcej z tej racji, że w ogóle pokazywało ją się obcym raczej rzadko i niechętnie. Pam uszyła jej później całą wyprawkę – łącznie z bielizną. Mieszkała w kącie za szafą i z czasem powstał tam cały pokój: z łóżkiem, stołem, krzeselkiem, a też zamczystym kufrem na garderobę.

Z tymże kufrem wyruszyła w sporą podróż, gdy kolejna kuracja nakazała Pam wyjazd do Krynicy, i mnóstwo w drodze narobiła kłopo-

-----  
<sup>1</sup> *Schönen Dank...* – (niem.) Bardzo dziękuję, panie doktorze!



*... a my - całą domową trójką - podążaliśmy (żeby się Pam nie męczyła) na obiad do wspaniałego hotelu Continental. Zapach świeżej, siekanej pietruszki w złotym rosolu, ciepły kotlecik (żadne tam gołębie!) z zielonym groszkiem, wiśniowy kompot na deser i...*



*I ten jeden tylko raz do roku  
żółty, brzydki, przysadzisty  
budynek teatru - nie darmo  
w potocznej mowie określany  
jako Kaffeemühle, czyli  
młynek do kawy - otwierał  
i dla dzieci swe podwoje.*

tu, gdyż kolejarz, wszedłszy do przedziału, najpoważniej zaczął domagać się jej biletu! Pobyt u wód Pam wprawdzie nie pomógł, wydatnie natomiast zaszkodził Ali, której nogi, solidnie wymoczone w jakiejś leczniczej krynicy, zaczęły się rozlatywać. Dopiero po powrocie lokalny lalczyny doktor (a byli tacy!) należycie ją wykurował.



Pum był barczysty, niewysoki, a nad siwymi oczami miał daruk, tj. tak wysuniętą część czoła, że bystre spojrzenie jego oczu niemal z opóźnieniem docierało na zewnątrz. Najmłodszy z czterech synów wiejskiego stelmacha (obaj ojcowie – matki i tatki – mieli na imię Franciszek, ale różnica zawodów była znaczna: tu stelmach, tam – adwokat!) wyrwał się spod ojcowskiej kurateli, która go do „zawodu z widokami na przyszłość” przeznaczała. Nie chciał być elektrykiem, uciekł z hamburskiej firmy aż do Priwislanskiego Kraju, bo interesował go transport, a tam spore po temu były widoki. Jak i gdzie poznali się wówczas z Pam – już nie wiadomo – rodzinne annały wspominają tylko niejasno o jakichś uroczystych odwiedzinach w pokoiku młodziutkiej nauczycielki i tak zapamiętałym powitaniu w korytarzu, że przerwał je dopiero przeraźliwy łoskot zza drzwi: to kot, korzystając z okazji, skoczył na stół i szybko porwał dwa śledzie w śmietanie, przeznaczone na wspólną kolację! A zaraz potem Puma aresztowano: pruski młodzieniec w rosyjskiej Warszawie – *oczywisto: szpion!* I wywieziono go daleko, a udręczona, przerażona Pam biegała po urzędach, szukając ratunku i zmiłowania. Biegać mogła dopiero po lekcjach w podmiejskich szkółkach i przed audiencją u s a m e g o! gubernatora tak już była zmęczona, że smacznie zasnęła w poczekalni. Zbudził ją dopiero delikatnym dotknięciem ramienia krępy, siwy człowiek w zielonym i bogato srebrem zdobionym mundurze: – *Nu, diawoczka, a wam szto nada?*

Powiedziała, podanie wręczyła. Wziął, ale pokręcił głową: – *Życia nie znasz, dziecko drogie. Narzeczona dopiero, a już chce za nim w te dale. Nie biespakojisia, on sobie tam inną znalazł, dawno już! Po cóż ci to rozczarowanie?*

Nie ustąpiła. Nalegała. Pojechała i dojechała. Chłodno było tam bardzo, głodno, póki nie ściągnął ich do miasta O. (którego spory szmat sam pobudował), najstarszy brat Puma – architekt H. Wrócili po wielu latach (już bez H., którego zbłąkana kula zabiła w 1917 roku, bez jego żony, którą zabił tyfus, za to z 3-letnią ich córeczką – niezmiernie

rozżaloną, że ze swych 40 strojnych lalek, zabrać może tylko jedną i najmniejszą) – przez miasto z wysoką skarpą, gdzie sami dzieci do czekali, ale gonieni przez nawałę ze wschodu nad Bałtyk umknęli. Pum zrealizował swoje marzenie: wziął się za transport, spedycję.

Pum miał kurę. Była to jakaś dziwna kura, bo w domu nigdy się nie pokazywała, natomiast rodzina i goście mówili o niej często i z uznaniem, że w tak młodym wieku (miał nieco powyżej trzydziestki) – i już. Ta kura nazywała się pro (razem więc: prokura), z jej racji Pum był prokurentem, podpisywał co i rusz jakieś bardzo ważne papiery, które mu goniec do domu nieraz i późnym wieczorem przynosił, no i nieźle wskutek tego zarabiał. Doszło do tego, że Helgi i Hildy na niedzielę miały po prostu wychodne, a my – całą domową trójką – podążaliśmy (żeby się Pam nie męczyła) na obiad do wspaniałego hotelu Continental. Zapach świeżej, siekanej pietruszki w złotookim rosole, cielęcy kotlecik (żadne tam gołębie!) z zielonym groszkiem, wiśniowy kompot na deser i pełen szacunku ukłon przysadzystego „tysonia”, pana N., który – jako właściciel – godnie przechadzał się po obu restauracyjnych salach. Niewymyślne to były wspaniałości – ale pamiętne. A później szło się na ciastka do cukierni (tegoż pana N.) o dźwięcznej nazwie Elita. Drogę wprowadzie zagradzały grube, rudowłose i powoli pełzające po całym chodniku liszki, na widok których dostawało się z obrzydzenia gęsiej skórki, ale Pum brał na ręce i zwycięsko przekraczaliśmy przeszkody. A w jasnokremowym wnętrzu tak aromatycznie pachniała kawa (dla dzieci był w wysokich szklankach na nóżce sok malinowy z bąbelkami) i można było wybierać przy ladzie – babkę śmietankową (kruchą, z jajecznym kremem wewnątrz), napoleonkę, bezę z bitą śmietaną (aż mdlącą od słodkości) albo zawsze wilgotną wewnątrz szarlotkę. Jeśli trafiał się w niej jabłeczny domek (środek jabłka) wołać trzeba było od razu: – Zabierz, bo „Michał”!

„Michał” – nieszczęsny i rodowodu nieustalonego – był synonimem wszelkiej paszy niejadalnej, toteż Pam i Pum zgodnie usuwali go co prędzej z talerzyka.

To są jeszcze dobre czasy. Pum hoduje starannie tę swoją osobliwą kurę w firmie MORPOL i entuzjazmuje się widokami na przyszłość, o których często rozpowiada w domu: morze – spedycja – towary – okno na świat!



Jedziemy. Wyjeżdżamy. Może to wreszcie pomoże naszej Pam. Jedziemy do Francji. Długo, ciężko, nudno. Po szkarlatynie dziecko ma (jednak – komplikacja!) jakieś kłopoty z błędnikiem. Zwykłym tramwajem kawałek przejechać: już mdli. O taksówkach – ani mowy. A cóż dopiero tyli szmat pociągiem. Towarzyszy im więc w drodze niezawodny, emaliowany „garnuszek z uszkiem, co stoi (w domu, ale nie tu!) pod łóżkiem” i do niego wylewają się całe fontanny szczerej, jakże gorzkiej żółci. Paryż. Dworzec. I Pum, który klęka przed schorowanym dzieckiem, prosi, błaga, zaklina, obiecuje: – Ten pan szofer taksówki da ci taką śliczną niespodziankę!

Trzeba więc dzielnie przełknąć gorzką ślinę, szczelnie zamknąć oczy i jechać. Szofer dotrzymał słowa: pod hotelową poduszką jest nazajutrz rano cały sznur różowych koralii i srebrna portmonetka z drobniuteńkich, łańcuszkowych ogniwek z pieniążkiem w środku. Tę zdobycz dyskontuje się natychmiast na wielkich bulwarach, bezceremonialnie uciekając towarzyszącej dziecku bonie do pierwszej lepszej *boulangerie*<sup>1</sup>: – *Bonjour, madame! Je veux un gateau!*<sup>2</sup>

Wanilią pachną kruche ciastka. Ciemną zielenią bulwary. Kwaśno – woda „wisi” (bo już jesteśmy w Vichy). Nie pomogła ta kuracja. Wróciło się z niej do domu w asyście bardzo paryskiej, śnieżnobiałej i pierzastej gęsi na kółkach, która nawet i gęgała, gdy się ją ciągnęło chodnikiem na sznurku – lecz wnet doszczętnie została oskubana przez miejscowych, szczerze takimi cudzoziemskimi fumami oburzonych, ulicznych łobuziaków.

Jedziemy jeszcze raz. Tym razem do Niemiec. Bad Wildungen. Nieunikniona muszla orkiestrowa w Kurparku, wygrywająca byle co (to się nazywa muzyka rozrywkowa – *Unterhaltungsmusik* – tłumaczą dziecku, ale i ono sobie to dosłownie tłumaczy i dziwi się, i złości: muzyka od rozmawiania?!). Znów wody, deptak, bona, nudno. Znów pociąg i przeraźliwe torsje. Nie pomaga nic.

I zaraz potem – dwa gromy z i tak już chmurnego nieba. Pam obcina włosy! Po prostu wchodzi któregoś dnia do domu nietwarzowo i krótko obsmyczona na chłopczycę i natychmiast rozpętuje się piekło. Nic to, że – ówczesnym zwyczajem – ma swe wspaniałe włosy zawinięte w różową bibułkę i zapewnia, że przydadzą się jeszcze dla Ali. Nic, że nagłą decyzję usiłuje usprawiedliwić wściekłymi bólami głowy, a też i niemożnością noszenia jakiegokolwiek z modnych, garnkowatych kapeluszy. Pum ryczy jak wściekły słoń – tupie, wyje, wresz-

-----  
<sup>1</sup> *boulangerie* – (franc.) piekarnia.

<sup>2</sup> *Bonjour, madame...* – (franc.) Dzień dobry, pani! Chcę ciastko!



cie rozwała jednym uderzeniem pięści gruby, marmurowy blat umywalni, nic nie chce słyszeć, niczego zrozumieć, trzaska z rozmachem drzwiami i ucieka. Do klubu.

Pum bowiem – poza swoją ukochaną spedycją, czyli pracą, którą pełni z zamiłowaniem i coraz większym znanstwem przedmiotu (typowy *self made man*<sup>1</sup> – powiedzą później o nim fachowcy i nie bez słuszności!) – ma jeszcze trzy inne pasje:

1) historię (gdyby miał pieniądze i czas, studiowałby ją chyba z niezłym rezultatem – na razie skupuje przekłady Tacytów i Herodotów, Cezarów, Swetoniuszy i kogo się tylko da i w nieczęstych wolnych chwilach czyta a czyta!)

2) muzykę – po dyletancku, ale szczerze umiłowaną i to, prócz klasyki, także i lekką. Przy goleniu, gdy był w dobrym humorze, potrafił na trzy piętra donośnie zająć swym głębokim barytonem arię z *Carra i cieśli* (*Zar und Zimmermann*) Lortzinga: – *Auch ich war ein Jüngling mit lockigem Haar / Auch mir schien das Leben einst so wunderbar...*<sup>2</sup>

3) i karty. Tu już nie o prywatnego, małego preferansa chodzi!

Pum połknął, zaczynającego podówczas dopiero grasować, bakcyła brydża. Zapisał się do klubu i – szal go ogarnął. Nie jego jednego zresztą. Do białego rana potrafił tkwić za zielonym stolikiem – zafascynowany, urzeczony. Owocowało to po wielu latach oszkloną gablotą pełną trofeów: nagród z międzynarodowych rozgrywek, srebrnych plakietek i pucharów. Miał nawet dla swego hobby (choć się to podówczas tak nie nazywało) racjonalne uzasadnienie: „Brydż uczy myśleć!”. Pam nie w pełni pochwałała ten pogląd, a zamiłowania też miała inne (pomijając fakt, że niezbyt entuzjastycznie tolerowała całe te klubowe noce Puma) – kiedyś, dobrze po północy, zbudziła przestraszone dziecko:

– W y s z e d ł!

– Kto? Pum? – dziecko przecierało zaspane oczy, świadome przecież rodzinnych kontrowersji.

– Skądże, p a s j a n s, wiesz, ten najtrudniejszy, co podobno raz na dziesięć lat wychodzi!



-----  
<sup>1</sup> *self made man* - (ang.) człowiek, który zawdzięcza wszystko tylko sobie.

<sup>2</sup> *Auch ich war ein Jüngling...* – (niem.) Gdy byłem młody i miałem loki / świat zdawał mi się cudowny...

Grom drugi był gorszy. Po prostu, jak w złych filmach, kasjer zabrał kasę. Całą. Calutką. I niemałą. Złądował z nią – jak głosila (też szmirowata, ale chyba jednak od prawdy niedaleka) fama – w odległej o ileś mil morskich Ameryce (ponoć – co jeszcze gorzej – Południowej). I nic już – mimo skomplikowanych jakichś spraw z ubezpieczeniami – nie dało się zrobić. Po prostu: firma MORPOL przestała istnieć. Zdechła pieniążnośna kura. A Pum stał się zwykłym bezrobotnym i w domu trzeba było sobie zdrowo nałamać głowę, czy starczy tych paru groszy zapomogi, żeby jutro też jeszcze kupić za rogiem *ein rundes Brot!*<sup>1</sup>

Z tym też były kłopoty: pięcioletce, żeby ją usamodzielnic, wetknęła Pam parę dziesiątek do garści i powiedziała, co ma kupić w piekarni na rogu ulicy – ale oszołomione dziecko zobaczyło najpierw piekarza w białej, wysokiej, jak kucharska, czapie i fartuch, potem pełne pieczywa półki i zająknęło się bezradnie:

– *Ein Brot.*<sup>2</sup>

– *Was für ein Brot?*<sup>3</sup> – pospieszył piekarz, wskazując kolejno – *ein Kastenbrot, ein Roggenbrot, ein Milchbrot, ein..*<sup>4</sup>

Z płaczem pobiegła do domu. Ale Pam zaradziła: napisała drukowanymi literami na kartce i odtąd – ponad wszelką wątpliwość wiadomo było, że okrągły chleb – *ein rundes Brot*.

Poważne nasze kłopoty dopiero wtedy się zaczęły.



Pam daje za wygraną. Pam, po prostu, nie chce już żyć. Idzie do szpitala. Mają jej zoperować nerkę. Prosimy: zgódź się (nie była to wtedy błaha sprawa i wiedzieliśmy o tym). Pam nie chce. Nie godzi się. Dzieci do szpitala wpuszczają nie wolno. Ale kiedyś przecież jest wyjątek. Kupujemy z Pumem siedem wspaniałych ciemnoczerwonych róż i niepewnie wchodzimy do biało-szarej separatki. Wielkie, świetliste – nas już (ani róż) niewidzące oczy Pam. Obraca się do ściany i mruczy półsennie, niechętnie: – Dajcie mi spokój, ja chcę spać!

Śpi na wieczność. W domu więdną róże. Pum siedzi o szóstej rano na łóżku dziecka, tuli je w objęciach – skostniałe z przerażenia jak on i powtarza: – Nie ma jej, nie chciała, rozumiesz, nie chciała, nie ma!

Potem w beznadziejnej, październikowej chłapie – od kościoła św. Józefa – długa, stroma droga na Biskupią Górę – na cmentarz – i zło-

-----  
<sup>1</sup> *ein rundes Brot* – (niem.) okrągły chleb.

<sup>2</sup> *Ein Brot* – (niem.) Chleb.

<sup>3</sup> *Was für ein Brot?* – (niem.) Jaki chleb?

<sup>4</sup> *ein Kastenbrot...* – (niem.) foremkowy, żytni, biały...

śliwe podszepty kumoszek: – Coś podobnego, jedyne dziecko, matka jej umarła, a ona nawet nie zapłacze!

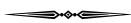
Pam, niepowtarzalna, zawsze pamiętna, jedyna, masz oto pomnik w tych drobnych literach, trwalszy może od czarnego granitu ze złoceniami, który – wspólnie z Pumem – wybraliśmy dla Ciebie. Grób był podwójny, z tym że Pum spocząć tam nie mógł i nie może. Ani ja. Nigdy nie pojedę już do Miasta. Ale grób był na 99 lat. Nie wiem, może i to – jak wiele – się zmieniło? Nie wiem, Pam. Wiem tylko, że niewiadome ręce dalej o ten Twój grób dbają, że czysty jest, ukwiecony, w światłach na Zaduszki. Pam, jeszcze porozmawiajmy.

Te nasze – nieczęste – zabawy. Chciałaś mnie – paroletnią – do życia przysposobić. Więc bawiłyśmy się w zakupy. Nie byle jakie – w sklepie – tylko w hali targowej. Z drewnianych klocków były baseny i zaraz Ci musiałam powiedzieć, ile dam za dwa funty (kilo – ale wtedy u nas tak nie liczono) pomuchla (dorsza), a ile za śledzie; jakżeśmy się zajadle targowały!

A jeszcze lepsze były wyścigi: fasole białe, szare i czerwone – który koń pierwszy do mety (oszukiwać nie dawało się: uważałaś bardzo!).

Nakrywamy do wigilii: duży, prostokątny stół już jest o dwie płyty rozciągnięty, przykryty białym obrusem i ozdobiony choinkowymi gałązkami. Razem z Tobą (lat mam... chyba sześć) chodzę wokół, przecieram ścierką talerze odświętne (był taki: w szare lilie) serwisu i serdecznie zawodzę: – Przybieżeli do Betlejem pasterze, grając skocznie dzieciąteczku na lirze... – A skoro: „nalize” – liżę każdy kolejny talerz, póki Pam ze zgrozą nie wrzaśnie i nie popędzi z całą stertą tychże do kuchni.

Śpij dobrze, Pam. Tak bardzo chciałaś spać. Może się wyśpisz za wszystkie swoje gorzkie czasy. Może się kiedyś spotkamy?



Osobliwe zoologiczne rodzinne przydomki, którymi tak się gorszyły ciotki – i nie-ciotki – nie wywodziły się bynajmniej z sentymentalnych jakichś familijnych czułości, tylko – znowu – z książki. Po *Krasnoludkach i sierotce Marysi*, rozlicznych wierszach i piosenkach, wśród których, rzecz jasna, poczesne miejsce zajmować musiała *Rota*, zaczęła Pam śmiesznie czytać rymowaną pt. *Szkolne przygody Pimpusia Sadelko*, a dziecko – ani wiedząc, jak rychło sprawdzą mu się najdokładniej te słowa – czytało razem z nią:



*Potem w beznadziejnej,  
październikowej chlapie - od  
kościółta św. Józefa - długa,  
stroma droga na Biskupią  
Górę - na cmentarz...*



*Na Długą wychodzi się przez  
Wysoką Bramę. Niektórzy  
nazywają ją także Złotą...*

*Droga mamo, drogi tato,  
Bardzo mi tu źle w tej szkole,  
Jeżeli mnie tata kocha –  
to do domu wrócić wolę!*

– Pim, Pimpuś, Pimpek Sadełko – przedrzeźniali rodzice chorobliwie nalane, tłuste i ociążałe dziecko, żeby choć trochę je rozruszać. Ale riposta była niespodziewana: – Mogę być. Tylko jak ja Pim, to ty Pum, a ona Pam.

Zgoda. (Jak mawiała Pam po częstych i wściekłych swoich kłótniach z Pumem: „Zgoda na trzy lata!”). I tak zostało. Postronnym się jednak tej genealogii nie tłumaczyło – bo i po co? To były nasze sprawy. A inni – niechże sobie myślą, co chcą.

Z książki innej (*Maciuś Pędrak wśród Indian*) – o niepojętym, słońcem rządzonym państwie Azteków – pochodziły inne, też nasze, równie wewnętrzne i znacznie rzadziej używane, nazwania. Pum zgodził się być Ryczącym Bawołem, Pam – Czarną Żmiją, a inicjatorka całej tej słownej maskarady zadowolila się skromnym mianem Kamienne Serce. Ale o tych metamorfozach postronni nic już nie wiedzieli. To były nasze tajemnice.

Pum dodawał odwagi. Pum był pierwszym, który na bezradne, dochodzące z podwórka: – Co mam robić?! Oni na piłkę mówią *Ball* – doradzał trzeźwo: – Też tak mów i baw się!

A później – z licznych swoich podróży – przywozi piękne i wsporniale ilustrowane, ale niemieckie, baśnie i śmieje się: – Słuchaj, kto raz poznał łaciński (a tak!) alfabet, da sobie radę z obcymi językami, przynajmniej w sporym kawałku Europy – po prostu czytaj! A jeśli czego nie rozumiesz, zapytaj!

Odtąd udręczeni domownicy, jak od muchy uprzykrzonej, opędzają się od żadnego nowej wiedzy dziecka:

- *Bitte: was ist Schneewittchen?*
- Królewna Śnieżka.
- *Und Rotkäppchen?*
- Czerwony Kapturek – no, znasz to przecież!
- *Und Heinzelmännchen?!<sup>1</sup>*

A z czasem nie trzeba już wyjaśnień. Mroczny, ponury świat braci Grimm staje się potrzebny – bardzo ważny. I opowieść o wiernym Janie. I wściekły Karzełek z brodą wklonowaną w rozłupany pień (Rum-

-----

<sup>1</sup> *Und Heinzelmännchen?! - (niem.) I krasnoludek?!*

pelstilzchen) i tyle, tyle innych (a też dziewczynka, co spadające gwiazdy jak talary w podolek zbierała).

Trzeba samej napisać bajkę. I jest – o morskiej królownie, która miała serce ze złotego jantaru (bursztynu) i mieszkała na dnie morza (Andersen się kłania!). Jak miała na imię? Jak nikt: Dalilla. Co? Więc naprawdę przed wiekami istniało już to imię? Gdzież je przypadkowo podłapała?! Rozpacz, kompletna dyskwalifikacja. Ale Pum starannie chowa do biurka nieporadny rękopis o morskiej królownie i jej bursztynowym sercu.

W domu czyta się regularnie dwie miejskie gazety: niemiecką i polską. Tę ostatnią tym bardziej, że do najpierwszych jej współpracowników należał nieżyjący już dziadek Franciszek – ten sam wiejski stelmach, który do miasta powędrował, by z czasem – w starannie przygotowanym nekrologu – pożegnanym zostać jako towarzysz sztuki drukarskiej. Pum więc zachęca: – Zrób też gazetę! Swoją własną! Jak? Ano, pomyśl!

Przychodzi wprawdzie cotygodniowe „Moje Pisemko” czytowane przez małą sumiennie, choć bez wielkiego zapału, gdy jawi się w nim odcinkowa opowieść *Polyanna – czyli gra w zadowolenie* o takiej dziwnej dziewczynie, która w każdym utrapieniu odnaleźć umiała zawsze jakąś korzystną stronę. Później pojawia się co prawda *Wyspa mędrców* i to już jest lektura jak się patrzy – tajemnic pełna, niespodzianek – wręcz pasjonująca. Ale własna gazeta musi jednak wyglądać inaczej.

I wygląda. Na czterech zeszytowych kartkach. Ozdobny, kolorowy tytuł na pierwszej (bo strony są oczywiście numerowane). „Gazeta”. Data i miejsce wydania. Artykuł: co się ostatnio wydarzyło? (W mieście, na własnej ulicy, w domu, u sąsiadów). Koniecznie – w każdym numerze – wiersz (albo i dwa). I kolorowe ilustracje: dzieci na podwórku, domowa kocica (szaroczarno przegowana Femka) albo pies (brązowo łaciaty wyżeł Łajdak, słusznie tak nazwany, bo psoci co niemiarą). Zgadywanka albo zagadka (bo to wcale nie to samo). I listy – od i do redakcji. Bo pismo – w niemałym trudzie – ma nakład aż 8-10 egzemplarzy, ręcznie oczywiście wykonywanych. A sprzedawane jest najczęściej w soboty gościom, jawiącym się na preferansę lub później już – brydża – po horrendalnej cenie 10 fenigów za egzemplarz!

Czytelnicy uskarżają się listownie na wygórowaną cenę, ale jednoosobowa redakcja broni się ogromem wytężonej pracy, jakiej wymaga należyte sporządzenie każdego numeru. Redakcyjne egzemplarze leżą w osobnej, tekturowej teczce – szarej, na tasienki starannie wiąza-

nej. Listy od czytelników – w pudełku od cygar. (Bo Pum nie pali papierosów tylko cygara albo jedną z kolekcji swych 70 fajek, ustawionych na specjalnym stojaku – i tytoń do nich sam odpowiednio przygotowuje: suszy na piecu, zwilża miodem lub sokiem z suszonych śliwek – skomplikowany to ceremonia!). Po ośmiu numerach „Gazeta” wychodzić przestaje. Powody: coraz większe trudności w zdobyciu materiałów i zbyt wielki wysiłek mocno już utrudzonej redakcji. Komplet numerów zachował się wprawdzie dość długo jeszcze – lecz w istocie sprawa należy już do przeszłości.

Pum od chwili pamiętnej defraudacji (skomplikowane to słowo zapadło szybko w pamięć i od razu stało się synonimem wszystkiego najgorszego) i zniknięcia guldenonośnej kury nie ma wcale czasu. Piśze mnóstwo listów, stale jest w rozbiegach i rozjazdach. W domu coraz ciężej: nie ma już dziewczyny do wszystkiego, niekiedy pojawia się tylko sucha a żylasta Frau Trecker, która dawniej odprawiała tzw. wielkie pranie, by trochę posprzątać. Na ryby i sałatkę dla Pam starcza jeszcze wprawdzie, bo starczyć na to musi, ale dla pozostałych jest nieuchronna kasza, chleb z marmoladą i – zimna najczęściej, przestała – herbata, bo nikt z nich dwojga nie potrafi rozpałić pod złośliwą, kuchenną płytą, a Pam w tym okresie z rzadka już tylko i na krótko podnosi się z łóżka.

Dopiero po którymś z licznych wyjazdów przychodzi krótka, triumfalna depecha: „Firma będzie!”.

Pum zdobył pożyczkę. Ma wreszcie pieniądze, choć także mnóstwo kłopotów i zawiłych, wielogodzinnych narad (wszystko to razem nazywa się *Geschäfte*, czyli interesy) i w rezultacie – choć ostrożnie – urzeczywistnia najgorętsze swoje pragnienie: powstaje firma. Solidne, acz nieduże przedsiębiorstwo w celu roz- i przeładunku towarów z wchodzących do portu statków.

Teraz jest kwestia nazwy: Hermes (nie daj Boże – złodziej!), Posejdon? (ale – jest już!). W końcu staje na zabawnym Trans-mar, mimo że wprowadzeni w spedycyjne sprawy ludzie szydzą, ile wlezie (a – wlezie! – „Tran-też-smar”). Pum się tym nie przejmuje. Pum robi swoje. Trans-mar będzie wielką firmą. Pam nie doczeka. Konkurenci wściekną się. I słusznie. Trans-mar zdobywa światowe rynki i rozwija się żwawo. Któż mógł aż tyle przewidzieć?!





*Ospały i gnuśny, zgrzybiały ten świat  
Na nowe on życia koleje  
Z wygodnej pościeli nie dźwiga się rad  
I dusza i ciało w nim mdleje.  
Hej, bracia Sokoli  
Dodajcież mu sił,  
By powstał z niewoli,  
By powstał i żył...*

W takt tego dziarskiego marsza wędrują dzieci po pokoju. Nie żyjemy przecież na pustyni: nie licząc ogromnej ilości wiecznie zaaferyowanych pań komitetowych, jest – nieliczna wprawdzie – rodzina, liczniejsi znajomi (zwłaszcza z doborowego grona kartograjców), a w końcu sporo przyszywanych, czyli niezwiązanych więzami pokrewieństwa cioć i wujków (zresztą i u Niemców tak jest – nawet lekarz domowy to *Onkel Doktor*, nawet znajoma lub sąsiadka to już *Tante*).

Jest więc pani Fela, potężnej postaci, końskiej twarzy, mówiąca głębokim, dudniącym basem. Poważna i wielce poważana, bo piastuje samodzielne (i bardzo odpowiedzialne) stanowisko w dużym banku, a mizernego i nikłej postury jej małżonka nikt niemal nie zauważa, choć ma własne, wcale nieźle prosperujące przedsiębiorstwo budowlane.

Jest ukochana ciocia Lusia, czarnooka śmieszka wraz z równie jak małżonek pani Feli niepozornym wujkiem Olem. Ciocia Lusia jest Ukrainką, ale jakoś musiała też kiedyś – i chyba na dłużej – zetknąć się z daleką mroźno-śnieżną krainą, bo lubi śpiewać tamtejsze pieśni (*Wołga, Wołga...*, *U papaszy była sobaka*, *Tieplonok żarennyj* i wiele innych), umie też porozumiewać się płynnie w tamtej, rozlewnej mowie i bierze żywy udział we wspomnieniach, jak to tam bywało. A przede wszystkim jest najbliższą powiernicą Pam i pojawia się co parę dni. Zachwycone dziecko wybiega do przedpokoju z okrzykiem: – Jakie szczęście! Sobota, kotlety (oczywiście siekane!) na obiad i ciocia Lusia przyjechała.

Ta ciocia ma ponadto psa: złotorudego irlandzkiego setera o ciemnych oczach i niecodziennym imieniu Ergo. Mieszka niedaleko, we właśnie powstającym mieście, które – oczywiście – z Miastem równać się nie może, ale dom jej otoczony jest ogrodem pełnym wiśniowych drzew, których owoce są tak soczyste, że nieomal rozplływają się w ustach.

Są jeszcze inni i mało pamiętni O-scy, rodzice dwóch wyrosniętych bliźniaków Romka i Tomka („jedynaczka musi mieć przecież kontakt z innymi dziećmi – w tych książczydłach i na podwórku na istną dzięką wyrosnie!”). Godna, stateczna i okrągłutka pani N-kowa, której mąż nigdy prawie się nie pojawia, tak zajęty jest ważnymi sprawami Dyrekcji Kolei, gdzie pracuje, ale ich córeczka – smagła, zawsze roześmiana – Lilka jest dla niemal równolatki przyjaciółką od serca i najgłębszych dzieciennych sekretów.

Był jeszcze Fil (czyli Filip) również jedynak, nieco starszy od pozostałej gromadki, o czarnym kosmyku niesfornie spadającym na lewe oko, smukły, zwinny, przez resztę dzieci otaczany atencją zmieszaną z zazdrością. Fil bowiem był cudownym dzieckiem. Miał absolutny słuch i takie zdolności, że – niespełna dziesięcioletni – dawał już koncerty, wprawdzie we własnym jeszcze domu, lecz na prawdziwym, półkoncertowym steinwayu i przy udziale dorosłej, licznej publiczności. A poza tym pisał wiersze. Chwilowo zdawał się jednak zapominać o swoich niezwykłych talentach, wyśpiewując ochoczo wraz z całą maszerującą gromadką:

*Czy umrzeć nam przyjdzie wśród boju,  
Czy w tajgach Sybiru nam zgnić –  
Z trudu naszego i zno-o-ju –  
Polska powstanie, by żyć! (bis!)*

Bojowe, marszowe i ultrapatriotyczne były i następne piosenki, wraz z refrenami:

*Więc gotuj broń i kulę bij głęboko  
O ojców grób bagnetów naostrz stal...*

co kończyło się różnym:

*Hej trąb, hej trąb,  
Strzelecka trąbko, w dal!  
A kłuj, a rąb, a kłuj, a rąb,  
I w łeb lub w serce pal!*

Odpocząć można było później przy posuwiecie krocącym polonezie, też oczywiście podmalowanym odpowiednim tekstem:

*Patrz, Kościuszko, na nas z nieba  
jak w krwi wrogów bę-ę-ędziem brodzić,  
Twego miecza nam potrzeba,  
by Ojczyznę oswobodzić!*

*Wolność droga w białej szacie  
złotym skrzydłem ku nam leci.  
Na jej czole, patrzaj, bracie  
jak swobody gwiazda świeci!*

co kończyło się rześkim:

*Oto jest wolności  
śpiew, śpiew, śpiew!  
My za nią przelejem  
krew, krew, krew!*

Pani Fela wszystkie te pienia kwitowała donośnym a gardłowym śmiechem (jakby kto puste beczki przez sklepienie toczył!) i uszczypliwyimi uwagami, co wśród dorosłych zaraz powodowało zażartą dyskusję, naszpikowaną mnóstwem niezrozumiałych słów, jak „skrajny militarizm”, „nacjonalizm”, „pozaborowa histeria”, a kończącą się niezrozumiałymi również pomrukami, z których jasno wynikało, że nikt nikogo w żadnej kwestii nie przekonał. A zaraz później łagodna pani O-ska proponowała: – Może teraz w coś zagramy? Na przykład:

*Budujemy mosty  
dla pana starosty.  
Tysiąc koni przepuszczamy,  
a jednego – zatrzymamy!*

Z tym że zatrzymany z nagłą koń musiał się wykupić, czyli dać fant, który – gdy się ich już dość nagromadziło – też na najrozmaitszych, bardzo nieraz zabawnych warunkach wykupywano.

Spokojniej grało się w komórki do wynajęcia, farby, głuchy telefon, a osobiste sympatie (i antypatie) najdobitniej ujawniały się w poniechanym z czasem – jako zbyt już dziecinne – kółku, które trzymając się za ręce, krążyło wokół jednego lub jednej, śpiewając wyczekująco:

*Stoi różyczka  
w zielonym wieńcu,  
My się kłaniamy  
jako książęciu –  
Ty różyczko dobrze wiesz, dobrze wiesz, dobrze wiesz –  
Kogo kochasz tego bierz, tego sobie bierz!*

Wybory – każdorazowo – były na wskroś indywidualne i dawały rozległe pole do obraz, pochlipywań, a nawet długotrwałych dąsów. Ale wreszcie wszyscy – porządnie już ubawieni – zasiadali zgodnie do uczty: śmietankowego budyniu z malinowym sokiem lub – przy bardziej uroczystych okazjach – budyniu czekoladowego z ułamkami prawdziwych, słodkich migdałów i sosem waniliowym. Pić wolno było tylko i wyłącznie wodę sodową z owocowym sokiem: broń Boże prawdziwą lemoniadę! Rodziców ówczesnych przekonano bowiem skutecznie, że cytryna dzieciom szkodzi (wysusza!) – z tejże racji niedostępne były kiszzone ogórki (choć nie – kapusta) i musztarda, i wiele innych kwaśno-słonnych i uwielbianych przez dzieciarnię przysmaków. Na co dzień biedne matki w pocie czoła – najdosłowniej – wyciskały startą na tarce marchew przez płócienną szmatkę (marchew dobra na oczy!) i obowiązkowo napychały swe potomstwo co najmniej dwa razy dziennie (nie wiadomo już na co dobrymi, choć bynajmniej nie tanimi) bananami.



Cztery pory roku nieodmiennie zaczynały się od listopada. Wtedy – zwłaszcza w drugiej połowie miesiąca – pojawiały się na wystawach piekarń biało lukrowane domki z piernika, w ich głębi migotało tajemnicze czerwone światełko, z dachów zwisały długie lukrowe sople, a na progu czyhała już krzywa, przygarbiona Baba Jaga, haczykowatym palcem przywabiając nieświadomą jeszcze złych losów parkę: Jasia i Małgosię, którzy ufnie wędrowali ku chatce, by zaraz popróbować kawałka jednej z jej brunatnych cegiełek.

W domu ciepłym promieniowały wielkie kafle pieca, a na stole starannie wyłożonym starymi gazetami jawił się spory garnczek kłajstru ze zwykłej, z wodą zmieszanej mąki, nożyczki, farby, orzechy i kolorowe arkusze glansowanego papieru. Robiło się pawie oczka, długie, barwne łańcuchy, srebrną lub złotą farbą pociągało włoskie orzechy, a wkrótce potem pokój pełen był aromatycznego zapachu wielkich,

czerwonych jabłek (niektóre wędrowały wprost do kuchennego piecyka i zjadało się je upieczone z konfiturami). A jeszcze później jawiły się kolorowe marcepany (królewieckie): kartofle, gruszki, pomarańcze, banany, które podkładało się sąsiednim dzieciom z ich świątecznie kolorowych talerzy (*bunte Teller*) – bo, póki żyła Pam, domowa wigilia była arcy-polska – opłatek, a potem:

barszcz z uszkami  
kapusta z grzybami  
karp z wody  
kluski z makiem  
i kompot z suszu,

czego ona nawet skosztować nie mogła, ale przygotowywała całe to jadło z ogromnym zapalem i – nie mniejszym – wysiłkiem, bo kuchenne rewiry nie były dla niej zbyt swojskim otoczeniem.

Bakalie i nieuchronny makowiec też, oczywiście, były, ale na samym drzewku żadnych słodyczy nie wieszano i na tradycyjne obdzieranie choinki znów trzeba się było wymykać do inaczej mówiących, inaczej świętujących i inne – choć też liczne – kolędy śpiewających sąsiadów. Godziła wszystkich dopiero *Stille Nacht*, czyli *Cicha noc*, która – choć różnojęzyczne miała słowa – kołysankowo-cieplą melodią ogarniała na równi każdego.

Przed Nowym Rokiem pojawiały się jeszcze różowe, marcepanowe świnki, połyskliwie złote monety (czekoladowe w staniolu), armia pluszowych, czarnych kominiarzyków (koniecznie z drabinami i koniecznie w cylindrach), a w kwiaciarniach małe doniczki ze specjalnie na ten cel hodowaną czterolistną koniczynką, której wesołą zieleń zdołał czerwony, biało nakrapiany muchomor – wszystko symbole szczęścia i dostatku, których w nadchodzącym roku nie powinno zabraknąć.

I ten jeden tylko raz do roku żółty, brzydki, przysadzisty budynek teatru – nie darmo w potocznej mowie określany jako *Kaffeemühle*, czyli młynek do kawy – otwierał i dla dzieci swe podwoje. Na przedświątecznych popołudniówkach grano bajki – właśnie o Jasiu i Małgosi, Czerwonym Kapturku, małym Piotrusiu, który poleciał – ho, ho, aż na Księżyc, albo zażywniej a gospodarnej Frau Holle, która wysoko na niebie tak zajadle trzepała swe zasobne pierzyny i poduszki, że leciał z nich na ziemię gęsty, puszysty śnieg.

Prawdziwy śnieg też zresztą grubą, roziskrzoną puchatością zalegał zaułki i podwórka, choć nie ulice, bo jeśli stróż – czyli dozorca – polecił się do szufli i miotły, dopadał go rewiry i już pisał szał, a więc

mandat. Ludzie ówczesni jakoś jeszcze orientowali się – nawet w mieście – w kolejnych porach roku i jezdnie oraz szyny tramwajowe także uprzątno dokładnie a regularnie.

Z górki na przeciwnym skwerku pysznie zjeżdżało się na sankach, co starsze dzieci pobrzękiwały wesoło łyżwami, rankiem na szybach mróz malował najbardziej fantastyczne, wielolistne paprocie i kwiaty, a zamyślić można się było na dobre i na długo nad malutką gwiazdką śniegu tającą na wełnianej rękawiczce. I jako echa właśnie przeczytanej Andersenowskiej *Choinki* i *Królowej Śniegu* powstawać zaczął cykl *Opowieści płatków śniegowych*.

Bałwana lepiło się wspólnie na podwórku, bo toczone początkowo tak szybko kule robiły się z czasem coraz większe i cięższe i dwoje tylko rąk nie mogło już pchać ich dalej. Bałwan miał – jak na obrazkach – oczy z węgla, nos z marchwi (usta zdarzały się nawet z obierków buraczanych mimo zgrzytliwej dysharmonii kolorów), w ręce trzymać musiał miotłę, a na głowie mieć koniecznie kapelusz (marzeniem był zdezelowany cylinder, ale jakoś się go nie można było doprosić – cylindry, nawet i podniszczone, drogie były bardzo) lub co najmniej dziurawy garnek: wszystkie rekordy pobił ten, którego nakryciem głowy stał się okazały, jasnoniebiesko emaliowany, mocno dziurawy nocnik!

Pamiętny ów bałwan stanął chyba w tę straszliwą zimą, kiedy nawet Zatoka – aż do Półwyspu – zamarzała i zaskoczeni, a po trochu i uradowani taką odmianą, ludzie chodzili po morzu, oczywiście tylko trasami wyznaczonymi za pomocą długich i mocno w gruby lód wbitych żerdzi: Pum pociągnął dziecko na tę niecodzienną wyprawę na sankach – i dla obojga było to wielkie przeżycie. Później, gdy mrozy zelżały i lody topnieć zaczęły – jeła grasować po Mieście i okolicy epidemia straszliwej grypy, zwanej hiszpanką, bo podobno właśnie z tego kraju przyszła. Ludzie ginęli na nią jak muchy, choć niektórzy – ku zdumieniu lekarzy – okazywali na tę chorobę szczególną odporność.

O przedwiośniu nikt nie myślał: ciężkie, grube chmury wisały nad Miastem tak nisko, że – wydawało się – dość rękę wyciągnąć, by namacać ich obwisłe, deszczem ciężarne brzuchy. Lało też i wiało bezustannie. Ale to ludziom Miasta – jak mało które wydane na nieustanne kaprysy złej wody i złej pogody – nie nowina. Podnosili kołnierze płaszczy, walczyli z wywracanymi wichrem na nice parasolami, a nierzadko – człapiąc grubymi acz płytkimi, czarnymi kaloszami o jadowicie fioletową wyściółką garninowanych wnętrzach – uganiali

za kapeluszymi, które ostry podmuch zrywał im z głów i pędził aż na mokrą jezdnię.

Pokazywały się już jednak biało-zielone, nieśmiałe przebiśniegi, czyli – jak nazywała je Pam (może nie w zupełnej zgodzie z botaniką) – pierwiosnki, słodko i przenikliwie pachniały pierwsze fiołki. W oknach wystawowych panoszyć się zaczynały zające: czekoladowe i pluszowe, papierowe i marcepanowe, wielkouche i siarczyście wąsate, a każdy z nich dźwigał kosz lub koszyczek pełen kolorowych cukrowych jajeczek. W sklepach cukierniczych królowało wielkanocne jajo: od ogromnych czekoladowych – w misternie gniecioną barwną cynfolię spowitych, wielkimi kokardami, często też bukietkami sztucznych kwiatów ozdobionych, a kryjących w swych wnętrzach całe mnóstwo wspaniałych słodyczy – aż po drobnutki jak paciorki albo do zwykłych podobniejsze połówki, tylko z białkiem i żółtkiem starannie odtworzonym z lukru. W pierwszy dzień Wielkanocy, po obowiązkowym, porannym spacerze (*Osterspaziergang*) szukała ich dzieciarnia po domowych zakamarkach, podwórzach, a kto szczęśliwszy – i we własnym ogródku.

Ale nie u nas. U nas przynosiło się z czerwonoceglastej, solidnej hali targowej ze dwa tuziny świeżutkich, białych jaj i zaczynała się robota na całego. Pam umiała malować je woskiem i później dopiero gotować w różnych barwnikach (to pisanki) lub przeciwnie – na różnobarwnie już pomalowanych, ostrą szpilką wydobywać delikatne wzory (to drapanki), z resztek glansowanych papierów wycinać kolorowe ozdoby i naklejać na – wydmuchane uprzednio – białe skorupki (to wydmuszki), z których najładniejsze, odpowiednio uzupełnione, wędrowały do pudełka, by – jako dzbanuszki – następnej zimy znaleźć się na choince, a niektóre gotowała w wywarze z cebulowych łupin, tak że – po starannym przetarciu skórką od słoniny – jaśniały całą gamą, od ciemnego brązu do bursztynowej żółtości (to cebulanki).

I w całym mieszkaniu mocno pachniało wanilią, a w kuchni ostro stukwały noże, bo siekano pilnie migdały. Baby wielkanocne – zawsze trzy, a dla dziecka z wyskrobków jeszcze malutka, dodatkowo pieczona w metalowym kubeczku – zajmowały cały róg stołu, ozdobionego widłakiem i gałązkami bukszpanu. Była różowa szynka i biały ser. Były, oczywiście, mazurki i cukrowy baranek z czerwoną, złotym krzyżem przekreśloną, wysoką chorągiewką: przyjechał z nadwiślańskiej skarpy, bo w Mieście – oczywiście – nikt o nim ani słyszał!

Najważniejsze było jednak nie to duże, tylko małe święcone. Mieściło się na niewielkim, białą serwetą przykrytym stołeczku i calutkie by-



*Długi Rynek (nie: Targ!) jest sercem Miasta. To przy nim wystrzela smukła iglica ratuszowej wieży...*





*...w pianistych bryzgach fontanny tańczy krzepki bóg morza z wysoko wzniesionym, groźnym swym berłem - trójzębem. Tańczy w zieleni drzew lub otoczony cieniem ich bezlistnych gałęzi, trochę rozbawiony, a trochę wojowniczy, niedosiężny i zawsze zwycięski.*

ło z marcepanu. Kroić tam można było wszystko – jak prawdziwe: różową szynkę o apetycznie połyskującej, brunatnej skórce, całe pęta kiełbasy, ser, masło, nakładając kolejne poczęstunki na kawałki – również marcepanowego – chleba. Tylko miniaturowe jajeczka były cukierkowe, a całości dopełniały jeszcze dwie buteleczki o długich, smukłych szyjkach, napełnione winem czerwonym (z soku malinowego) i białym (z odpowiednio rozcieńczonej herbaty), otoczone miniaturowymi kieliszkami. Nic dziwnego, że na taki niecodzienny poczęstunek sąsiadka dzieciarnia przylatywała całą czeredą, a gospodyni ugaszczała chętnie, bo bardziej bawił ją cały ów proceder niż marcepanowe wiktualia. Tłuste, ociążałe, brzydkie to dziecko nie lubiło bowiem słodczy. Znacznie większą przyjemność sprawiało mu wysysanie – ukradkiem w kuchni – ćwiarteczek cytryny, pozostałych z nieodmiennego obiadu Pam, albo – co już budziło chóralne protesty i potępienie ze strony domowników – pogryzanie co mniejszych, połyskliwie czarnych węgielków prosto z opałowego kubła, lub – o zgrozo! – wyjadanie wapna z wcale już sporej dziury, jaką nad własnym łóżkiem zdołało cierpliwie wygrzebać w ścianie.

Prawdziwa wiosna była już lepsza, choć także zaskakująca co chwila nagłą, ulewną chlapą i wściekle targającymi wichrami. Ale uliczne drzewa i przeciwległy skwer pęczniały wesołą, młodą zielenią, a po wzburzonych deszczem rysztołkach można było puszczać papierowe łódeczki lub – z głębokim żalem – przyglądać się brodzącej na bosaka w tej mętnej wodzie dzieciarni, czego Pam – nieskora zazwyczaj do rygorów i zakazów – najsolenniej małej odmawiała: – Tylko nogę jedną zamoczysz i znów przez tydzień z łóżka ani wyjrzysz! – Brak tej przyjemności kompensować było przecież można chytrym podkradaniem okrągłej, średniej (bo do tego celu najlepszej!) kuchennej fajerki i toczeniem jej – umiejętnie drutem podpędzanej – z hałasem po płytach chodnika. I w ogóle – większość dnia spędzało się już na podwórzu, zabawiając się całą czeredą a to w chowanego – poprzedzanego jedną z niezliczonych wylizczanek, jak choćby:

*Ich und du  
Müllers Kuh  
Müllers Esel  
der bist du!<sup>1</sup>,*

a na kogo owo „du” wypadało, musiał, oczywiście, odchodzić – a to odwieczną grą w niebo i piekło lub klasy, albo wreszcie – starannie pil-

-----  
<sup>1</sup> *Ich und du...* – (niem.) ja i ty / krowa młynarza / młynarza osioł / to właśnie jesteś ty!

nując własnych skarbów, pasjonującą grą w murmle. Kto nie wie, co to murmle, temu niewiele pomoże zgodne z prawdą oświadczenie, iż jest to turlanie niewielkich, szklanych kulek w kierunku innej jeszcze, ustawionej w należytej odległości, a będącej jednocześnie celem i wygraną. Murmle były zresztą różnej wielkości, barwy i kalibru: od pospolitych, butelkowozielonych i niewiele większych od paznokcia, aż po różnokolorowe, wzorzyście pasiaste lub – co należało już do arystokratycznych rzadkości – mlecznobiałe. Lecąc po ustalonym torze, każda z nich mogła – po drodze i przy odrobinie szczęścia – stuknąć kilka pozostałych, które nie dotarły do mety – i też wędrowały do wozeczka, jaki każdy z grających gorliwie trzymał przy sobie, jako że zdarzały się wcale groźne zamachy na ich zawartość. I dopiero pod wieczór z trzaskiem otwierały się różne okna, a macierzyńskie głosy nawoływały nagłaco: – *Ha-a-a-ns! I-i-i-nge-e-e! Essen!*<sup>1</sup>

Lata nikt z domowników nie lubił. Nie dlatego, że przynosiło wreszcie trochę upragnionego słońca i ciepła, choć krążące porzekadło radziło, by – wybierając się na plażę – nawet w lipcu nie zapominać o kaloszach i parasolu. Po prostu dlatego, że w miarę ustającej inflacji i – dużo oporniej – zanikającego, wielkiego bezrobocia (choć obie te przyczyny także nie miały na ów fakt decydującego wpływu) – już od pierwszych dni napływać zaczynały do Miasta i jego okolic całe watahy o b c y c h. Letnicy – płatni, oczywiście, dobrze płacący goście. Z pobliskich Niemiec i dalszej zagranicy. Nie: nie ci obarczeni gromadką podnieconych i rozwrzeszczanych dzieciaków rodzice, najmujący wyszorowane zawsze do białości niewielkie izby w kaszubskich checzach, bojaźliwie zanurzający jedną nogę – nie wyżej niż po kolano – w słonej a zimnej bałtyckiej wodzie, a nawet próbujący – różowym przeważnie – mydłem kąpielowym Pulsa – myć w niej swoich umorusańców, nie posiadając się ze zdumienia, że tak dobre mydło tym razem jakoś ani rusz nie chce się pienić! Z nimi – pół biedy jeszcze. Ale cała ta wysztafirowana publiczność obnosząca rankiem na sopockiej plaży lub molo najmodniejsze kąpielowo-letniskowe kreacje, żądna nieustannych uciech i atrakcji, zadzierająca nosa i – co prawda – sypiąca też wcale nieskąpo grubszym groszem: to dopiero była prawdziwa, a uprzykrzona szarańcza! Przechadzała się wśród drzew i kolorowo wieczorami podświetlanej fontannie się przyglądała, zaludniała krzeselka ustawione przed wielką muszlą orkiestrową, gdzie co dzień odbywały się rozrywkowe koncerty, rozpełzała się po sklepach, ulicach i kawiarniach, gdzie popołudniami odbywały się wytworne *five*

-----  
<sup>1</sup> *Essen!* - (niem.) Jedzenie!

*o'clock teas* lub herbatki tańczące przy dźwiękach fokstrotów czy shimmy, lub upojnego tanga. A wieczorami śmietanka coraz bardziej międzynarodowej society tłoczyła się ze szklistym spojrzeniem i czerwonymi plamami na policzkach w kasynie, gdzie monotony głos krupiera zachęcał: – *Faites vos jeux – messieurs, mesdames!*<sup>1</sup> – by wkrótce potem przeciąć bieg Fortuny definitywnym: – *Rien ne va plus!*<sup>2</sup>

Te sprawy dzieci i niedorostki znały tylko z opowieści dorosłych, ale wartki dopływ i przepływ obcego najazdu odczuwali wszyscy. I nawet garkotłuk pospolity, myjąc zakopcone garnki w mrocznej kuchni, wywodził ku otwartemu oknu tęskne, tak podówczas w całej niemal Europie znane szlagiery: „Mały gigolo, śliczny gigolo / tańczy co noc na dancingu”... lub: „Całuję twoją dłoń – madame” czy też nieśmiertelnego *Bel ami*.

Tubylców, a już tym bardziej ich dzieciarni, wszystkie te splendory, fupy, pozory (a tych także było – i to sporo!) – właściwie nie interesowały. No, owszem: obroty w sklepach i sklepikach wzrastały znacznie, sprzedawcy kiczowatych, muszelkowych i innych pamiątek, widokówek, lodów, napojów chłodzących, a także soczystych, gorących parówek mieli się nieostatnio, w obszerniejszych, podmiejskich willach mnożyć się zaczynały wytworne – ale także rodzinne (co w Niemczech ówczesnej określano jako – *horribile dictu* – dobrze mieszczkańskie – *gut bürgerlich*) pensjonaty z domową kuchnią i nienagannie uprzejmą obsługą, właściciele restauracji, barów i kawiarni z zadowoleniem zacierali ręce, a i hotele prosperowały. Miastu więc doroczne te inwazje przynosiły spore dochody i pożytki. Ale rdzenni jego mieszkańcy uciekali przed intruzami.

Uciekało się – najpierw pod opieką dorosłych, a w miarę upływu lat swoimi, odpowiednio dobranymi gromadami czy paczkami – w odleglejsze rewiry, do których dotrzeć można było łatwo, a niezbyt drogo podmiejskimi „bumelcugami” albo po prostu tramwajem. Do Glettkau, Heubude, Brösen<sup>3</sup> czy jak im tam jeszcze było. Wkładało się w domu pod sukienkę kostium kąpielowy, pakowało się do torby ręcznik (kąpielowy czepek już rzadziej – kto by tam nim sobie zawracał i przystrajał głowę!), solidną porcję sztuli, czyli kanapek w pergaminowym papierze, pudełeczko kremu Nivea, żeby zbytnio się nie spalić w ostrym słońcu, nieco drobnych na bilety – i jazda!

Nikt zresztą nigdy nie mówił, że wybiera się do kąpeli czy nad morze. Morze było (i jest) zawsze pobliskie, przyjazne i groźne, karmiące

<sup>1</sup> *Faites vos jeux...* – (franc.) Panowie, panie – zaczynajcie grę!

<sup>2</sup> *Rien...* – (franc.) Koniec obstawiania!

<sup>3</sup> Obecnie: Jelitkowo, Stogi, Brzeźno – dzielnice Gdańska.

i niszczące, niepojęte, choć znane od dziecka, wiecznie odmienne i stale niezmiennie, i po cóż sobie nim strzepić język po próżnicy. Jechało się po prostu *an den Strand*, czyli na plażę. Lody w tutce lizało się gorliwie przy lodziarskiej budce, a tuż obok można też było kupić w szklanych butelkach z porcelanowym, na sprężynkę szczelnie zamkniętym korkiem, opatrzonym ponadto wewnątrz czerwoną, gumową uszczelką, zjadliwie żółte albo malinowoczerwone lemoniady, choć największym powodzeniem cieszył się płyn zielony Waldmeister (odnaleziony po dziesiątkach lat w słowniku jako marzanka wonna), z racji swego jakby leśnego zapachu i rzeźwej, lekkiej goryczki, jaką zostawiał na języku.

Z domowników cieszył się latem właściwie tylko Pum. Zaaferowany, czworzył się i mnożył nieraz do późnego wieczora. Bo ruch był w porcie – a więc i w interesie. Statki na wyjściu, statki na wejściu, statki na redzie: załadunki i przeładunki. Papiery, korespondencje, konferencje, narady. Kapitanat portu i stocznia, Izba Przemysłowo-Handlowa i banki. I – nie na ostatku – równie żywi i ruchliwi konkurenci. Niepokażny początkowo Trans-mar z każdym rokiem bardziej krzepł i rozrastał się. Z biegiem lat weszło w zwyczaj, że już przed ósmą czekała koło domu taksówka specjalnie opłaconego pana Geißlera, by zawieźć dyrektora do kantora, jak zwykł sam z siebie podżartowywać. Wracał na spieszny obiad do domu punktualnie jak PKP – jak nie on jeden wówczas mawiał, bo zaiste według polskich pociągów można było zegarki regulować! – o pół do drugiej, odpoczywał jeszcze pół godziny (zakłócone zazwyczaj częstymi telefonami albo i przybyciem gońca z jakąś szczególnie pilną sprawą), a zaraz potem wracał do pracy, wpadając tylko wieczorem na kolację i – najczęściej – zaraz potem wychodząc na brydża do swego umiłowanego klubu. Ale tak napięty program służył mu wspianiale: był rześki, w świetnym humorze i wcale nie uskarżał się na zmęczenie. A z wolnościowej strefy (bo była taka w porcie!) napływać zaczynały specjały obfite a znakomite: wyborowe gatunki herbat (którą Miasto, pijąc kawę, gardziło!), barwne, cudzoziemskie alkohole, wonne tytonie, suszone winogrona kalifornijskie, a też mnóstwo pomarańczy i grejpfrutów.

4 sierpnia jest dniem Świętego Dominika i o tym wiedziały w Mieście nawet małe dzieci. Od setek lat bowiem rozpoczynał się tego dnia doroczny jarmark, powszechnie tylko jako Dominik znany. Domownicy udawali się tam dopiero dnia następnego, przeczekując pierwszy, pełen największego rejuwachu i zamętu. Ale gdy już się tam poszło – ani wiadomo było gdzie najpierw się obrócić, gdzie popatrzeć, czego

spróbować, a podniecona dzieciarnia ciągnęła starszych we wszystkie naraz strony.

Kręciły się huśtawki i karuzele, diabelskie młyny, koło olbrzymie i statecznie, powolutku w kółko się obracające pojazdy dla najmłodszych: białe łabędzie, brązowe koniki, spaśne szare słonie. W sąsiednich kramach i budkach sprzedawano słodkie ciastka, gorące kielbaski z musztardą, różnobarwne kanapki, lemoniadę i piwo, które w większych ilościach popijano pod rozłożystymi namiotami (*Bier-Zelte*). Gęsty chichot i hałaśliwy śmiech dobiegały z budek strzelniczych, gdzie bohaterem dnia zostawał dziarski młodzian, który – bez pudła – aż do skutku trafiał w dziesiątkę, nagrodzony za ten wyczyn sporym dzbanem albo (co rzadziej) i młynkiem do kawy czy choćby nagrodą pocieszenia, czyli papierową czerwoną lub żółtą różą. Sprzedawano losy na loterię, a co na niej wygrać było można, widzieli wszyscy już z daleka: lalki, misie, szklanki, salaterki, przeróżne słodycze – niestety: nie każdy, a raczej mało który los przynosił choćby najmniejszą wygraną. Przed innymi namiotami wrzeszczeli donośnie tędzy naganiacze, zachęcając przepływające tuż obok tłumy do obejrzenia jedynej na świecie kobiety z brodą albo niezwykłego siłacza, zrywającego zamczyste, żelazne okowy, w które go zakuwano. A nad tym śmiechem, krzykiem i gwarem niósł się – obok donośnych szlagierów przez potężne trąbotuby gramofonowe – przeraźliwy jazgot blaszanych gwizdków, w których sprytnie umieszczone ziarnko grochu, terkotało jeszcze do wtóru. Bo młodsza, rozochocona gromada nie tylko kwapiła się do tańców, ale jeszcze podśpiewywała głośno najmodniejsze przeboje, jak choćby:

*O donna Clara  
ich hab' dich tanzen gesehn –  
O donna Clara  
du bist wunderschön!*<sup>1</sup>

Mydlany słup już w owych latach do atrakcji Domnika nie należał, ale opowiadał o nim szczegółowo Pum, który go z własnych wczesnych czasów pamiętał: był wysoki, solidny, drewniany i aż po sam szczyt należycie wysmarowany szarym (choć w Mieście zwało się je zielonym!) mydłem. Gromada ciekawskiej gawiedzi otaczała go gęsto, a co i rusz wyskakiwał z niej zdeterminowany jakiś młodzik, zrzucał

-----  
<sup>1</sup> *O donna Clara...* – (niem.) *O donna Klara / ujrzałem cię tańczącą / O donna Klara / jesteś przepiękna!* – najsłynniejszy utwór Jerzego Petersburskiego *Tango Milonga*.

na ręce stojącego obok kamrata marynarkę, starannie – o własne spodnie – wycierał ręce i rozpoczynał mozolną wspinaczkę, w połowie której najczęściej fatalnie i ze wzrastającą szybkością zjeżdżał poślizgiem na ziemię przy akompaniamencie chóralnych śmiechów, gwizdów i szyderstw. Ale bywało przecież i tak, że ambitny śmiałek jednak na szczyt docierał – co zdumiona czereda obserwatorów kwitowała już tylko pełnym szacunku milczeniem, wiwatując dopiero, gdy zsuwał się w dół, jedną tylko ręką uczepiony słupa, bo w drugiej mocno ścisnął zdobytą w takim trudzie nagrodę: prawdziwe – cóż że cajgowe – ubranie, w którego kieszeniach tkwiła jeszcze garść pieniędzy i podobno (o tym Pum się na własne oczy przekonać niestety nie zdołał) najprawdziwszy – cóż że tombakowy – zegarek!

W innym jeszcze namiocie produkował się ziejący płomieniami połykacz ognia, w sąsiednim pokazywał magiczne sztuki iluzjonista, wyciągając wobec zagapionej nań publiczności to przysłowiowe króliki z cylindra, a to trzepotliwe gołębie z własnych rękawów, a to pęk długich, barwnych wstążek z malej, bielutkiej chusteczki, jaką przed chwilą wypożyczył „od tej przystojnej blondynki z lewej strony na trzeciej ławce”. Przy takich okazjach najczęściej obławiali się oczywiście sprytni kieszonkowcy i niejednen młodzian, zapraszając swoją pannę na kolejną lemoniadę czy kawę, z nagłą i z przykrym zaskoczeniem stwierdzał brak portmonetki czy zgoła portfela.

W co zasobniejszych bufetach sprzedawano solidne pajdy chleba ilustrowanego (po latach, dziesiątkach lat przypomną je duńskie „smorrebrody”), czyli po prostu dekoracyjnie obłożonego kiełbasą, tatlarkami jajka na twardo, a nadto jeszcze pomidorem i kiszonym ogórkiem, zapijane ostrym machandlem, czyli wódką, do której każdego kieliszka dodać trzeba było suszoną śliwkę, nadzianą na wyostrzony patyczek, lub kostkę cukru.

Jak to na jarmarku: wędrowni handlarze zachwalali na swych rozkładanych stoliczkach uniwersalne maści na odciski, połyskliwe patelnie i noże, niebywale wybielające kremy i buteleczki przeróżnych eliksirów przeciw piegom, łupieżowi i wszystkim innym plagom udręczonej ludzkości.

Tuż obok wyskakiwał przed niedużą kurtynę rudowłosa Kacperek – koniecznie w trawiastozielonym, spiczastym kapelusiku – i trzykrotnie upewniał się obecności licznie już stłoczonej i wyczekującej kolejnego, kukiełkowego przedstawienia dzieciarni:

– *Seid ihr alle da?*<sup>1</sup>

-----  
<sup>1</sup> *Seid ihr alle da?* - (niem.) Czy już wszystkie jesteście?

– *Ja-a-a!!!* – wrzeszczały zgodnie dzieci i dopiero po odprawieniu tego nieodzownego, wstępnego ceremoniału sztuka mogła się rozpocząć.

Nad tym gęstym, zwartym, ledwo się poruszać mogącym i tumany suchego kurzu wzbijającym tłumem jaśniało najczęściej wysokie, czyste, bardzo niebieskie niebo sierpniowe. I szybowały ku niemu – przy akompaniamencie wrzasków i wizgów niepokieszonych dzieci – czerwone, zielone, żółte i jakie tylko jeszcze baloniki, których całe pęki sprzedawano przy wszystkich wyjściach na plac.

Gdy kończył się Domnik, przez pewien czas krążyły jeszcze po mieście jego odpryski: katarzyniarze ze smutnymi, nieco schorowanymi z racji zbyt dla nich zimnej pogody małpeczkami lub kolorową papugą, umiejętnie i za drobną tylko opłatą wyciągającą z tekturowego pudełka wróżebny los, w którym cała przyszłość zgłaszającej się osoby zawarta była w paru linijkach czarnego druku. Pojawiali się domokrażcy, zachwalający już nie tylko maści i mikstury, ale sznurowadła, nici, grzebyki, lusterka i wszystko, co mogło zapewnić im najdrobniejszy choćby zarobek na nadchodzącą srogą, długą i ciężką zimę. Domo-rośli śpiewacy (i śpiewaczki), grajkowie o piskliwie rozstrojonych instrumentach (zdarzały się duety, tercety, z rzadka nawet i kwartet) zaludniali szare, wąskie podwórzowe studnie, a występy ich – w zależności od oceny słuchaczy – nagradzano zakreconymi starannie w kawałek gazety groszakami, które spadały na bruk z uchylonych okien czynszówek. Muzyczne popisy były rozmaite, od dziarskich marszów po taneczne melodie, śpiewano natomiast tylko i wyłącznie o miłości, przy czym zasadniczy schemat nigdy nie ulegał zmianie: Pojawiał się tajemniczy (czasem trochę podejrzanego autoramentu) on – rozkochiwał niewinne dziewczę, po czym odchodził w nieodgadnioną dal, zostawiając ją z sercem złamanym, podeptanym i gorzko rozżalonym, a dobrze jeszcze, jeśli nie z bardzo wrzaskliwą tego romansu pamiętką; akuratnie jak w życiu, przyświadczały kuchty, praczki, pomywaczki i podręczne od krawcowej, supłając dla artystów swoje ciężko zapracowane fenigi.

Gimnastyczne pokazy na malutkich, wytartych dywanikach błyskawicznie rozkładanych na ziemi i równie szybko zwijanych, gdy tylko zamajaczył w bramie trawiasty mundur policjanta, zdarzały się rzadziej. Dokonywały ich przeważnie niedorośli lub całkiem nawet małe dzieci (najczęściej dziewczynki), chodząc na rękach, stając na głowie, wykonując w szaleńczym tempie misterne gwiazdy, przerzutki i szpagaty, choć sypiące się z okien datki zbierali asystujący im dorośli.



Później – kiedy dni stawały się już coraz krótsze, bardziej szare, mgliste i dżdżyste – pojawiali się zwykli żebracy i najczęściej nie z tych, co to po bramach wyciągali rękę. Bieda gryzła, doskwierało bezrobocie, stawali więc na podwórkach niekiedy nawet młodzi, wychudzeni, bladzi, z kawałkiem tektury w ręku, opatrzonej napisem: „Żebrać się wstydzę – pracy nie mam” albo „Bez pracy źle – głodować gorzej”. Maskowali swe zawstydzenie żalonymi próbkami śpiewu albo wprost pukali kolejno do każdych drzwi i najczęściej niechętnie przyjmowali kromkę chleba ze smalcem czy miskę zupy zamiast pieniężnego datku. Gorącą zupę, kawałek chleba czy kubek – zbożowej oczywiście – kawy, nawet nocką zapewniały im schroniska lub towarzystwa dobroczynności, choć też nie było ich zbyt wiele i jeszcze mniej miały na te doraźne akcje funduszy. Ale jak tu wystawać godzinami w kolejce po stempelek, czyli kolejną adnotację o mizernym (nigdy do następnego niewystarczającym!) zasiłku dla bezrobotnych i nie sztachnąć się na tym zimnie chociaż jednym (na sztuki też sprzedawanym) papierosem? Jak tu z kumplem nie wejść choć na jedno piwo do narożnej knajpy, by obeschnąć po deszczu i wspólnie naurągać na podły los?

Wymizerowane, wyniszczone kobiety chyłkiem wynosiły z domu co lepsze płaszcze, obrusy, poduszki, zmierzając z nimi do jakże licznych w owym czasie lombardów (*Pfandhaus, Leihhaus* – odczytać było można na każdej niemal ulicy) – a ubogich tych zastawów najczęściej nie można już było wykupić – co gorsza – mało następnych dostarczyć. A gazety codzienne pękały od ogłoszeń: „Licytacja – licytacja przymusowa: bielizna stołowa i pościelowa, firanki, zasłony, zegary i zegarki, obrączki, odzież używana, lampy, meble”...

Dzieci tego jeszcze nie rozumieją, dzieci nie widzą, nie wiedzą. Bzdury! Dzieciom właśnie najgorzej. Widzą wszystko, wiedzą więcej znacznie niż umieją nieporadnym jeszcze słowem wypowiedzieć (a ileż jeszcze zatajają – ze strachu), rozumieją wcześniej niżby to nawet dla samych siebie określić umiały, że dzieje się źle i coraz gorzej. W domu jest jazgot i wrzask albo ciężkie, głucho milczenie – a na podwórku też nie lepiej, skoro tuż obok Heinz czy Truda pałaszują grube kromki posmarowane apetyczną leberką, czyli wątrobianką, i można się im tylko przyglądać ze źle tajoną zazdrością, której do wtóru własne – puste – kiszki marsza grają. Co starsze radzą sobie jakoś: odnoszą (i przynoszą) zlecone prania, wyszywają chusteczki lub serwetki, sprzedają gazety czy pokątnie robione papierosy. Ale umysł dziec-

ka to jeszcze *mens momentanea*<sup>1</sup> – nigdy później już nieosiągalna – chwije się przez chwilę jak ważka nad najciemniejszymi sprawami, a już za moment odrywa się od nich, odfruwa ku weselszym, choć ulotnym i błahym. A jesień to równie sposobna ku temu pora jak każda inna. Tym bardziej że czas najwyższy robić latawce, *Drachen*, czyli smoki, jak się tu w Mieście nazywają. Oczywiście, że pełno ich na sklepowych wystawach, prawidłowo wysmoczonych, jaskrawożółtych lub płomiennie czerwonych, wymalowanych czarnymi krechami na najprawdziwsze straszdyła, ale któż by je kupował, skoro i tak w domu groszem nikt nie śmierdzi? Za uciulane fenigi kupuje się więc tylko papier – najlepiej cieniutki, specjalny, błonkowaty, czerwony i granatowy – i kilka drewnianych listewek. Teraz cała rzecz w tym, żeby owe listwy należycie połączyć i papierami okleić, a później doczepić wspaniałą, też papierowymi kokardkami zdobiony ogon i długi, długi, długi sznur, na którym – a umiejętność tę zdobywa się nie pierwszej wcale jesieni – z należytego rozbiegu będzie go można puścić, aż zaszybuje wysoko, wyżej i coraz wyżej. I jeśli tylko w druty albo gałęzie się nie zaplącze, można go będzie tak podniebnie wypuszczać co dzień, póki tylko trwa jeszcze pogoda, krótkie dni złudnego lata starych bab (*Altweibersommer* – mówią tutaj na nasze, bardziej już skrótowe babie, czy też babskie lato), a w końcu ściągnąć już ostatecznie na ziemię i w ciemnym zakamarku szafy schować do następnego sezonu. Urządza się zawody, konkursy, turnieje, w których rej wodzą co starsi i wprawniejsi w niełatwym kunszcie umiejętnego manewrowania długim sznurem chłopcy, ale nie brak też i dziewczynek. A co bardziej płóche istoty wypuszczają przy ostatnim rozbiegu cały sznur z rąk i – nie bez żalu oczami już tylko śledzą wysoki lot swojego smoka, szybującego coraz dalej i niknącego w końcu w płowiejącym, jesiennym niebie.



Na Długą wychodzi się przez Wysoką Bramę. Niektórzy nazywają ją także Złotą, może od złocistych liter napisu, który na niej umieszczono. Odcyfrować go pomaga Pum – bo nie nastał jeszcze dla dziewczynki czas „łaciński”, a sentencja w tym właśnie języku głosi pouczająco: *Concordia res parvae crescunt – discordia...*<sup>2</sup>, czyli: zgoda buduje

<sup>1</sup> *mens momentanea* – (łac.) umysł skory (szybki).

<sup>2</sup> Sentencja na Złotej Bramie brzmi: *Concordia res publicae parvae crescunt – discordia magna concidunt* – Zgodą małe państwa wzrastają, niezgodą duże upadają.

je, niezgoda rujnuje. Proste i prawdziwe, nie tylko w odniesieniu do tego właśnie Miasta, cóż, kiedy mało kto nawet o istnieniu tej budującej maksy my pamięta.

I w ogóle – nic się nie zgadza. Długa wcale bowiem nie jest naprawdę długą ulicą, choć przyznać trzeba, że należy do najszacowniejszych. Nie tylko dlatego, że mieści się przy niej główna poczta. Nie, nie polska – tylko miejska, choć i przy niej obok lokalnych, także wisi skrzynka tamtejszej – taki to już los Miasta, że dwie różne poczty w nim się mieszczą. Polskie jest też osobne gimnazjum, Macierz Szkolna i wiele innych instytucji, ale to do obecnej relacji ogólniejszej nie przynależą. Długa szacowna jest dlatego, że przez nią wychodzi się na Długi Rynek.

Długi Rynek (nie: Targ!) jest sercem Miasta. To przy nim wystrzela smukła iglica ratuszowej wieży, wokół której krążą postaci czterech (któż odgadnie, dlaczego tylko tylu?) Apostołów (może Ewangelistów?)<sup>1</sup>, a na jej szczycie tkwi złota, ledwo dostrzegalna z dołu figurynka króla – ponoć polskiego. I po obu jego stronach wznoszą się patrycjuszowskie, najwspanialsze kamienice, całe w złoceniach, bogatych ornamentach, szerokich tarasowych przedprożach obwarowanych ciężkimi, kamiennymi kulami lub żelaznymi paszczkami baśniowych stworów. I przy nim, tuż obok okazałego Dworu, od stuleci będącego najgodniejszą siedzibą miejskiej rady i kryjącego w sobie skarby i zażytki przez całe wieki gromadzone – w pienistych bryzgach fontanny tańczy krzepki bóg morza z wysoko wzniesionym, groźnym swym berłem – trójzębem. Tańczy w zieleni drzew lub otoczony cieniem ich bezlistnych gałęzi, trochę rozbawiony, a trochę wojowniczy, niedosiężny i zawsze zwycięski. Tu właśnie, na Długi Rynek, tyle że kilka lat później, przeniesie Pum centralne biuro swego znacznie już wówczas rozgałęzionego Trans-maru – tyle że po przeciwnej do Dworu stronie.

I – także łacińską – herbową miejską dewizę tłumaczy Pum. Z tych pradawnych zawołań, którymi niczym rycerskim klejnotem ozdabiały się stare miasta, pamiętała jedno jeszcze z okresu przygotowań do francuskiej podróży: Paryż – czyli dawna Lutetia – szczyił się dumnym wezwaniem: *Fluctuat – nec mergitur*<sup>2</sup>, czyli płynąć, nie zatonać miało miasto. U nas natomiast rada i przestroga zawarte są z patrycjuszowsko-kupiecką trzeźwością w krótkim: *Nec temere – nec timide*<sup>3</sup>,

-----  
<sup>1</sup> Żadne źródła nie potwierdzają tego spostrzeżenia Autorki.

<sup>2</sup> *Fluctuat...* – (łac.) Rzuca nim fala, ale nie tonie.

<sup>3</sup> *Nec temere...* – (łac.) Ani zuchwale, ani tchórzliwie.



Danzig. Langebrücke (Abfahrt der Dampfer)

*I już, skręcając w lewo, idziemy tym razem prawdziwie Długim Mostem. Stoją przy jednej jego stronie skromne i wąskie, stare kamieniczki, wedle ówczesnych - czyli wówczas, gdy je stawiano - obowiązujących przepisów, opatrzone dwoma tylko, trzema (co najczęściej) albo i czterema oknami...*



*... a jeszcze dalej wznosi się masywny czub „Krantoru” (czyli bramy windziastej, bo z jej górnego, okrągłego luku zwisała gruba lina, na której z cumujących statków wyciągano worki, skrzynie czy beczki).*

czyli – ani nic nierozważnie, z motyką na słońce, ani też lekliwie czy bojaźliwie. W zawsze burzliwych dziejach Miasta i równie niełatwych losach jego mieszkańców niewiele jednak wskazuje, że o tych wzniosłych pouczeniach pamiętano.

Ale Długi Rynek także, wbrew swej nazwie, wcale nie jest taki długi i już dochodzimy nim do drugiej, Zielonej Bramy, która też nie jest zielona, tylko wzniesiona najzwyczajniej z tutejszej, czerwono-brunatnej ciężkiej cegły. I już, skręcając w lewo, idziemy tym razem prawdziwie Długim Mostem<sup>1</sup>. Stoją przy jednej jego stronie skromne i wąskie, stare kamieniczki wedle ówczesnych – czyli wówczas, gdy je stawiano – obowiązujących przepisów, opatrzone dwoma tylko, trzema (co najczęściej) albo i czterema oknami, a jeszcze dalej wznosi się masywny czub „Krantoru”<sup>2</sup> (czyli bramy windziastej, bo z jej górnego, okrągłego luku zwisała gruba lina, na której z cumujących statków wyciągano worki, skrzynie czy beczki).

Statki cumują i dziś, a przede wszystkim najważniejszy dla dzieci i przez wszystkie piękne pory roku aż na morze wypływający wycieczkowy, biały i przysadzisty „Paul Beneke”, jak głosi duży czarny napis na jego boku. Szara i rozlewna Motława ma w głębi jeszcze Spichrzową Wyspę, ale tam żadne wycieczki nie docierają.

Na Długim Moście ludzi jest zawsze mrowie, świątek czy piątek. W święta – dla rozrywki oczywiście, a w powszednie dni (zwłaszcza piątki), dlatego że tam właśnie jest rybne targowisko. Latem pod rozpiętymi, spłowiałymi, grzybiastymi parasolami, a zimą okutane aż po sam nos i na specjalnych piecykach, do których długimi szczypcami co pewien czas wsuwa się im gorące cegły, siedzą rybackie babule nad rozłożonym w płaskich metalowych skrzyniach, wannach i cebrzykach, co i rusz żywo podskakującym i chlupocącym towarem. Srebrzą się śledzie, aż fioletowo połyskują tłuste matiasy, tuż obok apetyczne młodziaki słusznie zielonymi zwane, które aż się proszą, żeby chociaż funt – nieodmiennie zawijany w kawałek starej gazety – zabrać do domu, starannie oczyścić, w mące lekko obtoczyć i na smalcu chrupko usmażyć. Poważnym okiem łypią z jedynej swej ciemnej strony płóciutkie flądry, wiją się ośliżle brunatno-białe węgorze, o których każde dziecko wie, że najlepsze są w maju – koniecznie w zawieszistym, koperkowym sosie i z sałatką ogórkową (nie – broń Boże – nieznaną mieszkańcom Miasta – mizerią!), pękate pomuchle, czyli po prostu dorsze, mimo licznych odmian wcale nie są tanie, ale prócz nich

-----  
<sup>1</sup> Obecnie Długie Pobrzeże.

<sup>2</sup> Z niem. *Kran* – Żuraw.

wszystkich dostać tu można także ryby słodkowodne: szczerzącego drapieżnego zębiska szczupaka, białobrzuska – sandacza, ościstego leszcza i mnóstwo wszelkiego drobiazgu aż po smaczne karaski i drobne płotki. W drewnianych skrzynkach przyciągają wzrok złociście, świeżutko tej nocy uwędzone flądry, szprotki i „schillerowskie loki”<sup>1</sup> – specjalnie w spiralę poskręcane, a w wysokich słojach czekają swojej kolei całkiem już wężopodobne, opiekane i marynowane kwasowato dziewięciooki (*Neunaugen*), czyli minogi, u których – mimo gorliwego sprawdzania – ani razu owych dziewięciorga oczu doliczyć się nie było można. Ani nawet jednego!!!

Rybne przekupy (bo nie zawsze są to rybaczki prosto z połowu i wędzarni tu przyjeżdżające) są rozłożyste, rezolutne, jazgotliwe. Zaczepiają krążące po targu potencjalne klientki, krzykliwie zachwalają swój towar, ale grymasić i przydługo przebierać wcale nie pozwalają. Niech no jaka paniusia zbyt ostentacyjnie zacznie zazierać w skrzela, niezdecydowanie kiwać się nad wagą albo zgoła kwestionować świeżość wybranej sztuki – nasłucha się za wszystkie czasy. – Co tu łaska wa Pani wydziwia, co dłubie? W nosie sobie podłub, a łapy zabierz od ryb!

I zajadłe targi o zawsze początkowo – i z rozmysłu – zawyżoną cenę miały swoje ustalone granice, po przekroczeniu których można było już tylko cisnąć za umykającą płochliwie klientką najpogardliwsze wyzwisko: – Pracherka!

Pracher bowiem to – w niepowtarzalnym, a też prawie i nieprzetłumaczalnym swoistym języku Miasta – istota na wskroś nędzna, skrzyżowanie natrętnego żebraka z cwany wyłudczaczem, potępianym przez wszystkich rzetelnych i z pracy własnych rąk uczciwie żyjących ludzi.

Na Długim Moście było jednak jeszcze wiele innych zajmujących i wartych obejrzenia obiektów – choćby sklep Morskiego Diabła. Nie jego właściciel tak się nazywał, tylko – gęstymi gromadami przed wystawą stłoczone – dzieci nazwą tą ów sklep obdarzyły. Powód figurował w samym środku ekspozycji: wyłupiastookie i rogate, groźne oblicze, ułożone z najróżniejszych muszli i muszelek, o krwistoczerwonych, wywiniętych – także muszlowych – wargach. Od najmniejszych, różowych jak dziecinne paznokcie, aż po ogromne, wapiennobiałe czy tęczowoperłowe – muszle zapełniały ciasne i ciemne wnętrza sklepiku, a były też suszone rozgwiazdy, wdzięcznie, esowato wygięte koniki morskie o zawsze zdziwionych, maleńkich główkach, czerwone,

-----  
<sup>1</sup> Spiralnie zwinięte paski uwędzonej tłustej ryby.

białe albo także różowe gałązki koralu, żywicznie ciemnobrązowe lub mlecznożółte większe i mniejsze bryłki bursztynu – skarby nad skarbami, wspaniałości, które – skoro ich kupić nie było można – należało koniecznie przynajmniej parę razy w tygodniu oblizać przez szybę wygłodniałym a rozmarzonym okiem.

Były i kogi: zwykle albo arcyprześcipnym sposobem budowane w długiej, płasko leżącej butelce, gdzie je przez szkło podziwiać było można, ale wyjąć – bez zniszczenia całej, misternej a żmudnej konstrukcji – już nie. Kogi, czyli modele starych – tu wolno je tak nazwać – okrętów, o szeroko rozpiętych, wydętych żaglach. Były różnej wielkości, o przysadzistych, poczerniałych kadłubach – niektóre doprawdy stare, zdobiące nie tylko dostojne wnętrza pośród ciężkich, suto rzeźbionych szaf, stołów i krzeseł z czarnego dębu, ale i antykwiariaty, których w Mieście nie brakło. Ale były też małe, mniej lub bardziej zręcznie odtwarzane ich namiastki, a zdarzały się arcydziełka wykonane ze szczerego bursztynu.

Długi Most odwiedzali przecież nie tylko miejscowi albo żądni morskich wycieczek turyści: tłumnie krążyli po nim także marynarze, którzy z racji krótkiego przeważnie postoju w porcie schodzili „na lada”. Pomyślano i o nich, bo roiło się tutaj od niewielkich, mrocznych knajpek, zięjących zza uchylonych drzwi zawsze tym samym zaduchem skwaśniałego (bo przestałego) piwa i przestygłego tytoniowego dymu. W trosce o jak najliczniejszą klientelę prześcigały się pomysłowymi reklamami, jak choćby ta – o szeroko na obie strony rozwartych i jaskrawą zielenią powleczonych wejściowych drzwiczek: na każdej z tych połówek wymalowano wielkie, białe jajo; całość zaś opatrzone filuterną zachętą:

<i>Ei</i>	<i>Ei</i>
<i>Warum</i>	<i>Vorbei?</i>

(Pomijając fonetyczną – bo przecież nie semantyczną zbieżność tego zawołania z samą nazwą jajka – można by to – acz niezdarnie – spróbować sparafrazować tak mniej więcej:

<i>Ejże</i>	<i>Ejże</i>
<i>Nie miń:</i>	<i>Wejdźże!</i>

Dosyć o Długim Moście. Skręcamy teraz z niego w lewo i kolejną ciemną, sklepioną bramą idziemy ku uliczce, a właściwie zaułkowi,



którego próżno dziś szukać w realnie istniejącym (chyba jednak – po większej części i prawda, że z niezmiernym pietyzmem – odtworzonym) Mieście. Uliczka nazywa się Pietruszkowa<sup>1</sup> (Petersiliengasse), a tak jest mała i wąziutka, że mieszkańcy jej niewysokich kamieniczek z obu stron przez okna się wychylając, ręce by sobie chyba nad jej kociołbistą jezdnią uściskać mogli. Jest tu niewielka piekarnio-ciastkarnia, sklepik rzeźnicki, sklepik ze słodyczami, parę innych jeszcze. A wejść musimy pod nr 17 i po wydeptanych, mrocznych a stromych schodach dojść aż na drugie piętro, bo tam mieszka Babcia.



Babcia Amalia (w odróżnieniu od nieżyjącej już babci Teodozji, znanej jedynie ze starej, sepiowej fotografii) jest Kaszubką i matką Puma. Mimo panińskiego nazwiska kończącego się ostro powarkującym „...br (...r-r-r) odz (...dz-dz) ka”, z gburów bynajmniej się nie wywodzi. Gbur – gwoli wyjaśnienia tej kwestii ludziom nic niepojmującym – nie oznaczał w jej stronach ordynarnego nieokrzeszańca, lecz przeciwnie – bardzo zamożnego właściciela gruntu. Jako jedna z pięciu córek zwyczajnego rybaka nie odebrała zbyt starannej edukacji, zanim – zaledwie siedemnastoletnia – wyszła za mąż za dziadka Franciszka, o którym już była mowa. On to – uparty autodydakta – czytać i pisać ją nauczył i podarował grubą, polską książkę do modlenia, a jeszcze i *Dzieje Polski* czytać kazał – niewiadomego autorstwa; choć spory ów tom, starannie oprawiony w czarne płótno dotąd leży na półce, pierwszych stron w nim brak.

Dzieci mieli siedmioro: czterech synów, trzy córki, ale – jak to z dzieci – pociechy z nich doczekała niewiele, choć wszystkie zdążyli jeszcze wspólnymi siłami wykierować na ludzi: najstarszy – architekt – jak także już wiadomo, zginął od zbłąkanej kuli, następny w świat ruszył i słuch po nim wszelki doszczętnie zaginął, trzeci do marynarki handlowej (pewne, że niemieckiej – a jakąż jeszcze tu podówczas być mogła) przystał i kawał świata zwiedził, no a najmłodszy i ulubiony – to właśnie Pum. Z córek najstarsza młodzianka na gruźlicę umarła, a dwie pozostałe wydały się, owszem, niezgorzej: jedna za Skandynawę – bogatego piwowara, druga za Niemca – uczonego filologa. Z tym ostatnim małżeństwem najwięcej było kłopotów, bo ojciec wykląć chciał wyrodną dziewczynę, która – pomagając przy rannych

-----  
<sup>1</sup> Obecnie ul. Warzywnicza.

w miejskim szpitalu (rzecz działa się podczas pierwszej wojny światowej) – nieprzymtomnie zakochała się w łysawym i wcale już niemłodym, ale – trzeba pecha! – niemieckim ozdrowieńcu. Ale Babcia o praktycznym i w wielu życiowych tarapatkach dojrzałym umyśle zdecydowała trzeźwo:

– Co tam, że Niemiec, o jeny kochany! (stałe to jej zawołanie zastępowało chyba inwokację do Pana Jezusa, którego imienia grzech przecież było wzywać), co to je ten Hans? Człowiek, czy nie?

Wysoki, cichy a miłkiwy Hans pojawił się więc na Pietruszkowej, oceniony został należycie, dziadkowe gromy umilkły, weselisko się odbyło, po czym ciocia Ela wyjechała do większego jeszcze miasta, bo mąż jej w Berlinie znalazł wcale dobrze płatną redaktorską posadę w jakimś naukowym wydawnictwie.

Babcia jest drobna, szczupła, zawsze wyprostowana i nieodmiennie ubrana na czarno. Popielate – nie całkiem (choć ma teraz już dobrze po siedemdziesiątce) siwe jeszcze włosy rozdziela pośrodku zawsze krzywym przedziałkiem, a cieniutki warkocz spina w tyle głowy dużymi, drucianymi szpilkami w koczek, czyli tak tu zwany *Dutt*. Uszy ma spore, nosa też jej potężnego Stwórcy nie poskąpił, wąskie wargi często przejaśnia cokolwiek niedowierzającym uśmiechem, a spłowiałe, niebieskie oczy, baczenie spoglądające spod głębszego jeszcze niż u Puma daszka, często łzawią, co nie przeszkadza jej przecież szyć ani czytać. U lekarza nie była nigdy w życiu, nie ma też takiej na świecie siły, która zdołałaby ją zmusić do odwiedzenia okulisty. Żarliwie wierzy w Boga, co niedziela wędruje na wczesną mszę, ale poza tym polega na własnym, dobrze wypróbowanym rozsądku. Podróżować nie lubi: każdą z zagranicznych córek odwiedziła zaledwie dwa razy w życiu. Co innego, gdy w dzień jej urodzin dwa malutkie pokoiki napełniają się gwarem gratulantów: godnie przyjmuje życzenia, cieszy się prezentami i już po chwili gromadzi wszystkich wokół rozsuniętego na tę uroczystość owalnego stołu pełnego niewymyślnych pyszności.

Z maciupkiego, jak dziupla ciemnego, przedpokoiku dwoje drzwi otwiera się po obu stronach do pokojów Babcy. We frontowym, paradnym, mało co widać przez nieduże okienka, tak gęsto zastawione są doniczkami jaskrawoczerwonych pelargonii i fioletowo-różowych, dzwonkowych fuksji. Na podłodze zapokostowanej na czerwono stoi jeszcze wielka donica ciemnozielonego mirtu.

– Parę gałązek dam ci do wianka, jak do ślubu się będziesz stroić – obiecuje wnuczce.

Między oknami mieści się tremo: wąskie, długie lustro od sufitu aż do podłogi. Ujęte w politurowane, brązowe ramy i u dołu ozdobione półeczką, na której stoi cała kolekcja różnokształtnych muszli z dalekich wód.

– A przyłóż no tę muszlę do ucha: zaraz usłyszysz, jak morze szumi – i doprawdy: szumiało zawsze!

Umeblowania dopełnia wspomniany stół, kryty na co dzień zieloną, pluszową serwetą, oraz równie pluszowe – choć ciemnoczerwone – kanapa i dwa fotele. W kącie za drzwiami biały kafłowy piec. A z drugiej strony: gięty bujak, czyli wyplatany fotel na biegunach, i stoliczek z gramofonem. Babcia jest bowiem namiętą konsumentką muzyki tańeczno-rozrywkowej i po pracowitym dniu kiwa się błogo w owym fotelu do wtóru najmodniejszych – głównie przez córki dosyłanych – szlagierów. Gramofon trzeba z boku nakręcić korbką, nastawić należyście co i rusz zmienianą igłę, których całe pudełeczko leży zapobiegliwie w szufladce, i już koncert może się zacząć.

Pokoik naprzeciw jest jeszcze mniejszy, mroczniejszy i nie tak suto urządzony. Mieści się w nim żelazne łóżko (zamczysta szafa dała się jakoś, choć z trudem, wepchać do przedpokoiku), takiż stojak na dwie emaliowane miski do mycia, niewielki, prostokątny stół pokryty podniszczoną ceratą, kilka sfatygowanych krzeseł i kanapka, na której sypia – Królowna. Bo to właśnie Babcia, mimo swoich lat, z oddaniem hołubi i wychowuje tu starszą swoją wnuczkę o egzotycznym imieniu Leila, którą osieroconą, z wirów rewolucji i wojny do niej przywieziono. Leila jest naprawdę królowną, rodzinną pięknoscią, smukłoną, zgrabną, o złocistych, wijących się włosach i wielkich, zielonych oczach, rozkapryszoną jedynaczką, której cała rodzina stara się dogadzać na wyścigi. Wie o tym doskonale i wykorzystuje te sentymenty, już to utyskując na surowość Babci, już to cichcem wymykając się z lekcji w jakże nudnej handlówce (musi przecież dziewczyna mieć jakiś fach w ręku!), już to strojąc błagalne minki do Puma: – Stryjku-u! Stryjek mi da na kajzery!

A kajzery, których z kajzerkami mylić nie należy, to czysto jedwabne i niewiarygodnie drogie pończochy. Ale jakże w nich, zwłaszcza tak zgrabne, nóżki wyglądają!

Do tego pokoiku przylega maluśka kuchenka, a z niej drzwi wiodą na balkonik, gdzie zimą zalega spory kopczyk węgla (schodzić po opał do piwnicy Babcia już nie może, a Leila nie ma czasu: ledwo, że z koszykiem po kartofle kiedy tam zbiegnie!), a w pogodniejsze pory roku toczą się wojny z mewami.

Kto je toczy? Oczywiście: Pujka Piątek. Pujka – to po kaszubsku kot, a ten pręgowany, szary przybłęda dodatkowo jeszcze ma imię od dnia, gdy go Babcia znalazła wpółzmarzniętego na śmietniku. Pujka Piątek ma na balkonie swoją miseczkę z resztkami rybich łbów i im podobnych przysmaków, ale na nie rzucają się z wrzaskiem nienasytne nigdy ptasie rozbójniki, gromadnie nadlatujące znad pobliskiej Motławy.

Mewy – tylekroć poetycko opisywane, malowane, fotografowane są w istocie zakałą całego rodzaju ptasiego. Czupurne i czujne, oko mają bystre, łapy silne, dziób ostry. A byle najeść się do syta, nie wzgardzą największymi obrzydliwościami, rozdziobią wszelkie odchody i rzygowiny, gotowe chyba i przed padliną się nie cofnąć. One to całymi stadami długo towarzyszą wszelkim strawę warzącym statkom, a nawet kutrom rybackim, a w późniejszych dziesiątkach lat naszego stulecia jeły coraz głębiej zapuszczać się na ląd, do miast i odstraszyły nawet dostojne wrony, zamiast nich uwijając się wiosną po polach za oraczami i wyjadając z ziemi tłuste, białe pędraki.

Jeśli Babcia jest w domu – spieszy w sukurs, wywija kijem od szcztoki i przepędza obrzydłe ptaszyska. A jeśli nie – Pujka Piątek nie daje też za wygraną i dzielnie stawia czoło, a raczej z pazurami rzuca się na ptasią czeredę, choć wychodzi z tych bojów mocno pokiereszowany i wielokroć kujnięty drapieżnymi dziobami. Wylizuje się z tych ran długo, ale przy najbliższej okazji znowu rusza do boju.

Nieprawda zresztą, że kot ze wszelkiej wysokości zawsze bezpiecznie spada na cztery łapy. Dowodem najlepszym jest tu znowu Piątek, który – zwabiony ponętym zapachem świeżo wędzonej kielbasy – usiłował wkraść się do piwnicy rzeźnika, ale poślizgnąwszy się na tłustym wieku spadł z wysokości tak niefortunnie, że omal karku nie skręcił. Przerażona Babcia zaraz pobiegła z nim – w koszyku – do weterynarza, a długiej, przepisanej przezeń kuracji na tyle nie dowierzała, że kazała najmłodszej wnuczce przez cały ów czas (czyli prawie dwa miesiące!) odmawiać za biednego Pujkę po trzy zdrowaśki przy cowieczornym pacierzu.

Nieprawda też, że w niezgodzie żyje pies z kotem. Psy są na Pietruszkowej aż dwa: stara, wyleniąta wilczyca Helcia o wielkich bursztynowych oczach i jazgotliwy, gładkowłosy jamnik Kaczmarek (przezwany tak od nazwiska jakiegoś gminnego urzędnika-złośliwca, który niegdyś sprzeciwiał się Babci) – a harmonia między nimi i Pujką panuje tak znakomita, że często gęsto – zimą zwłaszcza – śpią wszyscy razem, grzejąc się wzajemnie.

Z Babcią chodzi się do czerwonoceglastej (w prusko-pocztowym stylu pobudowanej) targowej hali i asystuje przy ceremonialnych zakupach. Nikt bowiem nie kupuje tu kota w worku, czyli towarów bez degustacji. Na czubku noża (starannie i każdorazowo później mytego!) przekupka podsuwa próbkę masła, odrobinę glumzy, czyli twarogu, albo kremowej, gęstej śmietany, tu znanej jako szmand, choć są to już wschodniopruskie, językowe domieszki. Nawet próbny kawałek kiełbasy smakowany jest długo i ze znanstwem, barwy i wygląd rozmaitych gatunków mięsa komentowane są należycie, a nogi rozwrzeszczanych w drucianych klatkach kur, kaczek i gęsi poddawane uważnym oględzinom. Poniektóre gospodynie zaraz na miejscu każą upatrzoną sztukę zarznąć, ale większość uchodzi z żywym towarem w obszernym, plecionym koszyku, bo przyda się i krew: zwłaszcza kacza. I ileż jeszcze po powrocie do kuchni z takim ptaszydłem roboty: zarznąć, starannie oskubać, nad ogniem ze wszystkich stron opalić, wypatroszyć, pilnie zważając przy tym na pęcherzyk żółciowy, który jeśli – nie daj Bóg – pięknie nieodwołalnie zniszczy całość, przenikając ją obrzydłą gorzkością.

Ale drób to danie od wielkiego, świątecznego dzwonu, na równi z łososiową szynką, czyli wędzoną, delikatnie różową (stąd nazwa) połędwicą w cieniutkiej śnieżnobiałej otoczce tłuszczu albo i aromatycznie podwędzаныmi brunatnymi półgęskami, czyli siatką sznurkową oplecionymi gęsiami biustami. Na co dzień je się to, co kupić zezwala chuda przeważnie kieszeń i co niesie ze sobą kolejna pora roku. Transport jest kosztowny, konserwy też nie tanie (szczególnie drogie, choć wysoko jako delikates cenione, puszki konieczne portugalskich sardynek), o lodówkach ani – tym bardziej – zamrażarkach nikt jeszcze nawet nie śni. Pozostają na wpół chałupnicze sposoby – saletra, sól, peklowanie, marynowanie, coraz już popularniejsze weki. I wszystko to, co bujna, niezatruta przyroda w polu, na łące, w lesie nam przyniesie.

Wiosną jada się więc smardze (*Morcheln*), czyli grzyby tylko na korze drzew rosnące; bibułkowato pogniecione, ciemne ich nieco stożkowate kapelusze pyszne są ze śmietaną. Latem i aż do późnej jesieni grzybów wszelkich jest obfitość, ale prym wśród nich trzymają w Mieście żółciutkie, ostrawe kurki, które zjada się wyłącznie z chrupko przysmażonym boczkim. Nikt też nie gardzi miską „świńskiej fasoli”, czyli bobu, byle dobrze okraszonego. Je się – zwłaszcza w okresach świniobicia – na gorąco świeżutką wątrobiankę i kaszanę, czyli *Blutwurst*, robioną w tych okolicach z krwi bydłowej i manny kaszy, moc-

no przyprawianą ziołami, zwłaszcza majerankiem. A zimą dopycha się jądłospis kartoflami, zawieszistymi sosami, gęstymi zupami, faszerowaną kapustą. Na robotniczych osiedlach w Oruni czy na Cyganach (naprawdę nazywały się Ziganken<sup>1</sup>) woła inne, treściwe potrawy: żeberka z kapustą, tęgi kawał golonki z przecieranym grochem i suto omaszczonymi kartoflami. Ale na tyłach prawie każdego z tych osiedlowych domków skubie rzadką trawę krowa biednych ludzi (*Armeleutekuh*), czyli zadzierzysta zazwyczaj, rogata kózka, nie brak też kilku kur i odrutowanych klatek z królikami, po zielsko dla których ugania zaraz po szkole okoliczna dzieciarnia.

Z Babcią chodzi się do kościoła. I to chyba ona najpierwsza prowadzi dziecko w tajemniczą ciemność Panny Marii, gdzie odczuć jeszcze można cały majestat i grozę mrocznego gotyku. Przez różnokolorowe witraże spływa tyle tylko światła, że dostrzec w nim można przetarte do osnowy, wysoko zawieszone sztandary – zdobycze z jakichś, dziś już niepamiętnych bitew – i skąpe, niewyraźne złocenia przy ołtarzach, a nad głównym, niemal niezrozumiałym zarys liczących postaci na równie przyciemnionym tle: – To Memling, *Sąd Ostateczny*, zdobyczyn na Szwedach łup – wytłumaczy później Pum. Ale tymczasem dziecinne nogi dygoczą i ślizgają się ze strachu po nierównych, nagrobnych przecież, kamiennych posadzkowych płytach, z napisami wpół lub całkiem już zatartymi dziesiątkami tysięcy stóp drepających po nich od iluż już setek lat.

I od Babci dowiedzieć się też można o tradycji istniejącego dotychczas w Mieście „stiftu”, czyli rezydencji dla starych panien. Niekoniecznie musiały się wywodzić z wysokiego rodu, mogły też być ułomne, krzywe czy garbate, tylko dytki mieć musiały, znaczy – dobry grosz. Czy same go uciulały, czy od zamożniejszych krewnych zdołały wyłudzić – nie obchodziło nikogo, a gdy raz już się tam wkupiły, zapewniony miały nie tylko godziwy wikt, opierunek, opał i ciasny poikoik, ale nawet i godziwy pochówek.

Swoisty i barwny język Babci nie był też chyba całkiem czystą kaszubszczyzną, choć na rybnym targu porozumiewała się z handlującymi tam Kaszubkami bez trudu. Ale przymieszki wschodniopruskiego dialektu, całkiem odmiennej gwary kociewskiej i najzupełniej już tu-tejszego, swoiście miejskiego żargonu łączyły się w nim zgodnie z nieoczekiwanymi wtrętami czystej polszczyzny (to zapewne wpływy początkowych a purystycznych zapędów Pam, póki z nich – dość szybko zresztą – nie zrezygnowała) i pospolitymi germanizmami. Stąd te

-----  
<sup>1</sup> Obecnie Suchanino – dzielnica Gdańska.

wszystkie taszki (torebki), jaczki (swetry lub kurtki) i taski (filiżanki albo i kubki) obok checz, białek czy gap i cała gama niezbyt pochlebnych epitetów, przezwisk czy wyzwisk o na wskroś lokalnym kolorycie. – Ale ta koleżanka Leili to jest frechowna – mawiała na przykład, co miało oznaczać, że uważa ją za bezczelną (frech) dziewczynę. – Ach, ten nasz sąsiad to taki luntrus – stwierdzała innym razem (czyli wartogłów i świszczypała).

Zdarzało się, że ten czy ów psotnik uliczny określany bywał przez nią jako prawdziwy lorbas (urwis), o wspomnianych tu już pracherkach i pracherach także lubiła mówić, ale do dosadniejszych epitetów jak *Pomuchelskopp* (czyli zatwardziały uparciuch), *Bowke* albo nawet *Oller Mottlauspucker* (których to ostatnich określeń nie warto nawet i próbować tłumaczyć – nie, żeby tak nieprzyzwoite były, ale po prostu zbyt ciasno z kolorytem lokalnej mowy związane) nigdy nie sięgała. Ale dla ulubionej wnuczki miała w chwilach największego oburzenia jeden tylko okrzyk pełen zgrozy: – Ach ty straszku straszkaty!

Babcia była bowiem na swój sposób wytworna i godna, wymagając w zamian i od innych należytego szacunku. – Jo, jo, ty masz recht (czyli rację) – przyświadczała nieraz Pumowi, ale swoje plany i zamysły też zawsze potrafiła doprowadzać do pomyślnego końca. Oszczędnie i rozumnie gospodarowała niewielką pensyjką, na którą składały się wszystkie jej żyjące jeszcze dzieci, ale wcale jej skromne gospodarstwo nie przeszkadzało soczyście poplotkować z sąsiadkami przy tasce dobrej kawy i żółciutkim od szafranu kuchu, czyli ciście własnej roboty. Taksówkami – od pierwszej chwili ich pojawienia się – lubiła jeździć najbardziej w świecie i w ogóle tak się zachwycała postępami nowoczesnej techniki, że chyba jednym z najszcześniejszych jej dni był ten urodzinowy, w którym Pum z niemałym trudem wywindował do jej mieszkanka okazały, wielolampowy radioodbiornik marki Blaupunkt. Z biegiem lat coraz rzadziej i krócej pojawiała się na ulicy, ale jeśli już, to latem w grzybiastym kapeluszu z czarnej słomki, opasanym połyskliwą wstążką, zimą w takimż – tylko z czarnego filcu – w porządnym, zawsze do ziemi sięgającym płaszczu, wyczyszczonych do połysku sznurowanych bucikach i z wielką, skórzaną torbą zamykaną na przeraźliwie głośno szczękający zamek.

Z Babcią chodzi się na spacer. Jedziemy elektryczką, czyli tramwajem, do któregoś z pobliskich lasków albo na rozległe podmiejskie łąki, albo na plażę. – Wej, wej! – wzywa Babcia, a zawołanie to mieści w sobie pojemnie i podziw, i zachętę do oglądania: morza, drzew, roślin. Nie, żeby Babcia była babulą zielarką, chociaż o ziołach i kwiatkach



*Babcia Amalia [...] jest Kaszubką i matką Puma. [...] włosy rozdziela pośrodku zawsze krzywym przedziałkiem, a cieniutki warkocz spina w tyle głowy dużymi, drucianymi szpilkami w koczek, czyli tak tu zwany Dutt. [...] Żarliwie wierzy w Boga, co niedziela wędruje na wczesną mszę, ale poza tym polega na własnym, dobrze wypróbowanym rozsądku.*





*Uliczka nazywa się Pietruszkowa (Petersiliengasse), a tak jest mała i wąziutka, że mieszkańcy jej niewysokich kamieniczek z obu stron przez okna się wychylając, ręce by sobie chyba nad jej kociobistą jezdnią uściśnąć mogli. Jest tu niewielka piekarnio-ciastkarnia, sklepik rzeźnicki, sklepik ze stodyczami, parę innych jeszcze...*

wie sporo, a latem to zbiera i suszy kwiat lipowy, to dreluje pracownice najmniejszą ze swoich żelaznych szpilek włochate, a lepkie ziarenka czerwonych owoców głogu, z których smaży znakomite konfitury: po prostu nawet spacer wykorzystać można i trzeba dla pożytecznych celów.

I opowiada. Jak niemal wszyscy starsi ludzie snuje opowieści z lat swego dzieciństwa i krótkiej, dziewczynskiej młodości. Choćby o surowo i długo przestrzegającym Wielkim Poście, kiedy to – dopiero przy Palmowej Niedzieli – wiejscy chłopcy biegali pośród checz, zawzięcie klekocąc drewnianymi kołatkami i wrzaskliwie przy tym obwieszczając: – Za tydzień – wielki dzeń, za szesc noc – Wielka-noc!

I wtedy, w tym jedynym dniu, nieubłagana srogość postu mogła wreszcie zelżeć nieco i ludzie ze smakiem jedli gapi rosół. Gapa bowiem to po kaszubsku wrona, i oczywiście, te same wiejskie wyrostki, które klekotały kołatkami, pustoszyły wronie gniazda, poszukując zwłaszcza młodych gawronków, których mięso – wspominała z rozmarzeniem Babcia – było wprawdzie ciemne, ale tak delikatne, że w niczym nie ustępowało zalecanym przez doktora Eulera dietetycznym potrawom z gołębi. Tylko solić go nie trzeba było nadmiernie: dla umartwienia, ale też i dlatego że w mig wtedy twardniało.

Przy całej swojej godności i szacowności była też Babcia raczej wyrozumiała na ludzkie głupoty i przywary, kwitując ich przejawy najczęściej pobłażliwym germanizmem: – Ale co oni tam za to mogą? (*Was können sie schon dafür?*).

GORLIWIE i umiejętnie dbała jednak o dobro własnej, licznej rodziny, już to przy pomocy potężnej, drewnianej warzachwi, poskramiając dzikie wysoki swoich czterech podrastających synów (przy czym i pannom też nieraz co nieco się dostało), już to skrzętnie ciułając grosz do grosza i kryjąc te oszczędności w najmniej nieraz do tego celu sposobnych zakamarkach przed zakusami dziadka, gotowego co i rusz do kupna nowych (horrendalnie drogich!) książek. W najcięższych czasach potrafiła też zawsze do syta nakarmić wszystkich swoich, czym szczyliła się niemało, często powtarzając: – Bym jeno miała garniek, jeden, jedyny garniek, a wnetki rychtyg pełny bendzie!

Z inwokacją do tego jedyne go garnka łączyła się też pewna historia, którą z kronik rodzinnych przekazał Pum, oczywiście pod nieobecność Babci.

Oto w dawnych i jak zwykle mocno pod każdym względem niepewnych czasach zdołała Babcia uszparować, czyli przyoszczędzić wcale sporą sumkę, obierając tym razem – bo schowki bywały różne –

za kryjówkę spory, solidną przykrywką szczelnie zamknięty garnek. Osobliwą tę skarbonkę umieściła w głębokiej czeluści kuchennego pieca, gdzie raczej była bezpieczna, bo chude to były dni i miesiące, tak że dużego ognia do sutego warzenia czy pieczenia wcale podówczas nie rozpalano.

Ale Babcia zachorowała. O sprowadzeniu lekarza – pomijając już fakt, że nie było jak mu zapłacić – wspomnieć nawet nie pozwalała. Kurowała się sama, energicznie, popijając przeróżne dekokty z własnoręcznie zbieranych ziół, ale gorączka długo jakoś nie chciała ustąpić i osłabiona Babcia całe dni musiała leżeć w łóżku, co tak sprzeczne było z jej energiczną naturą. Szczęściem rzecz miała miejsce latem, tak że domownicy żywili się przeważnie sznytkami chleba z jakim takim obkładem i zimnym mlekiem, przynoszonym z przestronnej piwnicy. Któregoś dnia jednak (może zbliżało się jakieś święto) najstarsza z córek, Paulina, postanowiła rozpaścić należycie pod плитą i przyrządzić porządną posiłek dla wygłodniałych już mocno członków rodziny.

W piecu buzowało już i dudniło siarczyście, gdy nagle zbudzona z półdrzemki Babcia jednym skokiem zerwała się z łóżka i z rozpaczliwym krzykiem: – Moje psiniundze!!! – wpakowała czym prędzej rękę w sam środek płomieni (nie zapomniawszy jednak uprzednio – co też ściśle odnotowała rodzinna kronika – błyskawicznie podwinąć długiego rękawa nocnej koszuli!) tuż przed oczami oniemiałej z przerażenia córki.

Osmalony, okopcony, piekielnie rozżarzony i jedyny zaiste garnek został wydobyty z ognia, choć po tym heroicznym czynie Babcia długo, długo leczyć musiała niemiłosiernie poparzoną rękę. Wylizała się przecież i z tej przygody.

– Nigdy do zguby nie przyńdą Kaszuby – trawestowała czysto na własny użytek słowa tanecznego hymnu, treścią i melodią spokrewnionego wyraziście z *Jeszcze Polska*). A w rodzinnej tradycji przy najróżniejszych okazjach powracał i powtarzał się odtąd pamiętny ów okrzyk: „O jeny, moje psiniundze!”.

Opowiadając tę historię, Pum z nagłą zamyślił się i, kładąc rękę na zbyt wielkiej, okrągłej głowie swojej małej córki, dorzucił: – A wiesz co? Ty też masz tu właśnie taki garnek. Jedyny. Ładuj, pakuj do niego, ile tylko zdołasz. Bo pieniądze, ubrania, rzeczy różne – to jeszcze nic. Raz są, innym razem mogą ci je odebrać. A to, co tutaj schowasz, tego ci już nikt nie odbierze i przydać się może zawsze, póki żyjesz, a kto wie, czy nawet nie dłużej!

No i ten garnek – jako tako pojemny, jedyny – zdołał istotnie prze-  
trwać różne przeciwności losów. Gdyby inaczej się stało – któż by dziś  
o nim napisał?



*Myśmy przyszłością narodu  
Pierś nasza pełna jest sił / pełna sił  
Dążmy do wolności grodu  
Naprzód lecz nigdy w tył / nigdy w tył  
Laurami przystrójmy głowy  
Nie znajmy w życiu swym trwóg / żadnych trwóg  
Polskiej ojczystej nam mowy  
Nie weźmie nam żaden wróg / żaden wróg!*

Znowu dziarsko maszerujemy, znów śpiewamy donośnie. Zaraz,  
zaraz: która to już szkoła, które kolejno szczelnie izolujące od świata  
mury?

Najpierw – króciutko – początek edukacji w Mieście. Pam bardzo się  
stroszyła, ale przyszło najpierw urzędowe wezwanie, a później nawet  
zielony szupo: powszechny obowiązek szkolny – i nie było rady. Co  
prawda nie kupiła dziecku tuty, czyli w trąbę skręconej, błyszczącym,  
barwnym papierem oklejonej i mnóstwem różnych słodczy wypeł-  
nionej tekturowej torby, jaką w Mieście dostawało każde dziecko po raz  
pierwszy mające przekroczyć próg szkolnej klasy. Ale: – Co tam bę-  
dzie się stosować do jakichś niemieckich zwyczajów! – Była więc tylko  
łupkowa (jakże łatwo tłukąca się i pękająca!) czarna tabliczka w dREW-  
nianych ramkach, z przywieszonymi do niej na sznurkach: gryfel-  
kiem, czyli rysikiem, i wiecznie wysuszoną, niewielką (ale prawdzi-  
wą!) żółtą gąbką. Pisało się na niej przedziwne, gotyckie litery: na  
przykład „r” – to było akurat tamtejsze „r”, gotykiem drukowana by-  
ła też *Fibel* wcale nieprzypominająca swojskiego „Ala ma kota”. Bo  
szkoła była niemiecka – choć chodziło się do niej krótko.

Zaś potem była już polska szkółka: nudna niemiłosiernie, bo i co też  
w niej robić, skoro cały elementarz już od dawna zna się na pamięć?  
No tak: rachunki. Zawily to problem, zwłaszcza mała tabliczka mno-  
żenia.

Ale oto jest już trzecia szkoła: zimna, francuska, zamknięta, nieubła-  
ganie trzaskająca suchymi deszczułkami, mroczna.

Czwarta – to właściwie nie szkoła, tylko lekcje w górskim sanatorium, do którego wyprawiono dziecko po ciężkim, obustronnym zapaleniu płuc. Nabawiła go się rozmyślnie, leżąc – dobrze ukryta – nago na śniegu, tak bardzo chciała wówczas umrzeć, czyli iść do Pam, albo wrócić wreszcie do Puma – ale tej tajemnicy nie zdołałby nikt wydrzeć z niej chyba nawet za cenę życia (nie starano się zresztą – dziecko zawsze było chorowite i wątłe). Znowu więc – nogi z masła, sukienki jak obwisłe worki, noszenie na lekcje w głębokim, poduszkami wyściełym fotelu.

Piąta szkoła, choć też zamknięta murem, też połączona z internetem, wydaje się po wszystkich uprzednich doświadczeniach najbardziej znośna. Zakon jest pod wezwaniem Matki Nieustającej Pomocy, ale do postaci w białych welonach i jasnyniebieskich habitach mówi się zwyczajnie: sostro! Jasno tu, przestronnie, nikt deszczułkami nie trzaska. I właśnie tutaj maszeruje się wokół stuletniej rozłożystej lipy, wyśpiewując:

*Dobądźmy skrzydła sokole  
Nauce poświęćmy czas / ... święćmy czas!  
A światło zdobyte w szkole  
Nieśmy do ludu mas / ... ludu mas*

Hasła i program tej szkoły dają się streścić w trzech słowach: „Bóg, Ojczyzna i odpowiedzialność”.

– Jestem twoją „odpowiedzialną”, czyli „responsablą” – oznajmiła wysoka panna w okularach, prowadząc nową długim korytarzem ku szafce, oznaczonej jej numerem, którym znaczone miały być wszelkie osobiste rzeczy od pościeli po szkolny piórnik.

– To i tu się ciągle mówi po francusku? – przeraziła się dziewczynka.

– Ee, nie. Tylko przy obiedzie. No i na lekcjach francuskiego. I czasem za karę. Ale nieczęsto. Nie martw się: źle tu nie jest. Patrz lepiej, jak ma wyglądać w twojej szafce: koszule na górnej półce, z lewej strony, a pończochy...

Od 2 września – i tak odtąd przez cały rok szkolny – we wszystkich klasach wszystkich szkół polskich rozlegała się nierównym chórem (a często i dygocącym ze strachu przed bliskim, nieuchronnym niebezpieczeństwem klasówki, więc przyciszonym głosem) ta sama modlitwa: „przyjdź Duchu Święty, oświeć serca i umysły nasze”...

Choć – jeśli chodzi zwłaszcza o klasówki – dostojna Trzecia Osoba Boska jakoś z nagłym oświeceniem się nie kwapiła.

1 września jest wprawdzie inauguracją roku szkolnego, aleć to jeszcze nie nauka – tylko nuda. Uroczyste nabożeństwo, przemowa dyrektorki, dyktowanie planu lekcji i trochę późniejszego harmidru: oglądania nowych podręczników, wymiany wrażeń wakacyjnych. Ale nam to nie nowina. U nas każdy dzień zaczyna się od porannej mszy, podczas której wszystkie elewki, z nielicznymi, rzadkimi wyjątkami, przystępują do komunii, spowiadając się też regularnie co najmniej dwa razy w miesiącu, a należytego do niej przygotowania dopilnowują u młodszych właśnie „responsable”.

Ale żadnych dygów, krygów, złotych czy innych róż tu nie ma. Perkalikowe, białe weloniki są krótkie i wiąże się je po prostu na tasienki. I o glansowanych, skórkowych rękawiczkach ani kto myśli. Nie ma lęku i niepojęcie przerażających pieśni. Życ w gromadzie – zawsze trudno, ale mimo wszystko tutaj jakby jednak lżej, jaśniej, przestronniej.

I niepostrzeżenie cały rok toczyć się zaczyna nie według przemian jesieni, zimy, wiosny czy przeszło dwumiesięcznych, letnich wakacji, a szerokim torem Roku Kościelnego.

Październik – to wie tutaj każda – jest miesiącem różańcowym. Codziennie więc po południu odprawia się nabożeństwo, zgłębiając, przy przesuwaniu drobnutkich paciorków, kolejne tajemnice – radosne, bolesne, chwalebne.

Listopad rozpoczyna się od Wszystkich Świętych, po czym następuje Dzień Zaduszny, kiedy wędrujemy na pobliski, wiejski cmentarz zapalać świeczki na cudzych grobach, a modlić się przy nich za własnych zmarłych.

I już nadchodzi wielki czas Adwentu, czyli Oczekiwania. Mrocznym świtem wstają co starsze, a nawet niektóre średniaczki, ażeby zdążyć na roraty i choć chóralne, łaćńskie:

*Rorate coelii de super  
et nubes pluant justum*

splata się w harmonijnie pełną całość z solowym, przedzielającym je soczystym altem siostry C., która obiecuje:

*Consolamini, consolamini populae meum  
cito veniet salus tua...,*

to jakoś raźniej śpiewać wspólnie na tenże temat:

*Spuśćcie nam na ziemskie niwy  
Zbawcę – z niebios obłoki,  
Świat przez grzechy nieszczęśliwy  
wołał z nocy głębokiej.  
Gdy wśród przekleństwa od Boga  
czart panował, śmierć i trwoga,  
A ciężkie przewinienia  
Zamkły bra-a-a-my zbawienia!*

Stara pieśń. Mocna. Zwłaszcza ten końcowy obraz z panowaniem czarta i te bramy, które tak groźnie, twardo i nieustępliwie się „zamkły”.

W Adwencie jest zresztą huk roboty. Przygotowuje się szopkę z turoniem, Żydem, przyśpiewkami i odpowiednimi strojami, sposobi się żartobliwe, często mocno złośliwe teksty na nadchodzące mikołajki, na których oczywiście prócz czerwono przyodzianego i w wielką, śnieżnobiałą brodę opatrzonego Mikołaja, pojawia się tradycyjny anioł, a także diabeł – odbywa liczne próby chóru, uczącego się coraz to nowych kolęd.

A zaraz potem rwetes, bieganina i rozdziawione na korytarzach walizki – krótką, dwutygodniową cezura świąteczna, po powrocie z której ileż chaotycznych opowiadań i częstowania się przywiezionym z domu makowcem.

Już pełgają płomyczki poświęconych świec: to Gromniczna. Ledwo przebrzmiały dźwięki rozlewnego *Walca François* – tak zapalczywie tańczonego w tłusty wtorek – już ręka kapelana sięga ku pełnej popiołu tacy i posypuje schylone u balasek białe zakonne welony i perkalkowe weloniki: – *Memento, homo, quia pulvis es...*<sup>1</sup>

Popielec mijał: zaczynało się powolne wstępowanie w Wielki Post.

Trzydniowe rekolekcje odbywały się w tygodniu Męki Pańskiej tuż przed Niedzielą Palmową. Nie było żadnych lekcji i przez cały czas zachowywano solenne trapistowskie, jak sobie później podżartowywano, milczenie. Podzielone na trzy grupy rekolektantki albo siedziały

-----  
<sup>1</sup> *Memento...* – (łac.) Pamiętaj, człowieku, żeś jest prochem...

w dużej sali, gdzie odbywały się wszelkie szkolne uroczystości, albo modliły się w kaplicy bądź też pogrążały się w pobożnej medytacji. Wychodzono wprawdzie do ogrodu na wielką, poobiednią przerwę, ale nawet najmłodsze wiedziały już, że i podczas niej nie wolno pisać, biegać ani krzyżeć. Przy podwieczorku jednomyślnie rezygnowano wówczas z konfitur i słodczy przysłanych z domu.

Duchowe nauki nie były oczywiście dla wszystkich jednakowe. Z najmłodszymi powtarzano po trochu katechizm i obrazowo przedstawiano na przykład treść Drogi Krzyżowej, której czternaście stacji obchodzono potem wspólnie. Grupie średniaczków już bardziej wnikliwie wyjaśniano tajemnicę Męki i Odkupienia, istotę i rodzaje grzechów, znaczenie i wartość sakramentu Pokuty. Najstarsze rozważały fragmenty Ewangelii, Listów Apostolskich św. Pawła lub Psalmów – najczęściej Jeremiasza proroka. A wszystko kończyło się gremialną, rzetelnie przygotowaną spowiedzią i wspólną Komunią Świętą w słoneczną już zazwyczaj, wiosenną niedzielę, której bogata liturgia po rozdaniu palm, ale jeszcze przed rozpoczęciem mszy, wymagała odśpiewania krótkiej antyfony, uprzednio wytrwale ćwiczonej przez chór:

*Pueri Hebraeorum  
portantes ramos olivarum  
obviaverunt Domino  
clamentes et dicentes:  
Hossanna in excelsis!*

Z lekcji religii wiedziało się, że zwyczaj palm i procesji datuje się z czwartego wieku, że czytano wówczas w Jeruzalem ustęp Ewangelii (św. Mateusza 21, 1-9) o wjeździe Jezusa do tego miasta i na tę pamiątkę jeden z biskupów corocznie wjeżdżał na osiołku pomiędzy śpiewające, palmy niosące tłumy wiernych. A obrazowa, zwięzła antyfony – której każde słowo uprzednio tłumaczono i objaśniano – rzecz całą niezmiernie żywo kształtowała i przybliżała.

Widziało się od razu owych smagłych, kędzierzawych chłopców żydowskich, jak bieżą wąskimi uliczkami dostojnego miasta, wymachując oliwnymi gałązkami, spiesząc naprzeciw Pana, przekrzykując się i wołając: „chwała na wysokości”.

I zaraz, w drugiej strofie, całość zamykała się i jednocześnie metafizycznie ogromniała:



*Pueri Hebraeorum  
vestimenta prosternebant in via  
Hossanna filio David  
benedictus qui venit in nomine Domini!*

Zdzierają z siebie pospiesznie białe (tak, chyba na pewno białe) szaty ci chłopcy żydowscy (czyżby nadzy zostawali? e, chyba nie, zbyt to nieprzystojne – a zresztą gdyby nawet...), rzucając je pod nogi z wolna kroczącego, szarego ośła, na którym siedzi Jezus (ośła, właśnie, nie dorosłego osła, bo u Mateusza czytamy o *pullum asinae*) i zgiełkliwe, donośnie cześć oddają Synowi Dawidowemu.

I tu obraz zamyka się nieodwołalnie. Bo „błogosławiony, który idzie w imię Pańskie” jest już najwyraźniej dodatkiem. Dostojnym, hieratycznym, ale niewątpliwie późniejszym, dopisanym przez ewangelistę Mateusza i dosłownie od niego tu w tym tylko wersecie przeniesionym, choć „Syn Dawidów” jawi się w jego tekście dopiero na końcu, a przed tym jest „błogosławione królestwo ojca naszego Dawida”.

Metafizyczną wielkość i oddalenie powoduje natomiast melodia, która po prostym, niemal na jednym tonie wyrecytowanym *Hossanna* już od *benedictus* wić się zaczyna w niełatwych głosowo meandrach, wspinając się na szczyty przy *in nomine* i zstępując z nich dostojnie dopiero przy końcowym *Domini*.

Palmy poświęcone zatknijemy nad łózkami do następnego roku. A procesji wcale nie ma. Kaplica na to za mała.

Od Wielkiego Wtorku poranna msza trwa znacznie dłużej niż zwykle, bo włączone są w nią opisy Męki Pańskiej (Marka i Łukasza), dopiero w Wielki Czwartek będzie znowu krótka ewangelia (Jana) z historią Ostatniej Wieczerzy. Ale od tego dnia rozpoczynają się także – łącznie z Sobotą – wielkie zaiste Ciemne Jutrzenie z gregoriańskim przejmująco żalonym zawodzeniem Trenów Jeremiaszowych, których każdy wers rozpoczyna się od – także wyśpiewywanych – liter hebrajskiego alfabetu: *A-le-lee-ph*, *Be-eee-eth*, *He-eee-e*. Najbardziej uroczystych, pradawnych obrzędów święcenia ognia i wody już jednak nie zobaczymy, bo odbywają się w Wielką Sobotę, a poczynając od środowego popołudnia, rozpoczynają się już wyjazdy na równie krótkie jak gwiazdkowe – wielkanocne ferie.

Lekcje jeszcze się wprawdzie odbywają i toczą nawet dość wartko, bo trzeba nadrobić przyoszczędzony na rekolekcje czas, ale popołudnia schodzą w te przedwyjazdowe dni na śpiewaniu pieśni wielkopostnych: „Gorzkie żale przybywajcie, serca nasze przenikajcie” ... nie-

co nuży jednostajnie katarynkową melodią, „Ludu, mój ludu” ... także, mimo wejściowej, celnej w kontraście zwrotki: „... jam cię wyzwolił z mocy faraona – a tyś przyrządził krzyż na me ramiona” ... sporej wymaga – choćby już tylko głosowej – sprawności, by uporać się z licznymi szczegółami Męki Pańskiej, zawartymi w niemal piętnastu zwrotkach. Ale spokojna melodia i zwięzła relacja mniej na ogół znanego „Jezu Chryste, Panie miły” ... długo chyba szukać może sobie równych:

*Jezus, Jezus  
na krzyżu umiera.  
Słońce, słońce  
jasność swą zawiera...*

I zaraz potem, kiedy to:

*Pan wyrzekł ostatnie słowa  
zwisła mu z ramienia głowa*

obraz rozszerza się i przejmuje grozą, bo oto:

*Zasłona się popadała  
Ziemia rwie się, ryczy skała*

i choć słońce już uprzednio swą jasność „zawarło”, tu dopiero nieprzenikniona, czarna, przeraźliwa ciemność ogarnia świat.

Maj jest miesiącem maryjnym i z bezdennej zaiste polskiej skrzyni przenajróżniejszych pieśni ku czci Najświętszej Panny czerpać można na każdy dzień coraz to nowe. A każdego popołudnia w suto umajonej kwiatami kaplicy odbywają się nabożeństwa, podczas których na przemian – raz po łacinie, a raz po polsku – śpiewa się chóralnie całą Litanię Loretańską. Melodie do niej ułożyła uniwersalna siostra C. o pięknym alcie i absolutnym słuchu: jedna stanowi nawet trawestację Chopinowskiego mazurka. Stary, z końcem XVI wieku (1587), przez papieża Sykstusa V ostatecznie zatwierdzony tekst łaciński jest przecież tak przejrzysty, a jednocześnie nośny poetycko, że długo i z nieślabnącą ciekawością zgłębiać można kolejne jego zawołania: „Różo mistyczna” (polski odpowiednik brzmi „duchowna”, ale to nieścisle). „Domie złoty”, „Wieżo z kości słoniowej”. Często wracało się też do maryjnej pieśni autorstwa Bernarda de Clairvaux, raczej chyba w łacińskiej wersji niż w cokolwiek – a niepotrzebnie – rozgadanym przekładzie polskim:

*Omni die  
dic Mariae  
mea laudes anima...*

*Już od rana  
rozśpiewana (?!?)  
chwał, o duszo, Maryję...*

W majowe dni trafiały się też niekiedy okazje do opuszczenia klasztornych murów. Grunty dookolne, a więc też i w przyległej wiosce, były marne, piaszczyste. Gdy zbyt długo lały rześiste deszcze, lub – na odwrót – bezlitośnie prażyło słońce, chłopci dzwoniли do furty, by zaprosić „panienków” na jutrzejszą procesję połączoną z modlitwą nazywaną przez nas umownie „o wodę” albo „o pogodę”. Z ubranym w komżę i stułę proboszczem, z kościelnym niosącym krzyż, ale bez żadnych innych akcesoriów i chorągwi, wędrowało się wówczas miedzami pól, śpiewając niezmiernie starą i osobliwie – w zależności od potrzeb – „wymienną” pieśń. Uderzało przy tym jej – niezamierzone, oczywiście, bo i skąd by! – podobieństwo do modnych w naszych już czasach kukielkowych barometrów, w których z małego, drewnianego domku wychodził już to chłop z rozpiętym parasolem, już to baba z koszykiem w ręku. W całym tym, dość długo trwającym obrzędzie – bo pieśń powtarzano trzykrotnie – tkwiły mocno i dość wyraziście relikty pogańskich zaklęć i zamawiań. Wymienność mieściła się zresztą tylko w pierwszej zwrotce, pozostałe śpiewano zawsze jednakowo. Melodia była prosta, poważna i niebogata:

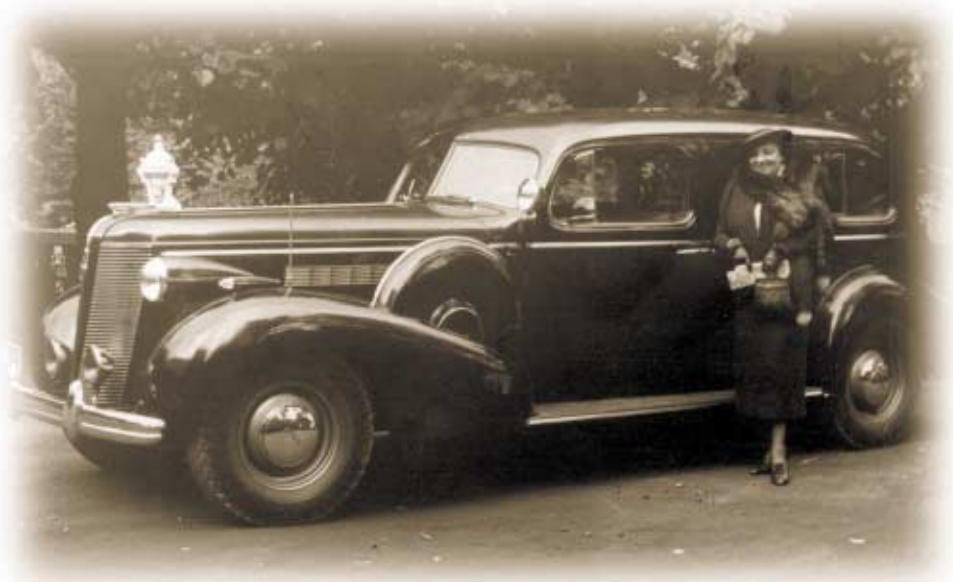
*Królu nieba wysokiego  
Boże Abrahama cnego  
Racz wejrzeć na ludzkie plemię  
A daj pogodę (albo: żyzny deszcz) na ziemię.  
Aby znał lud Twój prawdziwy  
Żeś Ty jest Pan litościwy  
A my Cię za ten dar wielki  
Będziem wielbić na czas wszelki.*

*Zlituj Ty się nad strapionym  
Drogą Krwią Twą odkupionym  
Zlitujże się, zlituj Panie  
Niech się łaska Twa nam stanie!*

Pięćdziesiątnicę (której pradawna nazwa dotrwała do dziś we francuskim *Pentecôte*), czyli Zielone Świątki, obchodziło się w już często upalne dni czerwcowe. Niegdyś istotnie świętowano od samej Wielka-



*Morze było (i jest) zawsze  
pobliskie, przyjazne i groź-  
ne, karmiące i niszczące,  
niepojęte, choć znane od  
dziecka, wiecznie odmienne  
i stale niezmiennie, i po cóż  
sobie nim strzępić język po  
próżnicy. Jechało się po pro-  
stu an den Strand, czyli na  
plażę...*



*... a ja już siadałam na przednim,  
zwykle dla ojca zarezerwowanym  
miejscu ciężkiej, czarnej, połyskliwej,  
amerykańskiej limuzyny. [...] Pojemny  
bagażnik naszego samochodu [...]  
mieścił też sporo solidnych, skórzanych  
waliz oklejonych mnóstwem  
różnokolorowych i różnokształtnych  
reklamówek zagranicznych hoteli oraz  
okrągłe pudło z czarnej ceraty, prze-  
znaczone na kapelusiki Nelly [...]. I oto  
już jedziemy ciężkim, czarnym a  
bezszelestnym buickiem...*

nocy aż po Zesłanie Ducha Świętego na Apostołów, czyli narodziny Kościoła, obchodząc jednocześnie zwycięstwo Chrystusa i jego wstąpienie do chwały wiekuistej przez całe 50 dni. Ale czasu coraz mniej, coraz szybciej biegnie, a wraz z nim kurczą się i najbardziej uroczyste święta. W tym okresie – choć nie co roku – przyjeżdżał niekiedy biskup udzielać sakramentu Bierzmowania. I w świąteczną niedzielę śpiewało się – nie, nie *Veni Creator* zbyt już dobrze znane, gdyż śpiewane zawsze na początek roku szkolnego, ale prostą, spokojną sekwencję:

*Veni Sanctae Spiritus  
Et emitte coelius  
Lucis tuae radium...  
... Sine tuo numine...  
Nihil est in homine...*

czyli:

*Przybądź Świąty Duchu  
I z nieba spuść na nas  
Światła Twego promień...  
Bez Twojego Bóstwa  
nie ma nic w człowieku...*

Radość tych zaiste zielonych już świąt zamącona była jednak przeważnie pośpiechem, do którego naglił zbliżający się koniec roku szkolnego. Z licznych, otwartych okien dobiegały niezbyt harmonijne dźwięki pianin, na których doszlifowywano przeróżne utwory, przeznaczone na finalny popis muzyczny. W tak zwanej malarni, gdzie wbrew nazwie najmniej malowano, pilnie warczały maszyny do szycia, stukały młotki, przeraźliwie piszczało krajane i szlifowane karborundem szkło. Na francuską modłę przygotować trzeba było ręcznie sporządzone – nader różnej jakości – eksponaty na doroczną wystawę. I z gorączkowym niepokojem liczono coraz krótsze dni, dzielące jeszcze od końcowej sesji pedagogicznej, której kłamka zapadnie, świadectwa zostaną wystawione i podpisane, a tak już bliskie i wreszcie długie wakacje dla niejednej połączone będą z przymusową mordęgą wkuwania do zagrażającego po nich egzaminu poprawkowego. Przyznać trzeba przecież, że takich oberwanic (od dwój, które obrywały) było raczej niewiele. Szkoła była na wysokim poziomie i umiano

w niej nie tylko wiadomości przekazać, ale – co ważniejsze – uczono się uczyć. No i odrabiania lekcji doglądano sumiennie.

Nieczęstą okazją do jeszcze jednego wyjścia poza mury było wcześniejsze w niektóre lata, bo ruchome w kalendarzu, Boże Ciało. Na procesję sutą, ze sztandarami, feretronami, dzwonekami i sypaniem kwiatów pod stopy celebransa niosącego pod baldachimem złotą monstrancję, zjeżdżali nawet ludzie z okolicznych wiosek, bo tu kościół był wielki, jakby na wyrost wystawiony. W ciżbie i tumanach kurzu obchodziły więc i panienki z zapalonymi świecami w ręku wszystkie cztery ołtarze – dość daleko od siebie ustawione, przystrojone kwiatami, zielenią, haftowanymi obrusami i wielkimi obrazami świętych. I po niezmiennym: „Twoja cześć – chwała”... nieskładny chór podejmował pełnym głosem: „U drzwi Twoich stoję, Panie”..., której najpiękniejsza zwrotka z prostotą ujawniała tajemnicę wiary:

*W tej Hostyi  
jest Bóg żywy  
W tej Hostyi  
jest Bóg żywy  
Choć ukryty,  
lecz prawdziwy...*

Już to niepiękne głosy mieli ci mieszkańcy podstołecznych wiosek – piskliwe, chrypliwe, lamentujące. Spośród bab najwzraskliwiej zawodziła żona właściciela jedyne go miejscowego sklepiku, takiego, co to w nim szwarc, mydło, powidło. Najgłośniej natomiast, choć okrutnie fałszywie, dudnił kościelny – drab potężny z czerwonym nosem i podpuchniętymi, czarnymi jak tarki oczkami. Drałował przy tym dziarsko, stawiając wielkie, choć nie zawsze pewne kroki i wyśpiewywał – zwłaszcza łańskie wersety, które w jego wykonaniu brzmiały osobliwie:

*Et ambulavit  
et ambulavit  
Usque ad mortem  
ad mortem Dei...<sup>1</sup>*

Obeznane już po trochu z łaćną dziewczyny w głowę zachodziły, kogo to i jaki skazał psalmista na tak długą i uciążliwą wędrówkę i do-

-----  
<sup>1</sup> *Et ambulavit...* – (łac.) I wędrował / i wędrował / Aż do śmierci / aż do śmierci Bożej...

kąd? do „ś m i e r c i Boga?!”. Ale sprawa się wyjaśniła. Wytrwały piechur zmierzał do „góry Bożej” (*ad montem*). Kościelny natomiast, nie znając łaciny, zastąpił niepojęty ów wyraz innym, z którym – przy okazji licznych pogrzebów – dobrze zdążył się osłuchać.

I ostatnia już w tym roku szkolnym msza. Gregoriańska, śpiewana, uroczysta. A po jej zakończeniu kapelan zaraz intonuje:

– *Te Deum laudamus*.

– *Te Dominum confite-e-e-mur...*<sup>1</sup> – zgodnym chórem podejmuje kaplica i zaraz pełna jest tej majestatycznej, jakże gotyckiej melodii. Od pierwszego aż po osiemnasty wers kroczy pieśń ta, wznosi się i opada równym rytmem, falując jak łan dostalego zboża. I dopiero przy owym osiemnastym, do którego wejściem i przygotowaniem jest już wers czternasty: *Tu Rex gloriae, Christe* („Tyś królem chwały, Chryste”) – zresztą od tej chwili owo początkowe „*Tu*” powtarza się aż pięciokrotnie – wystrzela jasno i ostro w górę zamykającym tę część: *in gloria Patris*<sup>2</sup>.

Po dwóch wersach następnych na jednym tylko tonie niemalże zwyczajnie mówionych, gdzie wierni, wyrażając pewność, że Pan z niebiosów przybędzie do nich jako sędzia, proszą, by ratować raczył sługi swoje drogą krwią Jego odkupione...

– *Aeterna fac* – zapadnie z wysokości w tę „chwały otchłań wieczną”, której dostąpienia prosimy – jak w bezdenną czeluść, niewyobrażalną – by zaraz potem w wersie dwudziestym drugim, od *Salvum fac*, czyli „Zbaw lud Twój, Panie”, wychynąć z niej na drogę melodii pogodnej i spokojnej jak spacer w słoneczny dzień, niepozabawionej przy tym tanecznego nieomal rytmu, a zakończonej ufnym wersem dwudziestym dziewiątym: *In te, Domine speravi, Non confundar in aeternum*, co – niezbyt ścisły – przekład polski, prawda że sprzed wielu, wielu lat (może stuleci?), oddaje jako: „W Tobie Panie nadzieję położyłem, niech nie będę zawstydzony na wieki”.

Nic przeciw modernizacji Kościoła i z pewnością użytecznym, posoborowym nowinkom nie mam. Ale ta potężna pieśń chwały, błagania i dziękczynienia zachować pełne swoje brzmienie może tylko w łacińskim oryginale. I jakże nieczęsto zdarza się teraz okazja, aby ją śpiewać! Zresztą – furta zamknięta. Pociąg ruszył. Najwyższy już czas wracać do Miasta.

-----  
<sup>1</sup> *Te Deum laudamus...* – (łac.) Ciebie, Boga chwalimy / Ciebie Panem wyznawamy...

<sup>2</sup> *in gloria Patris* – (łac.) w chwale Ojca.





A jednak – nie. Jeszcze nie. Do Miasta zdążymy. Ale – raz już w jasnej będąc szkole – wyjaśnić chyba należy jeszcze, na czym konkretnie polegały dwa filary prowadzonej tam edukacji. O samej nauce religii bardziej szczegółowo pisać tu nie miejsce. Wystarczy stwierdzić, że poza normalnym programem szkolnym (historia Kościoła, dogmatyka, liturgika, apologetyka, a w dwóch klasach najstarszych – równoległe do propedeutyki filozofii – nadto jeszcze jak najwnikliwiej wykładana etyka), mimo codziennej mszy św., przystępowania do sakramentów, popołudniowych krótkich błogosławieństw czy majowych nabożeństw, nic tam nie trąciło kruchą, powierzchowną salonową dewocją czy dziewczynską egzaltacją. Śladu też nie było w tym religijnym wychowaniu ciasnej a ciemnej, bliskiej więc fanatyzmu dewocji. Prawdy wiary i praktyki religijne były po prostu naturalną podstawą całego życia i – utrwalane, wyjaśniane umiejętnie – miały nią pozostać. Ale nakazy „szukania i dostrzegania Boga w każdym człowieku”, „wymagania wiele – od siebie najpierw – ale też od innych” różniły się w wyraźnie dostrzegalny sposób od fatalnej służby bożej, jakże płasko i fałszywie pojmowanej po Sienkiewiczowsku (vide: *Rodzina Połanieckich*).

Pracować trzeba było nie tylko umysłem, ale i wysiłkiem woli. Nad sobą – i nad innymi. Na tym wspierał się filar drugi – odpowiedzialności – o którym będzie jeszcze mowa. Nie tolerowano mazgajstwa, lenistwa, wygodnictwa. Zwalczano chełpliwy snobizm i pawią próżność. (Granatowe mundurki miały przepisowe, choć nieprzesadnie długie spódnice, warkocze wiązać było można tylko granatowymi wstążkami, prócz zegarków nie noszono żadnej biżuterii). Tępiostwo, skarżypoctwo i donosicielstwo – co bynajmniej nie znaczy, że najrozmaitszych prób ich co rusz nie podejmowano. Sedno sprawy polegało po prostu na tym, by unikać werbalizmu, pustosłowia i sloganów nieznajdujących w codziennym życiu pokrycia, dążyć zaś do przemyślanej i społecznie użytecznej aktywności. I wychowanie patriotyczne też bardziej na działaniach niż na słowach było oparte.

Nieuchronne akademie ku czci oczywiście były, bo być musiały. Przez szereg lat imieniny Komendanta, czyli Marszałka, z odpowiednim referatem i oprawą wokalnno-muzyczną. Dla nas przecież, powojennych, wszystkie te sprawy łącznie z osobą legendarnego Dziadka należały już do historii. Uczyc się o nich trzeba było najdokładniej –

wiedza o sławnej akcji pod Bezdanami czy nazwy zwycięskich bitew, z których najtrudniejszą do zapamiętania była pod słynną Kost-iuch-nów-ką – utrzymywały się w naszych głowach na mniej więcej tym samym poziomie, co relacja o czynach walecznego Leonidasa i termopilem zwołaniu: „Przechodniu, powiedz Sparcie, tu leżym, jej syny / Prawom jej do ostatniej posłuszni godziny”. Mimo że rodzice niejednej z nas sami w tych walkach uczestniczyli. Mimo przechowywanych w licznych domach bojowych odznaczeń i żołnierskich pamiątek. Mimo licznych, dobrze znanych i chętnie śpiewanych piosenek z tamtych lat. Była to już historia: na tyle i zawsze tylko w teorii przekazywalna, że niczego w istocie – prócz suchej relacji – dać nam już nie potrafiła. I chyba nie może być inaczej – bo w przeciwnym razie musiałaby się stać potężnym hamulcem na drodze do kolejnej, światowej masakry – a przecież od pradawnych lat nigdy nim się stać nie mogła.

Z krytyczną prześmiewką traktowałyśmy więc ulubioną podówczas piosenkę: „Jedzie, jedzie na Kasztance – siwy strzelca strój / Hej, hej, Komendancie, miły wodzu mój!”. No, dobrze: „strój” jedzie – a ni by gdzie nadzieje? Choć oczywiście nie należało się z takimi drwinami wyrywać zbyt głośno.

Prawdziwą burzę rozpętała natomiast manifestacja, jaką po trochu dla kawału, a po trochu zapewne znudzone i przekarmione obfitością tromtadrackich, mocarstwowo-nacjonalistycznych hasełek, od których w owych czasach aż huczało, zorganizowałyśmy z końcem lat trzydziestych. Przeprowadzona wówczas tzw. jędrzejewiczowska (od jej inicjatorów, braci ministrów – Jędrzejewiczów) reforma szkolnictwa średniego, przewidywała dwustopniowe matury. Chcąc zdać dużą, upoważniającą do podjęcia studiów wyższych, należało najpierw zdać małą. Uzbrojone w liczne szczotki o długachnych kijach, na które zamiast sztandarów zarzuciłyśmy zwykłe podłogowe ścierki, ruszyłyśmy długim pochodem przez rozległy (i – mimo muru – tuż do wsi przylegający) park, śpiewając rozgłośnie:

*My, biedne dziewczyny,  
Smutne mamy miny,  
Na stos – rzucamy dziś  
Matury los – na stos, na stos!*

Awantura wybuchła niesłychana. Ktoś mógł przecież – z zewnątrz – dosłyszeć te świętokradcze szydliwości. A konsekwencje takiego skandalu były wręcz nieobliczalne: aż do utraty praw „A” gimnazjum

włącznie (które nasza szkoła, acz prywatna, posiadała!). Dyrektorka miotała więc gromy i najcięższe oskarżenia („co z was za Polki?! Jakie z was będą nie-od-po-wie-dzial-ne matki!”), autorki bluźnierczego tekstu ustalić przecież nie zdołano i wreszcie cała ta burza w szklance wody – bez żadnych złych skutków zresztą – doszczętnie się wyburzyła i ucichła. Akademii na 3 maja i 11 listopada więcej nie było.

Pieśni przecież kształtowały prawdziwy nasz patriotyzm. Śpiewano najczęściej *a capella*, czyli bez muzycznego akompaniamentu, natomiast wielogłosem i po dokładnym przestudiowaniu zarówno nut (które każda z uczestniczek chóru, choćby poza tym nie uczyła się muzyki, znać musiała doskonale), jak i tekstów. Od *Bogurodzicy* poprzez inne historyczne pieśni – to wtedy już poznałyśmy *Pieśń Konfederatów Barskich*: „Nigdy z królami nie będziem w aliansach / ani przed wrogiem nie ugniemy szyi”... aż po dostojnie godne: *Gaude Mater Polonia* i rzeńskie *Gaudeamus igitur – iuvenes dum sumus*. Pieśni religijne, gregoriańskie odświętne lub niedzielne, śpiewania mszalne tu nie przynależały i próby ich odbywały się osobno. Dochodził jeszcze barwny folklor – wraz z tańcami – polonez, krakowiak, kujawiak, oberek, mazurek, aż po trojaka, w którym „Zasiali górale owies, owies” i nawet – skoczego żydowskiego sztajerka:

*Jedzie Żydek powoli  
Inaczej nie można  
Wiezie cztery kopy jaj  
Trza jechać z ostrożna*

*Aj – jaj – aj – jajaj  
Całe cztery kopy jaj...*

Był i „Czerwony pas, za pasem broń” zakończony rączy: „Dla Hucuła nie ma życia jak na połoninie / Gdy go losy w doły rzucą wnet z tęsknoty ginie”... i „Góralu, czy ci nie żal”... pieśń zwarta i dźwięczna w zgodnym chórze, jakże później obśliniona i obrzydzona w zbiorowych bełkotach pijackich, i regionalne:

*Na Kujawach powiadają,  
Że tam duży posag dają  
Cztery syry, dzban maślanki  
Cały posag Kujawianki...*

i rozlewne „Wilio, o Wilio” i tęsknie żałośliwe:

*U susida chata biła  
u susida żinka myła  
a u mene syrotjinki  
ani chaty ani żinki...*

aż po buńczuczno-smętne:

*Umarła mi matka, ociec  
Do pola wygnał brat  
Co ja teraz biedny chłopak  
Będę żył będę jadł?  
Czy ja pójdę po pytaniu  
Z torbą dziad, z torbą dziad  
Czy ja będę się cyganił  
Łaził, lgał, cudze kradł...*

i rozliczne legionowe, wśród których prym wodziły *Białe róże*, których refren: „tam pod Lwowem, gdzie w wojence padł / wyrósł na mogile białej róży kwiat” obchodzono z końcem lat trzydziestych na paluszkach, eufemistycznie wywodząc: „tam pod borem”.

Trochę to było tak jak w *Pieśni o ziemi naszej*: „Piękna nasza Polska cała / piękna, żyzna i niemała” i tylko skąpe – na szczęście – śpiewania marynistyczne mogły, zaiste, nawet dość odporne istoty przyprawić o solidną chorobę morską:

*Wolności słońce pie-e-e-ści lazur,  
Łódź nasza płynie w świata dal,  
Z okrętu dumnie polska flaga  
Uśmiecha się do złotych fal.  
I póki kropla jest w Bałtyku  
Polskim morzem będziesz Ty!  
Bo o Twe wody szmaragdowe  
Płynęła krew i nasze łzy...*

Co by tam Skandynawowie i inne nadbałtyckie nacje o tej piosence pomyślały – dociec chyba nietrudno – aleć następna z tegoż repertuaru była bodaj jeszcze gorsza:

*Żadne siły, żadna burza  
Nie odbierze morza nam  
Nasza flota choć nieduża  
Wiernie strzeże jego bra-a-a-am –  
Morze – nasze morze –  
Wiernie ciebie będziem strzec.  
Mamy rozkaz cię utrzymać –  
Albo na dnie – na dnie twoim lec...*

refren zaś podkreślał jeszcze uroczyście: „albo na dnie – z honorem – lec!”.



Kolejnym wspornikiem tego programu były wycieczki. Najpierw krótkie, regionalne. Od pól i lasów – a pobliska Puszcza Kampinowska piękna wówczas jeszcze była i żadnymi miazmatami techniki nietknięta – po najbliższe okolice. Łowicz – Boże Ciało i wstrząsający salwami procesyjny pochód (a jak później w ogródkach restauracyjnych smakowały młode, faszzerowane kurczaki ze świeżutką mizerią!) – pasiaki – wycinanki. Stolica: więc Zamek i Łazienki, Belweder (przez ogrodzenie – ale z jaką legendą!); ciepły urok Starówki. Później już naprawdę krajoznawcze i co najmniej tydzień – dziesięć dni trwające: Kraków, Wawel, kościół Mariacki, legenda Sukiennic, ale i przysięga Naczelnika na Rynku i kopiec Kościuszki (same woziliśmy później – w szkolnej delegacji i nie miałym pocię czoła – taczkami piasek na pobliski kopiec Piłsudskiego). Tatry i Giewont, dla starszych i bardziej już wysportowanych – Granaty, dla młodszych – Kalatówki, Strażyska, Chochołowska. Stroje i śpiewki góralskie (stąd znałyśmy piękną kolędę: „Oj maluśki, maluśki, maluśki jako rękawicka / Alibo li tez jakoby, jakoby kawałeczek smycka”...), ciupagi, rzeźbione szkatułki i talerze (jeszcze się wówczas nie namnożyło niemożliwej pamiątkarskiej tandety, choć początki jej rysowały się już groźnie). Legendy i podania. Z kolei: *Leopolis semper fidelis*<sup>1</sup> – ruch – bujność – fantazja i wesołość Lwowa. Św. Jur – czyli katedra ormiańska, z krystalicznie pięknym chórem – kaplica Boimów – dostojność i bogactwo, i humor swoisty – znany już z audycji „Wesołej Lwowskiej Fali”, tu przecież, na miejscu, jeszcze w stu różnych drganiach się przewijający. Cmentarz Orłąt. I wypad do Zagłębia Naftowego: Drohobycz – Borysław – Truskawiec – Stebnik. I egzotyczna zupełnie, stara, modrzewiowa chyba, mroczna,

-----

<sup>1</sup> *Leopolis...* – (łac.) Lwów zawsze wierny.



*Rybne przekupy [...]. Zaczepiają krążące po targu potencjalne klientki, krzykliwie zachwalają swój towar, ale grymasi i przydługo przebierać wcale nie pozwalają. Niech no jaka paniusia zbyt ostentacyjnie zacznie zazierać w skrzela, niezdecydowanie kiwać się nad wagą albo zgoła kwestionować świeżość wybranej sztuki...*



*Z Babcią chodzi się do czerwonoceglastej (w prusko-pocztowym stylu pobudowanej) targowej hali i asystuje przy ceremonialnych zakupach. Nikt bowiem nie kupuje tu kota w worku, czyli towarów bez degustacji...*

choć starannie wybielona – bożnica w Żółkwi. Ruchome, długie cienie przy drgających płomykach świec, sute, lisie czapy, dostojne brody, długie chałaty, grajczarki zakręconych pejsów. Wilno – Panna Święta, co w Ostrej świeci Bramie – Góra Zamkowa – cmentarz na Rossie – zaułki i uliczki wąziutkie i tajemnicze, uniwersytet i znów legenda filaretów i filomatów, cele bazylikańskie, nagłe zdumienie, że po tych samych brukach chodzili niegdyś Śniadeccy i Lelewel, i Czartoryski, i – przecież – Mickiewicz. Co bynajmniej nie znaczy, że zamyślenia te i konfrontacje przeszkadzały nam w pałaszowaniu znakomitych lodów u Zielonego, Niebieskiego czy Żółtego Sztralla<sup>1</sup> (bo tyle chyba – różnokolorowych w nazwie – było ich tam wtedy), podobnie jak we Lwowie nie hamowały pogryzania chrupkich precli czy delektowania się pędzlami Matejki – długimi a krągłymi landrynami ze słynnej cukierni Zaleskiego. Wypucowany i wyszorowany do glancu Poznań ze słynną swoją palmiarnią – choć już w tych latach wszystkie miasta były czyste, zamiecione, należycie wysprzątane i ukwiecone – i Biblioteka w Kórniku. No i – „morze, nasze morze”, czyli najnowsze, najnowocześniejsze też budowane, pierwsze, rozległe i wreszcie portowe polskie miasto u bałtyckich brzegów: wyprawa statkiem na Hel, świeżo wędzone szprotki, rozpięte do suszenia sece<sup>2</sup> i bielutkim piaskiem wysypane podłogi kaszubskich checz.

Niekiedy – choć niektóre, co bliższe, odbywały się osobno – dochodziły do tych wypadów zwiedzania tzw. korelatywne – czyli dotyczące spraw, o których właśnie nas uczono. Tak odbyła się wycieczka do kopalni (soli – w Wieliczce), po której zwiedzało się Jasną Górę. Były wyprawy do przędzalni i do kuźni, do fabryki ołówków i znakomitych atramentów Drakon, za których posiadanie groziły do niedawna jeszcze – nie drakońskie co prawda – kary, bo powszechne było mniemanie, że wieczne pióra bezpowrotnie niszczą charakter – oczywiście pisma. (Co młodsze klasy dręczono jeszcze – acz mało skutecznie – lekcjami kaligrafii, czyli kunsztu pięknego pisania. Pisać zaś należało wyłącznie drewnianą rączką, czyli obsadką, z płaską, angielską, cieniutką krzyżówką lub grubo na końcu ściętą rondówką, czyli w ogóle stalówką). Zwiedzało się browar i cukrownię, szyb naftowy i wzorową wieś spółdzielczą, czyli Lisków, młyn parowy, stację pomp, piekarnię i warsztat szewski. I nie chodziło tu bynajmniej tylko o rozrywkę czy garść przelotnych wrażeń. Prócz kronikarza wycieczki – osoby prowadzącej diariusz każdorazowej takiej ekspedycji, często zawiera-

-----  
<sup>1</sup> Znane kawiarnie w przedwojennym Wilnie.

<sup>2</sup> sece – (kaszubski) sieci.



jący sporo anegdot i humorystycznych opisów, ozdabiany fotografiami i podpisanymi wszystkimi uczestniczek (więc i świeckich nauczycielek-opiekunek) i włączany później do grubej kroniki szkolnej – każda prowadzić musiała – zwłaszcza przy korelacyjnych ekskursjach – szczegółowe notatki. Co oglądano – co i z czego tam powstaje – z jakich surowców i w jakiej kolejności – w jaki sposób – przy użyciu jakim – i jakich maszyn – jak długo to wszystko trwa – przez jakie fazy przechodzi? Rezultaty omawiano wspólnie i zostawały w pamięci jako konkret, dla niejednej w bliskiej przyszłości praktycznie też użyteczny. Sporo było bowiem wśród tej gromady dziewcząt z rodzin ziemiańskich, nawet arystokratycznych, którym te zaczątki wiadomości pomóc miały (czy mogły – to już inna sprawa) w samodzielnym gospodarowaniu.

Korelatywne były też krótsze wyprawy na okoliczne pola i łąki albo w głąb gęstego lasu. Poznawano – nie tylko ze szkolnego podręcznika – rozmaite gatunki zbóż, a co piękniejsze okazy ziół i liści wędrowały u młodszych – do mniej lub bardziej porządnie prowadzonych zielników, u starszych – pod mikroskop. I na własnych szkolnych działkach dokonywałyśmy różnych eksperymentów, a to próbując przeflanconiania i uszlachetnienia leśnej poziomki, a to dowodnie się przekonując, dlaczego przenoszenia delikatnych jeszcze sadzonek pomidorów na stały grunt nigdy a nigdy nie wolno dokonywać przed upływem zimnych ogrodników (Pankracy, Serwacy i Bonifacy – czyli 12, 13 i 14 maja) zakończonych dopiero zimną Zośką, co najłatwiejsze było do zapamiętania, bo rozliczne Zosie właśnie 15 maja obchodziły imieniny.



Trzecim wreszcie filarem patriotycznej edukacji był – teatr. Ale nie ten – czy raczej te, bo bywałyśmy w różnych – stołeczny; znakomity, gdzie jeszcze można było na własne oczy oglądać takie postaci, jak legendarną Leszczyńską z wielkiego aktorskiego rodu, wspaniałego Jaracza, niezapomnianego w roli Dyndalskiego („mocium panie / me wezwanie”), Ludwika Solskiego, młodziutkie wówczas gwiazdy sceny: Ninę Andrycz, Marię Malicką, Elżbietę Barszczewską czy Zofię Lindorfównę. Były to niedościgłe – oczywiście – wzory. Lecz własny nasz szkolny teatr mimo całej, nieuchronnej amatorszczyzny uczył wnikliwiej, głębiej, bo same musiałyśmy go tworzyć. Grano pełnospektaklowe sztuki: *Wesele* Wyspiańskiego, *Zemstę* i *Pana Jowialskiego* Fredry, *Powrót posła* Niemcewicza. Prawda, że sięgano też po sztu-

ki francuskie – oczywiście w oryginale – jak *Mieszczanin szlachcicem* Moliera lub *Orlątko (L'aiglon)* Rostanda. Przeważały jednak sztuki polskie. I rzetelne ich przygotowanie – tak artystyczne, jak i techniczno-praktyczne – uczyło nas niejednego.

Najpierw poznawało się epokę, w której sztuka powstała, osobę i biografię autora, bardzo skrótowo rzecz ujmując – po prostu historię. Sam wybór sztuki był zresztą trudny – bo każda wymagała stosownej obsady – a nie zawsze odpowiednie osoby były akurat na podorędziu. Później z wybranym już aktorskim gronem analizowało się samą sztukę i dopiero po takim przygotowaniu zaczynały się liczne czytane próby. I wytrwałe, mozolne, piekielnie męczące dopracowywanie, szlifowanie poszczególnych ról – od najważniejszych aż po drobniotki ogony i epizody. Reżyserią zajmowała się – nieodmiennie od lat – majestatyczna siostra B., która w poprzednim, swoim świeckim życiu była śpiewaczką, dobrze ze sceną obeznaną, a służbie bożej poświęciła się w dość już późnym wieku. Piłowała nas niemiłosiernie, doprowadzając co mniej cierpliwe aktorki do rozpaczliwych protestów i niemalże histerycznych płaczów, co jednak nie skutkowało: – Z roli można zrezygnować, ale nie można jej nie dopracować – brzmiało ulubione reżyserskie porzekadło, które było też fundamentem całej naszej pracy. Trwała ona miesiącami – od wczesnej jesieni aż niemal do końca karnawału – i pochłaniała mnóstwo czasu, który trzeba sobie było własnym przemysłem z nabitego zajęciami planu dnia wygospodarować. Fakt bowiem, że przygotowywało się rolę, nikogo od licznych, powszednich obowiązków nie zwalniał. Przeciwnie: jeśli zaczynały się jakieś szkolne kłopoty, zarwane klasówki, coraz bardziej chwiejne stopnie – rysowała się inna alternatywa: – To może zrezygnujesz z teatru? – I nieraz właśnie takie postawienie sprawy doprowadzało do pożądanых rezultatów, czyli i wilk (lekcje) był syty, i owca (rola) ocalona. Choć zdarzały się i rezygnacje.

Najmłodsze popadały w rozmarzoną egzaltację, bo chociaż cała obsada składała się zawsze ze średniaczek (najstarsze miały inne poważne obowiązki i do teatralnych zajęć nie miały głowy), zdarzało się, że potrzeba było jakiejś mniejszej, choćby do roli Isi w *Weselu*. Samej mi się to przydarzyło i zapamiętałam machałam miotłą, powtarzając w uniesieniu:

*Huż ha,  
huż ha,  
na pole,  
brzydki śmieciu, chochole...*

W teatrze, który mimo wszystkich mankamentów miał być jak prawdziwy, potrzeba było przecież jeszcze mnóstwa innych osób obdarzonych odpowiednimi zdolnościami. Malarki kleiły więc i odświeżały stare albo robiły nowe dekoracje, inspicjentka biegała jak najęta to tu, to ówdzie, technika mozoliła się nad należytytm oświetleniem, nieszczęsna suflerka po coraz większej ilości coraz dłuższych prób mówiła już na co dzień niemal wyłącznie przychryplym szeptem. Rekwizytorki labidziły donośnie, bo ciągle im tego czy owego brakowało, garderobę teatralną – mieszczącą się w sporych, zasobnych szafach i skrzyniach – skracano, podłużano, szyto i prasowano zaciekle, a charakteryzatorka przeglądała zasoby peruk, bród, wąsów i zamęczała siostrę gospodarczą prośbami o najskromniejszy choćby finansowy dodatek na zakup pudru, różu, węgla i wazeliny.

Dzień kostiumowej, generalnej próby nadchodził przecież, a zaraz po nim gorączkowo wyczekiwany dzień premiery, na którą zjeżdżało mnóstwo stołecznych i nie tylko stołecznych gości. I przedstawienia, bo każde z nich powtarzano jeszcze raz albo i dwa – na ogół toczyły się gładko, swobodnie, bez większych sypek.

W oparciu o te konkretne i praktyczne doświadczenia całkiem inaczej czytało się już później *Dziady* i *Balladynę*, *Nie-boską* i *Noc listopadową*. Sztuki ożywały, wiersz płynął pojętnie i potoczyście, sedno spraw ujawniało się z wolna bez żadnych utrapionych, nauczycielskich ponagleń w rodzaju: „o co tu chodzi?” i „co autor chciał przez to powiedzieć”.

I po corocznie, osobiście przeżywanych tych przedstawieniach całkiem innego, a bardziej rozległego znaczenia nabierał dialog dwojga Młodych z *Wesela*, gdy na pytanie: „Cóż się męczyć – w jakim celu?” rezolutna Jagusia odpowiadała: „Trza być w butach na weselu!”.

Przy niejednej i niełatwej późniejszej okazji przydatnym miało się okazać to pozornie tak proste stwierdzenie.



– *Salve domina!*<sup>1</sup>

– *Salveta!*<sup>2</sup> – odpowiadała na nasze powitanie, wchodząc do klasy nauczycielka łaciny.

Nie pamiętam już jej nazwiska. Na imię miała Barbara. Ale nazywaliśmy ją między sobą Charonem Jasnokościstym. Drobną była istotnie

<sup>1</sup> *Salve domina!* – (łac.) Dzień dobry, pani!

<sup>2</sup> *Salveta!* – (łac.) Dzień dobry!

i krucha, o bladej, prawie przezroczystej twarzy, okolonej chmurą jasnorudawych puszystych włosów. Miała duże, odrobinę wylupiate i bardzo niebieskie oczy – może cierpiała na jakieś zaburzenia tarczycy. I w kontraście z mizerną posturą miała dźwięczny, głęboki alt, którym z lubością skandowała nam Owidiusza, Wergilego lub Horacego.

Zawiłości łacińskiej gramatyki pomagała nam swym jasnym, logicznym wykładem zgłębić gruntownie i dokładnie. Ale to były dopiero początki – budowanie solidnego rusztowania, na którym oprzeć się miała przyszła nasza wiedza. Nie tylko o znajomość, o poprawne tłumaczenie i interpretację, o należyte skandowanie tekstów łacińskich tu chodziło. Uzupełniała nasze wiadomości z każdym rokiem – przynosząc na lekcje fotograficzne reprodukcje rzeźb antycznych, opowiadając nam o życiu codziennym starożytnych Greków i Rzymian. Wszystkie, oczywiście, przenosiłyśmy się z przekonaniem w złoty wiek Peryklesa (nie zapominała przy tym i o Aspazji!) do Aten, żadna natomiast nie kwapiła się do okrutnych rygorów Sparty.

Pod sufitem pracowni łacińskiej (bo systemem najnowszym każdy przedmiot wykładano w innej pracowni, w której mieściły się wszelkie do niej przynależne pomoce naukowe, a ofiary takiego sposobu edukacji wlokły od jednego do drugiego z tych pomieszczeń ciężkie, skórzane i z biegiem lat coraz gęściej napchane książkami i zeszytami teczki, nabawiając się przy tej okazji trwałych skrzywień kręgosłupa) biegł szeroki fryz, wykonany przez starsze a najlepsze szkolne malarzy z rysunkowego bristolu, barwny (posągi, których fotografie – białe – oglądałyśmy, były przecież w owych czasach pomalowane!) i wykwinny. Ściany zdobiły spore reprodukcje rzeźb i waz antycznych – bez żadnych pruderyjnych retuszów. Co pewien czas zmieniało się zawieszane tam również sentencje, spośród których dobierałyśmy – na własny już użytek – poszczególne maksymy, oznaczając nimi każdy podręcznik swój i każdy zeszyt: *Non omnia possumus omnes* („Nie wszystko wszyscy potrafimy [zrobić]”, Wergili, *Ekloga VIII*, 65). *O tempora, o mores!* („O czasy, o obyczaje!”, Ciceron, *Katylinarki I*, 1). Były i banalniesze, dziś nie wiem już, czyjego autorstwa, zapewne po poprzedniczkach naszych odziedziczone: *Historia magistra vitae* („Historia nauczycielką życia”) czy *Non scholae sed vitae discimus* („Nie dla szkoły, lecz dla życia uczymy się”). W najmłodszych klasach potrzasałam dumną, acz przydługą wypowiedzią Terencjusza: *Homo sum, humani nihil a me alienum esse puto* „Człowiekiem jestem, nic co ludzkie, nie jest mi obce”, przy czym Charon stanowczo obstawała przy pełnym *nihil*, zamiast później stosowanego, a jej – słusznym –

zdaniem szkaradnego skrótu *nil*. W latach późniejszych zrezygnowałam z tak sztucznie górnych lotów, ograniczając się samokrytycznie do prostego stwierdzenia: *Scio me nihil scire* („Wiem, że nic nie wiem”), znacznie bardziej odpowiedniego. Z czasem dołączyło się tu jedno z pozornie prostych, choć najtrudniejszych zaleceń Sokratesa: „Gnoti se auton”, co zapisałam fonetycznie jako konieczność poznania samej siebie, bo greki, niestety, nas nie uczono. Od wielkiego dzwonu – na przykład po wyjątkowo udanej klasówce – nagradzała nas ta nauczycielka recytacją jakiejś greckiej strofy, dowiedziałyśmy się też od niej, że *kyrie* (i żeńska jego odmiana *kyria*) znaczy „Panie”, nie brzmiały nam już więc odtąd obco wezwania zanoszone do Pana Niebios na początku każdej litanii: *Kyrie elejson*. Ale aorysty pozostały nieosiągalne.

Charon była jedną z tych nielicznych, prawdziwie w swoim przedmiocie rozmiłowanych nauczycielek, i chyba nawet te spośród nas, które nie należały do grona najbardziej zapalonych entuzjastek (na dwadzieścia parę uczennic było ich zaledwie cztery) wykładanego przez nią przedmiotu, o niej samej dobre zachowały wspomnienia i sporo niezapomnianych dotąd wiadomości. Potrafiła nas porwać swoim zapałem, przekazać tyle szczegółów z codziennego życia, obrzędów, świąt, obyczajów antycznych, że poruszałyśmy się wraz z nią po wszystkich siedmiu pagórkach Rzymu, jakbyśmy same pośród nich wyrosły i przenosiły się z wytwornych, patrycjuszowskich siedzib lub cyceronńskiego, ustronnego Tusculum z największą łatwością przez gwarne Forum Romanum aż het, na Zatybrze, ku zięjącej zjełczałą oliwą, czosnkiem i fetorem rynsztoków najuboższej, południowej dzielnicy.

Zbudowałyśmy pod jej kierunkiem spory model rzymskiego domu, starannie malując kolumny otaczające atrium z nieodłączną sadzawką pośrodku, urządzając *triclinium*<sup>1</sup> i pomniejsze, nie tak już wytworne sypialnie, czyli *cubicula*. Unikając zbyt dla naszych uszu drastycznych szczegółów, potrafiła nam ta właśnie pani profesor opowiedzieć sporo o roztańczonych bacchanaliach (*Evoe Bacche!*) i na inny już sposób obchodzonych saturnaliach, o uroczystej chwili, w której chłopiec, opuszczając na zawsze babiniec (*gyneceum*), wkładał po raz pierwszy *toga virilis*<sup>2</sup>, ale także o ówczesnej edukacji dziewcząt, o strojach, modach, fryzurach, a nawet potrawach spożywanym na wielkich ucztach. I z tej to chyba okazji czytało się fragmenty *Ucztę Trymalchiona* niezrównanego eleganta swej epoki Petroniusza, gdzie jako przysmak opisane zostały szczury przyrządzone w miodzie.

<sup>1</sup> *triclinium* – (łac.) jadalnia.

<sup>2</sup> *toga virilis* – (łac.) toga noszona przez mężczyzn od 15. roku życia.

Gdy któraś dukwała niezdarnie lub, co gorsza, kaleczyła niemiłosiernie heksametr, Charon bladła i krzywiła się, jakby pojono ją najkwaśniejszym octem. Nie przerywała jednak nieszczęśnicy, bo cierpliwa była ogromnie, tylko zaraz potem zachęcała: – Kto jeszcze przeczyta tę strofę? – wybierając przeważnie dość pewną w akcencie i rytmie którąś ze swojej wypróbowanej czwórki. Ale co lepsze łacinniczki wcale się do takich popisów nie kwapiły, bo dobrze wiedziały, co je czeka: – Skoro tak dobrze to robisz, to pomóż koleżance. I żeby mi to na następnej godzinie już grało!

Trocheje i amfibrachy, jamby i daktyle, zwięzłe i zborne, a przejrzyste wiązania – ani słowo nie było tu i być nie mogło zbyt cenne. *Ut pictura poesis*<sup>1</sup> – powtarzałyśmy w starszych już klasach za Horacym i chyba dzięki tym doświadczeniom właśnie zaczynałyśmy pojmować, czym poezja jest, a raczej czym być może i powinna.

Poznawałyśmy oczywiście biografie czytanych autorów. Ale każda niemal lekcja ubarwiona była jeszcze licznymi anegdotami i nieodmiennie nawiązywała do antycznej Grecji. Była więc mowa o wielkich rzeźbiarzach greckich Skopasie i Fidiaszu, który – mimo że twórca dzieł tak wspaniałych – lepkie miał przecież palce i coś przydużo złota do ozdoby zamówionego posągu do nich mu się przykleiło, z czego wynikała sprawa sądowa i wcale niechlubny wyrok.

Przy innej okazji dowiedzieć się było można, że jazgotliwie swarliwa baba i dziś jeszcze nazywana bywa Ksantypą – gdyż taką właśnie przykrą żoną pokarali bogowie mędrca Sokratesa.

W samych początkach, gdy ćwiczenia gramatyczne przeważały na tych lekcjach nieuważnie zapisałam, już po dzwonku i w narastającym podczas przerwy gwarze, zadaną na następny raz odmianę. Wywołana do odpowiedzi z głębokim przekonaniem zaczęłam czytać: – *Misera nauta / Miserae nautae...* – nie dotarłam jednak nawet do *accusativu*, czyli czwartego z wszystkich siedmiu przypadków, gdy zdarzyła się rzecz dotąd niespotykana: Charon poważna zazwyczaj i opanowana, gruchnęła śmiechem. Okazało się, że wsparta mizernym doświadczeniem, iż kończące się na „a” rzeczowniki muszą być rodzaju żeńskiego, bez chwili namysłu przefasonowałam na ten rodzaj biednego zaiste żeglarza, który w tym kształcie zmienił swą płęć i w polskim tłumaczeniu brzmiałoby to: „Biedna żeglarza”...

Lojalnie przyznać trzeba, że nic mnie za ten osobliwy wywód złego nie spotkało – prócz, oczywiście, poprawnego już wypisania go na tablicy. Ale i ten błąd połączony został z zabawną opowieścią, z której konieczność należytej znajomości łaciny na wskroś jasno wynikała:

-----  
<sup>1</sup> *Ut pictura...* – (łac.) Poezja to jak malarstwo.

„Jechać miał w dawnych czasach z Polski do Rzymu wysłannik, wiozący ówczesnemu papieżowi ważne jakieś papiery. W ostatniej chwili jednak zachorował, czy insze poważne wystąpiły przeszkody – dość, że zamiast niego wyprawiony został inny mąż dostojny, który jednak od młodości z łaciną był na bakier. Ceremoniał krótkich audiencji ustalony był przecież już od dawna – słów przy nich wymieniało się niewiele – więc i niebezpieczeństwo językowych potknięć nikłe się wydawało.

Wysłannika poinformowano dokładnie, co ma robić i mówić: wejść, klęknąć i pozdrowić krótkim słowem papieża. Ów zagadnie go zapewne, z czym przybywa, wtedy powinien przedłożyć mu przywiezione dokumenty. Na zakończenie Ojciec Święty udzieli mu zapewne błogosławieństwa, które również klęcząc, powinien przyjąć, mówiąc z pokorą, że nie jest go godzien. Jedna językowa gafa wysłańca wywołała jednak zgoła niezamierzone skutki owej audiencji.

Szlachetny Polonus ukląkł bowiem, jak był powinien, przed białą postacią, ale na powitanie rzekł głośno i uroczyście:

– *Sanctissima papa!* (Najświętsza papież!)

– *Non sum mulier!* (Nie jestem niewiastą!) – skorygował Ojciec Święty.

– Dokumenta<sup>1</sup> *habeo!* (Mam dokumenta!) – brnął nieszczęśnik w swą wyuczoną rolę, wyciągając rulon papierów.

– *Tu es asinus!* (Jesteś osłem!) – zeźlił się na takie odezwanie papież.

– *Non sum dignus* (Nie jestem godzien) – schylił w odpowiedzi koronie głowę wysłannik”.

Przy innej okazji Charon przekazała nam dydaktyczny wierszyk, który – choć autora jego nie zapamiętałam – i w późniejszych latach nieraz skłaniał do zadumy:

*Peras imposuit Jupiter  
nobis duas.  
Propriis repletam viciis  
post tergum dedit  
Alienis ante pectum  
suspendit gravem  
Hac e videre nostra mala  
non possumus  
Alii simul delinquit  
Censores sumus.*

-----  
<sup>1</sup> Po łacinie *documenta* znaczy pouczenia, ostrzeżenia.

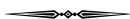
Za poprawność – zwłaszcza gramatyczną – tego zapisu po tylu dziesiątkach lat trudno ręczyć, rymowane zakończenie zdaje się wskazywać, że rzecz nie jest antyczna (bo i któż by w tej łacinie rymował?), może nawet zgoła polskiej proveniencji, z czasów, kiedy się w takie żarciki zabawiano. Treść pozostała istotna: oto Jupiter, czyli Jowisz, czyli grecki Zeus objuczył nas dwoma workami. Ten, w którym pełno naszych własnych wad – zarzucił nam na plecy, na piersiach natomiast dźwigamy wady innych. Z tej to przyczyny złych czynów własnych nie możemy dostrzec, łatwo natomiast osądzamy innych, gdy tylko coś przeskrobia.

Lektury zaczynały się od *Ab urbe condita*<sup>1</sup> Liwiusza i niedokładnie, bardzo jeszcze topornie tłumaczonych *Bukolik* Wergilego. A jednak pamięć do dziś dnia przechowuje: *Tityrae tu patulae recumbans sub tegmine fagi*<sup>2</sup>.

Następne dwie klasy to *De bello Gallico*<sup>3</sup> Cezara i Owidiusz. Przed zaśnięciem mruczałam, urzeczona, wspaniałe pierwsze zdanie: *Gallia est omnis divisa in partes tres, quarum unam incolunt Belgae*...<sup>4</sup>

I równo czterdzieści lat później, na studiach w obcym mieście, od niego właśnie rozpoczęłam wywód mający udowodnić, że łacina w znacznym stopniu stanowi substrat, czyli podłoże języka francuskiego. Młodszy ode mnie o spore dziesiątki lat słuchacz odnieśli się do takiego występu z nieufnym niedowierzaniem: – Po jakiemu to? Czy ona naprawdę zna jeszcze łacinę?

Bardzo archaicznym poczułam się w owym momencie wykopaliskiem.



Urzeczenie antykiem trwało do ostatnich szkolnych lat, a nawet się pogłębiało. Gruby, chyba z 600-kartkowy gładki brulion w połyskliwej, tekturowej, jasnobrązowej okładce, spojony ciemnobrunatnym pasem płótna na grzbiecie opatrzyłam ozdobnym napisem *Silva rerum latinarum* i gromadziłam w nim skrzętnie – prócz przydatnych składniowo-gramatycznych zawiloci – przeróżne sentencje, anegdoty bądź luźne wiadomości. Uzbierał się ten skarbczyk wcale spory i gdy opuszczałam szkołę, odkupić go chciano nawet za niebagatelne wówczas całe 20 złotych – ale rozstać się z nim nie mogłam, wskutek cze-

<sup>1</sup> *Ab urbe condita* – (łac.) Od (roku) założenia miasta (tzn. Rzymu).

<sup>2</sup> *Tityrae tu patulae*... – (łac.) Odpoczywasz, Tytyrze, w cieniu rozłożystego buka. [Tytyras – poetyckie imię pasterza, często spotykane w idyllach greckich.]

<sup>3</sup> *De bello Gallico* – (łac.) O wojnie galijskiej.

<sup>4</sup> *Gallia est omnis*... – (łac.) Cała Galia jest podzielona na trzy części, z których pierwszą stanowi Belgia...



go, jak zwykle, utraciłam go już niebawem i na zawsze. (Gdzieżeście zeszyty nasze o śnieżnobiałym papierze, niepowrotne bruliony wspinały w połyskliwie czarnych, ceratowych okładkach z jaskrawocynobrowym brzegiem – dotychczas gładkość waszą i zapach czuję).



Ów okres niepohamowanego zachwytu i zapału narastał w samą porę w chwili, gdy właśnie skończyła się fascynacja inna: indiańsko-trapersko-przygodowa. Niezależnie od – również tu z racji naszego wieku przynależnych – kolejnych tomów *Ani z Zielonego Wzgórza* pochłaniałyśmy w tych czasach Maya czy Reida, Coopera, Londona. Skórzana Pończocha, czyli Nataniel Bumppo, bohater powieści Coopera zwał się wprawdzie u mnie Lederstrumpf, bo wiele tych lektur sumiennie odrabiałam po niemiecku. Któryś z niemieckich autorów, czy może – nie pamiętam już – autorek, dostrzegł w tych dziewczęńskich zainteresowaniach – jak by to dziś określono – lukę na rynku czytelnictwem i ją gorliwie ją zapełniał egzotycznymi przeżyciami czternastoletniej Inge, dzielnej córki badacza i podróżnika, żywo i niezbyt bezpiecznie uczestniczącej w ojcowskich wyprawach. *Inge auf Borneo*, *Inge auf Sumatra*. Doszły do tego z czasem kolejne tomy Curwooda (*Łowcy wilków* itd.) i *Sejdzó i jej bobry* napisana ponoć przez prawdziwego Indianina – Grey Owl, czyli Szarą Sowę.

Nawet w długich listach pisywanych podczas letnich wakacji do jednej z koleżanek (z którą później zbliżyć miało mnie jeszcze bardziej szczególne umiłowanie łaciny) tytułowałyśmy się niezmiennie bo-brzymi imionami, występując jako Czikani i Czitawi. A niezapomnianą *Wyspę skarbów* Stevensona wykradłam Filowi. Widywaliśmy się jeszcze niekiedy, choć już coraz rzadziej. Lata robiły swoje: on kończył prawie gimnazjum, gdy ja borykałam się z pierwszymi dopiero wiadomościami z dawno przezeń już zgłębionych dziedzin. Spoglądał więc na mnie z nieukrywaną wyższością, dokuczał, ciągnął za warkocze, toteż niepostrzeżone zwędzenie mu książki napełniało mnie cichą, tajoną, a przecież wielką radością udanej zemsty. Drogi nasze wkrótce zresztą miały się rozejść na długo.

Wrażenia z tych rozlicznych acz powierzchownych lektur trzeba było natychmiast obracać w żywe akcje. Budowałyśmy – nie kleciły, gdyż były to bardzo misterne plecionki – z gałęzi szalasy w miejscach nieosiągalnych wigwamów, skakałyśmy, potrząsając tekturowymi tomahawkami wokół pala, do którego przywiązany był bladotwarzy,



*Z Babcią chodzi się do kościoła. I to chyba ona naj-  
pierwsza prowadzi dziecko w tajemniczą ciemność  
Panny Marii, gdzie odczuć jeszcze można cały maje-  
stat i grozę mrocznego gotyku...*



*Piąta szkoła, choć też zamknięta murem,  
też połączona z internatem, wydaje się  
po wszystkich uprzednich doświadcze-  
niach najbardziej znośna. Zakon jest  
pod wezwaniem Matki Nieustającej Po-  
mocy [...]. Jasno tu, przestronnie, nikt  
deszczułkami nie trzaska...*

kolejny nasz wróg i dumnie szeleściły przy tym na naszych głowach sute, różnokolorowe pióropusze. O pióra do ich fabrykacji było zawsze najtrudniej: przynosiła je na zamówienie ruda Zośka, eksternistka, czyli dochodząca tylko do naszej szkoły, córka miejscowego sklepikarza. Ceny jednak były wygórowane: darów w naturze nie przyjmowała, bo smakołyków u ojca miała dość. Pieniędzy przy sobie mieć nam nie było wolno – gdzie i co zresztą miałybyśmy kupować? Zośka domagała się więc w zamian za swe piórowe dostawy najcenniejszych skarbów, czyli świętych obrazków, ale nie pospolitych, kolorowych, tylko tak zwanych zwijek, ręcznie wykonywanych na cieniutkim, pergaminowym papierze, na które chuchnąć raz tylko wystarczyło, a już zwijały się w malutkie ruloniki. Prawa rynku przy tych transakcjach dochodziły nieubłaganie do głosu i z bólem serca opłacałyśmy tak haniebnie nas wyzyskującą dostawczynię.

Przedzierzgnięta w Indianina zwałam się, oczywiście, nadal Kamienne Serce, nawiązując tym zawołaniem po kryjomu do dawnych, dziecinnych lat, kiedy to Pum był Ryczącym Bawołem, a Pam Czarną Żmiją. Ale i ta cieniutka nitka miała już wkrótce – jak później tyle innych – zerwać się ostatecznie.

Była też, oczywiście, fajka pokoju misternie wyrobiona w miękkiej, wonnej gałęzi wiśni, a paliło się w niej odpowiednio wysuszone liście dzikiego wina, którego bujny gąszcz zarastał frontowe ściany naszej szkoły. Sumienność kronikarza wymaga odnotowania, że seanse, podczas których siedząc w krąg i z rąk do rąk przekazując sobie dymiący ten instrument, z którego kolejno trzeba było pociągnąć, nie wszystkim czerwonoskórym wojownikom wychodziły na zdrowie.



Egzaltacja łacińska, jaka wówczas nas ogarnęła, musiała znaleźć odbicie w żywej akcji. Nie tracąc czasu, siadłam więc i napisałam sztukę – po łacinie od początku do końca: *Martyrium Martae*, czyli *Męczeństwo Marty*. Przemozny wpływ na jej kształt wywarło czytane właśnie niedawno *Quo vadis*, a zapewne i przeróżne żywoty świętych, zgłębiane przy dewocyjnych okazjach. Nie obeszło się przy tym, rzecz jasna, bez gorliwych, długich konsultacji z Charonem. I wreszcie nadszedł wyczekiwany z wielką treścią dzień premiery, a główna bohaterka, kreśląc w atrium na piasku zarys ryby, wypowiedziała pierwszą kwestię: – *Ichthys id est graece piscis. Hoc est signum Christi – signum salutis.* („*Ichthys* to po grecku: ryba. To znak Chrystusa – znak zbawienia”.)

Marta, młoda niewolnica w patrycjuszowskim domu, jest bowiem chrześcijanką i marzy o nawróceniu na prawdziwą wiarę urodziwego Publiusza (to imię było cichym hołdem złożonym Wergilemu), syna swych chlebobawców. Publiusz – i owszem – zamienia z nią niekiedy kilka słów i wodzi okiem bynajmniej nienabożnym. Złym natomiast i zazdrośnie podejrzliwym spojrzeniem obrzuca ją Rufus, niewolnik jak i ona, którego konkury odrzuciła. Trudno tu streszczać całość owej niezwykle zawikłanej intrygi, finałem dramatu w każdym razie była męczeńska śmierć Marty, zamordowanej przez zawistnika – Rufusa. Ale właściwe perypetie dopiero się w owym momencie zaczęły, gdyż do akcji – w osobie dyrektorki – autorytatywnie wkroczyła cenzura.

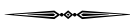
Mało, że dwa pierwsze projekty zgładzenia niewinnej męczenniczki – sztylet lub trzcina – zostały bezapelacyjnie odrzucone jako nieestetyczne. Cenzorka zażądała ponadto, i to bardzo stanowczo, dopisania epilogu w formie apoteozy, czyli białego anioła, który pojawi się przy zwłokach tak niecnie zgładzonej – niosąc jej liść palmowy, symbol niebiańskiej chwały. Tu już wymagania wydały się autorce nie tylko zbyt wygórowane, ale wręcz kiczowate, lecz zajadłe dyskusje zdały się na nic i dławiąc się ze złości, musiała wprowadzić żądane zmiany. Próby potoczyły się wartko, na premierę – niczym na prawdziwą sztukę uznanego autora – zaproszono gości z zewnątrz, a nawet księdza kapelana, którego bez należytego duchownej osobie respektu, a z racji jego okrągłutkiej figury, nazywałyśmy Kulką, i kurtyna poszła wreszcie w górę.

Akcja toczyła się gładko i należycie (nie tylko autorka, ale i sama Charon czuwały, zdenerwowane, z obu stron kulis w charakterze suflerek), tak że w końcu nadszedł moment kulminacyjny. Podstępny Rufus, zacząjony za kolumną, rzucił – jak według scenariusza był powinien – spory głaz prosto na głowę Marty, która z przejmującym jękiem osunęła się na ziemię. Publiczność jednak na ten widok zamiast zblednąć ze zgrozy, ryknęła zgodnym a wielkim śmiechem, gdyż nieszczesny głaz – wykonany z grubego papieru pakowego – zgrabnie odbił się niczym piłka od głowy męczennicy i poszybował prosto w nos siedzącego w honorowym pierwszym rzędzie Kulki, który sczerwieniał jak indor z zaskoczenia i irytacji.

Fatalny rekwizyt co prędzej uprzątnięto, ale widownia nie była już w stanie z należyłą powagą doczekać epilogu. Wymuszony anioł, który pojawił się z dość zresztą flakowato zwisającą mu z ręki palmą, ledwo zdołał w ogólnym zamieszaniu wydukać swoje: *Accipe...* („Przyjmij” ..., oczywiście: palmę męczeństwa), gdy już wszyscy – niepomni

ostrzegawczych psyknień – zaczęli wstawać ze swoich miejsc i żywo komentować niezamierzone, dodatkowe przedstawienie. Kulkę, rzecz jasna, pięknie przeproszono i niby dał się udobruchać, ale jeszcze wychodząc z sali, pocierał zaczerwieniony nos i mruczał wzgardliwie: – Eee, taka to i łacina: same futury i imperfekty!

Cóż, niewiele więcej umiałyśmy wówczas.



Z biegiem lat łacińskie sprawy uspokoiły się przecież, pogłębiły i wzniosły, by tak rzec, na wyższe piętro. Na lekcjach mówiło się po łacinie o łacinie i kunszt polegał już nie na poprawnym czytaniu (skandowaniu, rozbieraniu i tłumaczeniu tekstu), ale na żmudnym poszukiwaniu najodpowiedniejszych dlań – jednocześnie też najściślejszych i najpiękniejszych – słów polskich.

I widzę siebie w ostatniej ławce (zawsze na klasówkach siadałam na tym miejscu, broniąc go przed ewentualnymi uzurpatorkami) schyloną nad fragmentem *Eneidy*. O, to już nie *Arma virumque...*<sup>1</sup>, czyli sam początek; zabrnęłyśmy już głęboko w bujny, łaciński las. Jest pogodne październikowe południe: wysokie, niebieskie niebo za oknem – słońce, drzewa okryte jeszcze mnóstwem jesienno-barwnych liści. Pod wpływem czytanego tekstu, pod wpływem narastającego we mnie rytmu robię rzecz szaloną: tłumaczę Wergilego na polski wierszem – trzynastozgłoskowcem rytmicznie tętniącym we mnie i – o zgrozo! – rymowanym, w typie aa / bb itd. Porywa mnie ta praca, zanurzam się w niej, nie patrzę nieszczęsna na zegarek i gdy wreszcie przytomnieję, wiem, że już nie starczy mi czasu, by dopisać w zeszytcie poprawny przekład tego fragmentu prozą. Dzwonek. Zdeterminowana zamykam i oddaję zeszyt trochę zaniepokojona, a bardziej jeszcze zaciekawiona – cóż Charon na następnej lekcji na ten pasztet powie?

Ale następna lekcja nie przyniosła sensacji. W zeszytcie znalazłam – jak od początku w tym przedmiocie – niemal przeznaczoną mi ocenę bardzo dobrą. Oddając mi zeszyt, Charon zauważyła tylko niegłośno i jakby mimochodem: – Nie jestem pewna, czy wiersze łacińskie należy po polsku rymować!

Ogłędna uwaga zawierała prostą prawdę, że tego właśnie robić nie należy. Ale skoro zaryzykowałam już tyle – posunęłam się dalej jeszcze. Wychodziło wtedy – jedyne w Polsce i wielce szacowne – pismo poświęcone literaturze antycznej „Filomata”, a redagował je Ryszard

-----  
<sup>1</sup> *Arma virumque...* – (łac.) Zbrojnego męża...

Ganszyniec (czy Gansiniec, bo i tak niektórzy wymawiali jego nazwisko). Prenumerowano je – nic więc łatwiejszego, jak wziąć egzemplarz z bibliotecznej półki, przepisać adres i, wzdychając z emocji, wyeksponować tam ów fragment *Eneidy* wraz z nieporadnym jeszcze dosyć liścikiem, że to: „Szanowny Panie Redaktorze”.

Jakież było moje zdumienie, gdy w dwa tygodnie później sprawna podówczas poczta (a sprawna w sposób niewyobrażalny przy jej dzisiejszym żółwio-ślimaczym funkcjonowaniu) przyniosła mi nie tylko kolejny (autorski!) numer „Filomaty” z wydrukowanym w nim Wergiliuszowym tekstem, ale i pełen aprobaty i zachęty do dalszej współpracy list, zaczynający się od: „Szanowna Pani!”

Nie byłam już rozchichotaną podfruwajką, raczej podrosłą istotą o grubym, przez ramię z fantazją przerzuconym warkoczem i niezbyt jeszcze ustalonym własnym miejscu na świecie. Ale niewiele myśląc, dobyteczem cztery sążniste agrafki, przy ich pomocy lokując „Szanowną Panią” na samym środku pleców mego szkolnego, granatowego fartucha i póty bohatercko ją obnosiłam po wszystkich korytarzach, póki dyrektorka (oczywiście – znowu ona!) nie powiedziała mi kilku ostrych słów o zarozumiałstwie i nie nakazała natychmiast zdjąć tego widomego dowodu wywyższania się nad innymi.

O żadnym honorarium, rzecz jasna, marzyć nawet nie było można – ale jaki honor! Gdy na ferie zawiozłam ów numer „Filomaty” do domu, doczekałam nazajutrz innej wspaniałej nagrody – *Pieśni* Horacego, wydanych w równoległym (obok łańskieckiego oryginału) niemieckim przekładzie. I ta – odtąd jedna z najbardziej ulubionych moich książek – zniknąć miała wkrótce nieodwołalnie.



O Kołymie nie wiedziałam, o istnieniu Warkuty nie miałam pojęcia, ale że i czym są Wyspy Sołowieckie – podówczas skrótowo określane jako Sołówki – dowiedziałam się już jako kilkunastoletnia dziewczyna dość dokładnie. Przyjechał wtedy do nas na odpoczynek, jak to łagodnie a eufemistycznie określano, ksiądz N., ptasiokruchy, drobnutki, niski, siwy, o wyblakłoniebieskich, często łzawiących oczach. I niekiedy – wieczorami – najstarszej tylko naszej grupie o wieloletniej bytności w obozie (nie określano go jeszcze wtedy mianem łagru) sołowieckim opowiadał. Mój Boże – cóż w istocie mógł podówczas nam, nie tylko najprawdziwszym ceglany murem oddzielonym od życia, przekazać z grozy przeżyć, które dopiero po wielu dziesiątkach lat do-

cierać do nas zaczęły z tomów *Sołżenicyna*, a bardziej jeszcze z krótkich opowiadań *Szałamowa*? Mówił, oczywiście, że głód, nieludzka praca, skrajne wyniszczenie ludzi i okrucieństwo dozorców, i brak Boga, zacięta walka z religią i chyba właśnie przez to i dlatego wszystko tak tam było, być musiało. A słuchałyśmy tych krótkich, cichych opowieści też po trochu jak historycznej, dalekiej, wręcz nierealnej relacji. Nie mieściło się to – i w żaden sposób zmieścić nie mogło – w kręgu naszych dotychczasowych pojęć i przeżyć. Budziło niekiedy przerażenie, nawet grozę – ale tak, jakby działo się z dala od normalnego, zrozumiałego świata, jakby na innej planecie. Spotkań tych nie było zresztą wiele: może z dziesięć. Cichutki ksiądz N. przemieszkał parę miesięcy za furta, w kapelanii, czyli domku naszego kapelana, widywano go krążącego po parku z brewiarzem w ręku, niekiedy odprawiał też mszę w naszej kaplicy i pewnego dnia zniknął równie niepostrzeżenie, jak się pojawił.

Przybyły nam natomiast – w grupie średnich i najstarszych – dwie nowe koleżanki: śmigłe, smukłe, ciemnookie, o długich, za pas spływających warkoczach: Hanka i Wanda. Też w tym samym czasie, czyli w drugiej połowie lat trzydziestych, i też „stamtąd” – nie z *Sołówek* wprawdzie, lecz z tej dziwnej krainy, o której wspominało się niejasno i niechętnie, półszepem najczęściej, a którą określano mało zrozumiałym terminem: bolszewia.

Przed „czerwonym niebezpieczeństwem”, „bolszewicką zarazą” czy wreszcie najprościej – groźną „żydokomuną” ostrzegały już wówczas wprawdzie przeliczne gazety (jak było z radiem, trudno ustalić, gdyż z wyjątkiem chopinowskich recitali – w środy o dziewiątej wieczorem, gdzie wykonawcami byli przeważnie Henryk Sztompka lub Stanisław Szpinalski – nie słuchałyśmy go nigdy prawie). Narastała jednocześnie i wzbierała coraz groźniej fala antysemityzmu: haniebne getto ławkowe na uniwersytecie, falangowskie bojówki z kijami, żyletkami i kastetami, masakrujące studentów Żydów (a częściej jeszcze – bo słabsze – studentki). Szerzono hasła i haselka pełne zakamuflowanej lub bezpośredniej, rasowej nienawiści: „Żydzi na Madagaskar!”, „Swój do swego po swoje!” albo wręcz imperatyw: „Nie kupuj u Żyda!”. W owocarniach i malutkich sklepikach spożywczych pojawiły się nad beczkami śledzi i kiszzonej kapusty odpustowe obrazki z Matką Boską karmiącą Dzieciątka i – koniecznie, ale to koniecznie! – zapaloną przed nimi małą, czerwoną lampką, na znak, że właściciel jest prawym katolikiem. Niestety, kler, zwłaszcza niższy, żywo uczestniczył w całej tej haniebnej kampanii, czemu też z kolei dziwić się trud-



no, skoro rej w niej wodził niezmiernie popularny – i chyba najtańszy z podówczas istniejących – dziennik, wydawany i redagowany przez podstołecznych zakonników.

Antysemityzm, szczęśliwie, za mury nasze nie dotarł, niemniej szczone ideały, na których opierała się dotychczasowa nasza edukacja, jęły się chybotać. Kluczowym tedy hasłem (zamiast popularniejszej „żydomasonerii”) stała się „komunomasoneria”, pojemnie mieszcząc w sobie pojęcia obu najbardziej wrogich a niebezpiecznych sił. W tym też czasie urozmaicano nam cotygodniowe, najbardziej nielubiane godziny naprawek, czyli cerowania pończoch i innego nudziarstwa z igłą w rękę, lekturą spaśnego jakiegoś powieścidła, którego tytułu ni autora w pamięci zatrzymać się nie udało (a też i nie było warto). Opisane tam niecne praktyki międzynarodowe masoneryjnej mafii były, zaiste, krew w żyłach mrozące, lecz tak bombastycznie, a przy tym niezdarne zrelacjonowane, że nawet nasze niedoświadczone, lecz już przecież bystro krytyczne umysły przyjmowały je co najmniej z głębokim niedowierzaniem.

Od przybyłych z groźnej bolszewii siostr S. dowiedziałyśmy się zresztą znacznie mniej niż od kruchoptasiego starego księdza. Milkliwe były z natury, choć pilne bardzo i gdy tylko pokonały gramatyczno-ortograficzne zawilości i wyzbyły się – choć nie całkiem – nazbyt rozlewnie śpiewnego akcentu, okazały się jednymi z najlepszych uczennic. Na wszelkie jednak konkretne pytania, jak „tam” naprawdę jest, odpowiadały zgodnie albo krótkim „Strasznie!”, albo potrząsały głowami na znak, że żadnych bliższych szczegółów podać nie chcą, czy też nie mogą. Młodsza, Hanka, po dwóch dopiero latach zwierzyła w sekrecie najbliższej swej przyjaciółce historię dziewczynki, którą szkolni koledzy „dla zabawy” wepchnęli do dołu kloacznego, dodając ponadto, że starsze uczennice były jeszcze bardziej zagrożone. Na czym jednak to szczególne zagrożenie polegało, powiedzieć nie chciała za nic.

Z tych przelotnych, mglistych i krótkich zetknięć z realnie i jakże niedaleko istniejącym światem pozostała nam odtąd tylko powtarzana codziennie, po zakończeniu wieczornych pacierzy w mrocznej kaplicy, trzykrotna chóralna inwokacja: „Zbawicielu świata – zbaw Rosję!”.



Rok 1935 był tym, który od razu i nieodwołalnie zamknął nie tylko moje dzieciństwo, ale i sporą część wczesnej młodości. Nie dlatego, że

umarł wtedy Piłsudski (o tym była już mowa: dla nas, za życia jeszcze, był postacią historyczno-legendarną. I wydawał się nam niewyobrażalnie, biblijnie wręcz stary). Ale i nie dlatego, że w tym roku wprowadzono w życie znacznie bardziej nas obchodzące i dotyczące reformy szkolnictwa (pod przewodnictwem administrujących wówczas tym resortem braci Jędrzejewiczów) małą maturę, na dwa lata przed prawdziwą, czyli dużą, dającą prawo do studiów wyższych. Nowe podręczniki historii i literatury dla szkół średnich, które – z racji nieśmiertelnego polskiego „nie do” – docierały do nas zazwyczaj dopiero w połowie roku szkolnego, zmuszały nauczycieli i uczniów do improwizacyjnego przedstawiania się na akademicki system wykładów i notatek. Reforma ta łączyła się ponadto ze szczególnym naciskiem położonym na pewne przedmioty nauczania – ale o tym za chwilę – i z niebyle jakim wydatkiem dla rodziców, wynikającym z wprowadzenia jednolitych, szkolnych mundurków i tarcz. Gdy po raz pierwszy – po zakupach dokonanych w jedynym podówczas w stolicy domu towarowym braci Jabłkowskich przy Brackiej – pojawiłam się w nowym stroju w domu – Ojciec (od dawna już nienazywany Pumem!) przyjrzał mi się bez aprobaty i zawyrokował: – Wyglądasz jak „sałaciarz” (czyli doróżkarz warszawski). – I doprawdy: workowata, granatowa bluza, spięta pod szyją i u mankietów (z jasnoniebieskimi dla młodszych i ciemnoczerwonymi dla dwóch klas najstarszych wypustkami – tarcze, z numerem szkoły, obwiedzione srebrnym galonikiem miały odpowiedniej barwy tło) na srebrnopołykliwie, blaszane guziki, z najzgrabniejszej dziewczyny robiła kulfoniastą pokrakę. Wspomagała ją w tym dzielnie również granatowa, w grube fałdy układana, spódnica. Ale werdykt przyjąłam wzruszeniem ramion („czy ja to wymyśliłam?!”) z całkowitą prawie obojętnością – bo nie były to jeszcze lata, w których nadmiernie dbaliśmy o stroje.

Powód główny był inny i – po raz pierwszy w świadomym życiu – polityczny: oto potężne (jak się przynajmniej wówczas wydawało) Włochy napadły małą, afrykańską Abisynię. Drobny, czarny, wąsaty i mężny *negus negestki* (nie wiedziałyśmy jeszcze wówczas, że tytuł ten znaczy: król królów i z pewnością wydałoby się to nam niesłychanym bluźnierstwem) Hajle Sellasje na próżno usiłował obrony. Równie daremnie apelował do Ligi Narodów – przez weredyczkę, panią Fełę, już wtedy dudniącym basem nazywaną Ligą Gadułów – proroczy przepowiadając, że zagłada jego kraju ogarnie z czasem i wiele innych. Huczało radio, papierowo szeleściły gazety, zachłystując się obłudnym współczuciem. A w istocie nikt ani palcem nie kiwnął: Euro-

pa miała własne, coraz to większe kłopoty; Anglia nadal chroniła się w swą *splendid isolation*, Ameryki zaś tak drobny incydent w tak niepojęcie odległym kraiku w ogóle nie interesował.

A przecież – uczono nas, że „nigdy silniejszy na słabszego”, wpajano nam tak głęboką wiarę we wszechmoc, miłosierdzie i sprawiedliwość Boga („Mnie pomsta – ja oddam – mówi Pan”) – i cóż się oto nagle dzieje?

Były to jednak dopiero początki. Bo już rok następny, 1936, rozgorzał hiszpańską wojną domową, wobec której nikt z myślących młodych nie mógł pozostać obojętny. Chaos pojęciowy stawał się coraz większy, bo z pomocą generałowi Franco spieszyły ciężkie, niemieckie bombowce (a przecież Niemcy – zgodnie z traktatem wersalskim – miały w ogóle nie posiadać lotnictwa!), a bohaterskich republikanów wspierali najoczywiściej Sowietzi i fakt, że brat lub kuzyn niejednej z naszych koleżanek niespodziewanie przedzierał się jednak na hiszpańskiego ochotnika wywoływał burzliwe, w nieskończoność ciągnące się dyskusje.

Wtedy chyba, wstrząśnięta i rozgoryczona, napisałam ów krótki czterowiersz, który dopiero po wielu dziesiątkach lat, teraz, mogę ujawnić:

*Papłą dorośli – jak dzieci –  
Mamłą bezzębne dziady –  
A świat i tak się rozleci –  
I tyle całej parady!*

Niewielu już lat brakowało, by spełniło się to nieopatrzne proroctwo.

1935 rok zaowocował ponadto w Polsce jeszcze wprowadzeniem nowej Konstytucji, gorszej ponoć znacznie pod wieloma względami od poprzedniej, ale i to o tyle tylko wpływ na nas bezpośredni miało, że trzeba było na gwałt (małą maturę zdawać miałyśmy już za rok) wykuwać mnóstwo jej punktów czy paragrafów, bo rzecz jasna po wprowadzeniu tak podstawowej innowacji bez pytań o nią nie obejdzie się – niestety – na egzaminie.

Stan naszych, od najwcześniejszych lat do odpowiedzialności urabianych sumień – przy czym z wpółdziecinną jeszcze zaciekłością traktowałyśmy ową odpowiedzialność najzupełniej serio, nie nazbyt odróżniając jej stopnie: od odpowiedzialnego odrobienia lekcji (ale tam można było przynajmniej co nieco ściągnąć lub zdać się na pod-



*... po zakupach dokonanych w jedynej  
podówczas w stolicy domu towarowym  
braci Jabłkowskich przy Brackiej...*



*Miasto tymczasem z roku na rok gęściej pokrywa ohydna wysypka czerwonych płacht, pośrodku ozdobionych białym kołem i czarnymi łamańcami swastyk.*

powiadanie!) – po najdosłowniej pojmowaną odpowiedzialność – naszą osobistą, pojedynczą – za losy oszalałego nagle świata. Stan więc zdumienia i zamętu był – zwłaszcza dla nas samych – niepojęty. Nie wszystkie, oczywiście, pogrążyły się w tym szalonym wirze. Co bardziej bez troskie i na sprawy publiczne obojętne nadal zbierały fotki gwiazd ekranu, nuciły modne szlagiery, plotkowały zajadle i wzdychały gorąco do dnia, gdy wreszcie paradować będą mogły swobodnie w prawdziwie jedwabnych kryształkach, zamiast uprzykrzonych, grubych a połyskliwych pończoch fildekosowych.

Ale przerażone gorączkową egzaltacją kilku swych podopiecznych, błękitne nasze wychowawczynie wpadły na pomysł dobry: pewnego dnia pojawił się w klasztornych murach chudy a tykowały zakonnik – benedyktyn (wspaniały Pere Van Oost!) w trzepoczącej wokół ramion czarnej pelerynce, z racji której natychmiast nazwany został nietoperzem. Nie tylko zdołał w rozważnych i spokojnych słowach uśmierzyć nasze podniecenie, ale ponadto pięknie wyuczył nas *a capella* liturgicznych śpiewów gregoriańskich, co też nas rozpogodziło. Ponieważ przyjeżdżał regularnie, kilka najstarszych uczennic, a nawet średniaczek, zaczęło się u niego spowiadać, a nawet odbywać osobne, długie nieraz bardzo rozmowy. Nadszedł już bowiem czas katolicyzmu nowoczesnego i oświeconego: nieobcy nam był neotomizm, poniekąd chciwie czytały Maritaina. Francuską modłą pozostała też konieczność posiadania *un directeur de conscience* – czyli nie tylko spowiednika, lecz duchowego kierownika, który by indywidualnie, a umiejętnie kierował naszymi krokami po „ścieżkach Pańskich”. Ale cóż, nie samą tylko strawą duchową żyje – zwłaszcza dorastający – człowiek.

I nie takim znowu idealnie odludnym elizjum była ta nasza szkoła. Zgodnie z ostatnią reformą wprowadzono do niej przedmiot: „zagadnienia życia współczesnego”, polegający głównie na prasówkach, czyli streszczaniu własnymi słowami starannie uprzednio dobranych artykułów z codziennej prasy. Umacniać miały w nas one patriotyczny zapał i najgłębsze przekonanie, że jest dobrze, a będzie jeszcze lepiej. Bo przecież oto magistrała kolejowa po śląski węgiel, oto – pod niezapomnianym i istotnie jedynym w swoim rodzaju kierownictwem Eugeniusza Kwiatkowskiego – rośnie i buduje się Gdynia, miasto i port, oto powstawać zaczyna prężny COP (Centralny Okręg Przemysłowy). A niemałe już przecież sukcesy naszej spółdzielczości? (O niezapomniane w smaku, jedwabiące chłodne mleko z AGRIL-u i aromat świeżutkich, gęsto kminkiem obsypanych kulek białego sera, czyli – tak, tak – gomulek!).

Ale nie na darmo ostrzono nam myśli, nie na próżno obciążano od najmłodszych lat surowo – bo wobec Boga i ludzi – ciężarem odpowiedzialności. Wiedziałyśmy, widziały i rozumiały więcej, niż można było wyczytać z gładkich, gazetowych frazesów. Wielkim głosem krzyczała wreszcie o realizację reforma rolna – co do tego zgodne były nawet panny z zamożnych ziemiańskich czy arystokratycznych rodzin. Równie pilnym, a ciągle jeszcze nie do końca doprowadzonym, problemem była unifikacja prawa – jakże pstrokacie różnego w trzech różnych zaborach. A co robić z piszczącą, głodną biedą Polski B, gdzie wyżywić się można było dosłownie za grosze, ale i tych groszy niestannie brakowało. A co z narastającą, nie tylko w antysemickich hasłkach, falą szczerej sympatii do mocarstwowego totalitaryzmu? Może jeszcze nie do tego sąsiedzkiego, w Niemczech, ale dalszego – i antyczną świetnością znakomicie udrapowanego – włoskiego (jakże niewinnie i radośnie brzmiała jego *Giovinezza, giovinezza...*<sup>1</sup>).

Z Hitlera tymczasem pokpiwano. („Ten wąsik, ach, ten wąsik!“). Stanowił niewyczerpane źródło coraz to nowych tematów dla kabaretów, satyryków i karykaturzystów. A jakimi zabawnymi hasłkami szermował: *Kanonen statt Butter!* („Armat zamiast masła!“). I gnębił lud niemiecki twardym wymogiem oszczędzania: raz w tygodniu w każdym domu trzeba było jeść tylko danie jednogarnkowe, a jeden dzień był bezmięsny. U nas, Bogu dzięki, żółciutkiego masła było w bród, a strawa codzienna w co najmniej trzech garnkach (patelni nie licząc!) perkotała. A te armaty? W razie czego (ale czegoż by?) i nasze nie najgorsze. I sumiennie – od dzieci w szkole po samych panów ministrów – opłacamy miesięczne składki na FON (Fundusz Obrony Narodowej). A nasze wojsko? Duma, chluba i potęga narodu!!! Mocarstwowieliśmy z roku na rok. Już powstała Liga Morska i Kolonialna. Bo niby dlaczego nie mielibyśmy się doczekać własnych kolonii? Takie to snuły się onymi laty łapczywe sny o potędze, pokrzepiane modną – choć nieco później – śpiewanką, z której dowodnie wynikało, że „nikt nam nie robi nic“, dlatego że jest z nami „marszałek Śmigły Rydz“.



– Na moją komendę: hufiec ba-a-a-cz-ność.

– Spocznij!

Stoję na boisku i wydzieram się jak stare prześcieradło. Wrzeszczę

-----  
<sup>1</sup> *Giovinezza...* - (wł.) O młodości, o młodości... (Początek oficjalnego hymnu włoskiej partii faszystowskiej.)

w niebogłósy, a w środku cała się skręcam z upokorzenia i potwornego wstydu. Wywinęłam się wprawdzie – acz z niemałym trudem – od lekcji ćwiczeń cielesnych, czyli po prostu gimnastyki, gdzie zawsze miałam poczucie przeistoczenia w wyjątkowo niezgrabną małpę, ni w ząb nieumiejąca powtarzać nakazanych skoków, skłonów i wygibasów. Ale z tego zajęcia szkolnego określanego zwięźle a dobitnie jako p.w., czyli przysposobienie wojskowe, już się nie wywinę – na to nie ma sposobu! Tu sięgnęła bezpośrednio po każdego i każdą z nas żelazna łapa p a ń s t w a: dla niego te łamańce musztry, ćwiczebne strzelania, nocne alarmy, dławienie się w maskach gazowych – dla niego mamy ginąć!

Nauczono nas myśleć i oceniać: na matematyce, logice, etyce, religii. Ważyć i wartościować przeróżne racje – na lekcjach literatury, historii, propedeutyki filozofii. Całymi latami wbijano nam do głowy szczytne i wysokie posłannictwo w myśl – a choćby i samego Żeromskiego: „Człowiek jest to rzecz święta, której nigdy nikomu nie wolno krzywdzić!”. I jako żon, matek, a nie na ostatku Polek, obowiązkiem naszym jest – z boską pomocą – wcielanie w życie wszystkich tych ideałów. A teraz?

A teraz zapachniało prochem. Zwyczajnie. Ostro i niebezpiecznie blisko. I dwa razy w tygodniu zespolone w jakiś marny hufiec, bo na przyzwoity oddział było nas przymało (do matury dotarło dziewięć zaledwie!), pędzimy na zbiórki, salutujemy do szkolnych, granatowych beretów, ćwiczymy wszelkie „w lewo zwrot” czy „lotnik kryj się!”, maszerujemy karnie, wyśpiewując:

*Wojenko, wojenko  
Cóżes ty za pani,  
Że za tobą idą,  
Że za tobą idą  
Chłopcy malowani...*

No, nie tylko „chłopcy” – ale i taka, na przykład „dziewica bohater”, Emilia Plater.

Kolejne obejmowanie komendy (instruktorka tylko czuwała nad całością i korygowała błędy) każdą z nas zmuszało do kaprałskiego powrzaskiwania na inne i tyłania ich w kurzu boiska. Aż wierzyć się nie chce, że we wspomnieniach ludzi z tych wszystkich „roczników niepodległości” pamięć o owym doprawdy pospolitym ruszeniu szkolnej młodzieży całkiem jakby wygasła. Nic, tylko idylla: „Warszawa



w kwiatkach”, psie figle w szkole, wesołe pluski i nawoływania na pływakim basenie Legii. Wątpię, by tylko niektóre z nas z tak głębokim wstrętem i wstydem ów nagły żołnierski dryl przeżywały. Choć większość zapewne zaliczała i te zajęcia do ogólnoszkolnego przymusu, nie zastanawiając się nad ich celowością ani – tym bardziej – przydatnością.

Służba sanitarna – to dawało się jeszcze zrozumieć i nawet zaakceptować. Na wrywki recytowałyśmy więc rodzaje ran – kłutych, ciętych, szarpanych itd., bandażowały całe kończyny w misterne gałązki lub owijały głowy znacznie już trudniejszym czepcem Hipokratesa. Uczyliśmy się tamowania krwotoków, noszenia rannych, zakładania prowizorycznych, polowych opatrunków, dezynfekcji i dezynsekcji (z kamienną powagą wymieniać zwłaszcza należało cechy odróżniające wszy pospolite od wszy łonowych).

Z gazami było znacznie gorzej i trudniej – samym opisem dławiły nas już te wszystkie fosgeny i inne iperyty. A wejście do ćwiczebnej – ponoć tylko pozorowanej – komory gazowej i sprawne, szybkie wymienienie tamże okrągłego węglowego pochłaniacza w masce szczelnie, całą swą gumą przylegającej do spoconej twarzy – było emocją przykrą wielce. I niepodobne do ludzi – raczej już do jakichś stworów z piekła rodem – przyglądałyśmy się sobie bacznie a nieufnie przez oszklone, okrągłe jej otwory. (Że tych masek w istocie by dla ludności nie starczyło – oczywiście nikt nam nie mówił, ani też powstało komukolwiek w głowie pouczać nas o szczególnych cechach i zaletach istniejącego podówczas już z pewnością cyklonu B).

Dwa razy w miesiącu jawił się przysadzisty a kaczonogi pan kapral Dąbek i na modelu francuskiego rkm-u z lat wielce zamierzchłych „uczył panienków, co to jest karabin, z czego się składa i jak trzeba strzelać”. Leżąc na szarym, wypłowiłym kocu, który Pam dla fantazji obrebiła niegdyś naiwnie różowym kordonkiem, mierzyłam do czarno-białej tarczy, pudłując z przekonaniem a niemiłosiernie. Potężny siniak, jaki w zamian kolba karabinowa zostawiała na moim ramieniu długo nie blakł. A kapral Dąbek, gdy po dłuższym namyśle doszedł do wniosku, że „ta panna to chyba źle na oczy widzi”..., do dalszych wyczynów strzeleckich już mnie nie zachęcał.

Wśród bogatego repertuaru, głównie legionowych przyśpiewek, które na komendę: – Hufiec – śpiewa! – musiałyśmy koniecznie głośno, w takt i we wszystkich kolejnych zwrotkach wykonywać, znalazła się przecież jedna, odbiegająca nieco od obowiązującej normy *dul-*

*ce et decorum est pro patria mori*<sup>1</sup> – i dlatego właśnie, choć z pewnością nie z racji literackich jej walorów, warto tekst ten w całości tu przytoczyć:

*Świat cały śpi spokojnie  
I wcale o tym nie wie,  
Że nie jest tak na wojnie,  
Jak jest w żołnierskim śpiewie.*

*Wojenka cudna pani  
Żołnierzy swych nie pieści,  
Jak kulą w pierś nie zrani,  
To zgubi gdzieś bez wieści.*

*A my tej cudnej pani  
Co rani w pierś obficie,  
Jesteśmy ślubowani  
Na śmierć, na całe życie.*

Sanitarno-wojskowe przeszkolenie zakończone było egzaminacyjnym kursem w powiatowym szpitalu w S. Niezmiernie stremowana wkroczyłam w jego progi, ale oddziałowa, przepytawszy mnie z grubszą z nabytych umiejętności, wepchnęła mi w obie ręce stertę świeżo upranych pieluch i zawyrokowała całkiem słusznie: – Na początek proszę pójść na salę niemowląt, tam pani pokażą, jak przewijać!

Czułam się nieco nieswojo, ale nabyta wówczas umiejętność miała mi się po latach przydać znacznie konkretniej niż znajomość różnic pomiędzy fosgenem a iperytem.



Kręcą mi w głowie, aż i ja głową kręcę: jak to było z tym Miastem? I – jak to właśnie jest?

– Ile sam wiem, tyle ci powiem – mówi Ojciec. – Było różnie. I jest. Bo w takim miejscu to Miasto, że zawsze mu trudno. A poza tym – Miasto, nie człowiek i w największym zamęcie, a choćby wojennym, nigdzie nie ucieknie.

Na tym skrawku ziemi początkowo ponoć siedzieli Germanie. Wywędrowali później dalej, na południe, Goci na ostatku. Od wschodu

-----  
<sup>1</sup> *dulce et decorum...* – (łac.) słodko i zaszczytnie jest umrzeć za ojczyznę (Horacy).

ruszyli wtedy w tę stronę Słowianie i Bałtowie. I Słowianie – Pomoranie ich nazywają Niemcy, ale chyba to żaden odpowiednik naszych Pomorzan – osiedlają się u ujścia Wisły. Słowianie – nie Polacy. Gdzieś około 1000 roku po raz pierwszy wymieniona zostaje nazwa Miasta – Gyddanyzc – chyba jakoś tak, jako siedziba tego pomorańskiego – czy jak go określić – księcia, który jął tu ściągać niemieckich kupców, rzemieślników i chłopów.

– Jak Konrad Mazowiecki do nas Krzyżaków?

– Coś w tym rodzaju. Klasztor w Oliwie (wiesz, te sławne organy, na których teraz tylko raz do roku w Zielone Świąta grają, bo inaczej by się od wibracji mury zawaliły) założono już w XII wieku, a prawa miejskie nadano nam w sto lat później. I jeszcze po niecałym stuleciu rozszerzono (Kulmisches Recht). Miasto miało więc jurysdykcję niemiecką, ale zapewnioną samorządność i własną też pieczęć.

– A kto w nim mieszkał?

– Różni w różnych czasach mieszkali. Skandynawowie i Francuzi, Niemcy i Polacy, ludzie z Północy i Wschodu. A gdy się ujawniała sprzeczność ich interesów gospodarczych, politycznych, a – bywało – jednych i drugich, niezależność Miasta zawsze była zagrożona. I Miasto nieodmiennie jej – a zjadle – broniło.

Tak było już wtedy, gdy wygasła linia potomków owego księcia, co to Niemców sprowadził. Po Miasto – łakomy wtedy już, bogaty kąsek – wyciągała ręce Brandenburgia i Polska, a też i Niemiecki Zakon Rycerski, bo tak *pleno titulo*<sup>1</sup> (*der Deutsche Ritterorden*) nazywali się potężni wówczas Krzyżacy. I choć Miasto skłaniało się raczej ku Brandenburgii, ulec musiało Zakonowi. Ale na dogodnych warunkach, bo rada miejska prowadzić mogła samodzielną politykę, a w 1361 roku – koniecznie tę datę zapamiętaj! – przyłączyła Miasto do Hanzy. Hanza – wiesz przecież – związek wielkich, handlowo-portowych miast.

– Wiem: Lubeka i Hamburg, i Brema, ale też przecież i Kraków, i chyba nawet Kalisz, i...

– No właśnie. Ale wskutek tego musiało Miasto – na zasadzie hanzeatyckiej solidarności – wspierać ów związek w wojnie z królem duńskim, Waldemarem, jaka wkrótce potem wybuchła.

– A Grunwald? 1410? Wtedy przecież Krzyżacy...

– Przez Polskę zostali rozgromieni. Runęła cała ich dawna świetność i potęga. Toteż tak z politycznych, jak i gospodarczych względów – bo o własnych siłach przetrwać by nie zdołało – uznało Miasto wówczas króla polskiego za swego patrona. Tylko wcielić się do Polski uparcie

-----  
<sup>1</sup> *pleno titulo* – (łac.) z zachowaniem należnych tytułów.

nie dało, zachowując nadal swoje prawa, samodzielnie się rządząc, czerwonym – a więc wyłącznie dla panujących przeznaczonym – woskiem dokumenty swoje pieczętując i według uznania rady przyjmując nowych obywateli. Król polski otrzymywał wprawdzie doroczną daninę, mógł też jednego z rajców miejskich mianować swoim burgrabią. Ale pałacu ani stajen królewskich nie wybudowano, aby nikomu w głowie ani myśl nie powstała, że w Mieście jest rezydencja królewska.

– Rogate Miasto. Ale przecież Kaplica Królewska jest?

– I owszem. Ale kiedy Batory sprzeciwiał się tym układom i zaczął Miasto oblegać (1577), zęby sobie połamał na oporze obywateli i odszedł z niczym. Nie on jeden. Podczas wojny trzydziestoletniej flota szwedzkiego Gustawa Adolfa usiłowała zablokować Miastu port, ale poniosła tak sromotną klęskę, że oblężenia nawet już nie próbowała.

– A po rozbiorach Polski?

– Źle było z Miastem. Osaczone ze wszystkich stron przez Prusy, tracić zaczęło swą samodzielność w każdej dziedzinie. Toteż poddało się ich władzy w 1793 roku. Nie na długo zresztą, bo już po pokoju tylicyńskim (1807) musiały Prusy, pokonane przez Napoleona, z Miasta zrezygnować. Początkowo ogłosiły je stolicą Prus Zachodnich, ale przywróciły mu pełną samodzielność. I znowu rozkwitło. I znowu różnojęzyczny gwar wypełnił jego ulice i zaułki.

– A po wielkiej wojnie?

– Cóż, gdy skończyła się wojna światowa, Polska odzyskała niepodległość i jęła gwałtownie domagać się dostępu do morza i świetnie już prosperującego przy nim portu, czyli – Miasta. Argumentowano, że ponoć odwiecznie było polskie. A z nim było różnie. I w istocie – od stuleci – było tylko samo swoje. No i hanzeatyckie. Liga Narodów wybrnęła więc z tego dylematu, ogłaszając Miasto – Wolnym Miastem. Wzięła je pod swoje skrzydła – rezyduje u nas jej Wysoki Komisarz, choć Polska też ma w Mieście znaczne prawa.

– Wiem: Komisarza RP i gimnazjum, pocztę własną i Westerplatte, i...

– Pocztę to mamy także i swoją. Swoje pieniądze. Swoje sądownictwo. I swoje władze: Senat miejski, czyli coś w rodzaju własnego parlamentu, z którym coraz więcej kłopotów, bo znów chmurzy się i kłutuje w tej całej polityce.

– No i obywatelstwo własne też mamy.

– Słusznie: gratuluję świeżo upieczonej obywatelce Wolnego Miasta!

Przed kilku dniami bowiem złożyłam w dzielnicowym komisariacie wymagane trzy fotografie (brrr – a tak nie znoszę się fotografować –

ale z takiej okazji!), wypełniłam trzy czy cztery linijki urzędowego formularza, uiściłam drobną opłatę – po czym bez dalszych ceregieli wręczono mi nowiutki, spory, w jasnobrązową tekturę oprawiony (z herbem Miasta wyciśniętym na okładce) pierwszy mój paszport. Ważny był na lat pięć i mogłam z nim swobodnie (Liga Narodów) jeździć po całej Europie. Wiza potrzebna była tylko na wypadek podróży do Ameryki, ale na nią na razie się nie zanosilo.

Poczułam się bardzo dorosła i dumna, schowałam ów cenny dokument do torebki i radośnie wyszłam na wesołą, rojną i zieloną ulicę Miasta.

Nie miałam nawet szesnastu lat.



### *Deutsche Männer und deutsche Frauen!*<sup>1</sup>

Sugestywny, mocny, u dobrych przecież aktorów wyszkolony, męski głos, zwielokrotniony jeszcze rozstawionymi gęsto na rojnym od tłumy placu gigantofonami. Ale ja słucham go przez wielki aparat radiowy Telefunken z zielonym, połyskującym, magicznym oczkiem: najnowszy cud ówczesnej techniki.

Padają zdania krótkie i zwarte. Powracają – tak często wówczas już czytane i słyszane słowa-klucze: siła, wierność i jedność narodowej wspólnoty, pangermańska potęga, wspomagana łaską Bożej Opatrzności (*der göttlichen Vorsehung*), młodzież – nadzieją i przyszłością tego niemieckiego narodu, któremu oto brak coraz bardziej życiowej przestrzeni (*Lebensraum*), tak niecznie zdradzonego po ostatniej wielkiej wojnie, któremu haniebny traktat wersalski zadał zdradziecki cios nożem w plecy. Wszystkich sił (znowu: sił) dołożyć trzeba, by ów stan rzeczy odmienić, by Niemcy jak najszybciej odzyskały dawną świetność i należne im poczesne miejsce pośród narodów świata...

– *Sieg Heil!* – wyje rozgorączkowany tłum. I potem – już nieledwie skandując – ogromniejąca fala wrzasku powraca rytmicznie: – *Sieg Heil! Sieg Heil! Sieg He-e-e-il!!!*

Mówi Hitler. Nie pamiętam już, czy na którymś z licznych Parteitagów w Norymberdze, czy z okazji imponujących – jak na ówczesne czasy – z niebywałym rozmachem urządzonych Igrzysk Olimpijskich w Berlinie – latem 1936 roku.

Domownicy z politowaniem kiwają głowami:

– Nie szkoda ci to czasu? Przecież on zawsze tylko i w kółko o jed-

-----  
<sup>1</sup> *Deutsche Männer...* – (niem.) Niemieccy mężczyźni i niemieckie kobiety!

nym: Wielka Rzesza Niemiecka (która już wkrótce przechrzczona miała zostać na Tysiącletnią – *das Tausendjährige Reich*).

Nie. Nie szkoda. Uparcie i ze wszystkich sił próbuję dociec, co się stało, co się dzieje z oszalałym nagle światem, z Niemcami – otaczającymi nas tu ze wszystkich stron i z samym Miastem.

Doskakuje tu przecież tylko – krótko, wyrywkowo. Na dwie małe przerwy ferii świątecznych – no i co prawda na coroczne, dwumiesięczne wielkie wakacje letnie, ale lwią ich część zawsze spędzamy z dala od Miasta. Resztę czasu nie tu jestem, przez pozostałe miesiące zamieniam się w mola książkowego, ryję nosem w podręcznikach astronomii czy trygonometrii, wertuję tablice logarytmiczne, szlifuję jakieś zawsze jeszcze niepewne, dwa albo cztery takty mego kolejnego Czerneho, Bacha czy Mozarta, gardłuję na zebraniach szkolnego samorządu.

Miasto tymczasem z roku na rok gęściej pokrywa ohydna wysypka czerwonych płacht, pośrodku ozdobionych białym kołem i czarnymi łamańcami swastyk. Czarno-biało-czerwone zwykłe flagi niemieckie też nieraz wśród nich trzepoczą, ale z każdym rokiem ich mniej. Ulicami coraz częściej – przy dziarskim warkocie werbli – maszeruje HJ (Hitlerjugend, czyli zorganizowana młodzież męska), BDM (Bund Deutscher Mädels, także – tylko żeńska) albo i rozradowane, najmłodsze, krótkospodenkowe jeszcze Pimpfy.

Po raz pierwszy objawili mi się – jak duchy – na kilka tygodni przed oficjalnym w 1933 roku objęciem władzy przez Hitlera. Wraciałam do domu przez Węglowy Targ wśród gęstej – a częściej o tej porze roku – wieczornej, jesiennie-zimowej, mleczonej mgły. Wynurzyli się z niej jak widma – widoczni ledwie w zarysach i tylko do połowy. W krągłych, garnkowatych (niczym wojskowe francuskie) czapkach z prostym daszkiem i brązowych bluzach, na skos przepasanych wąskim skórzanym paskiem koalicyjek – reszta ich twardo wybijających krok postaci ginęła w oparach mgielnych. Ale zarysy sztandaru, który nieśli, widać było dość wyraźnie i donośnie dźwięczał ich śpiew:

*Die Fahne hoch  
die Reihen dicht geschlossen  
SA marschieret  
mit ruhigem festem Schritt...<sup>1</sup>*

-----  
<sup>1</sup> *Die Fahne hoch...* – (niem.) W górę sztandary / zwarte szeregi / SA maszeruje / równym, twardym krokiem...

Wiedziałam już wtedy, że była to ich szczególnie ulubiona pieśń – *Horst Wessel-Lied* (że główny jej bohater, Horst Wessel, był sutenerem i zginął w jakiejś burdnie ulicznej – a nie w walce o moc i potęgę Tysiącletniej Rzeszy – dowiedziałam się znacznie później), awansowana niebawem do rangi drugiego, acz nieoficjalnego hymnu państwowego. Najdosłowniej szczękając zębami z przerażenia, z trudem do-  
wlokłam się do domu.

A co w tym wszystkim było tak przerażającego? Dziś, po upływie tylu i tak wiele wyjaśniających dziesiątków lat, przytrudno o jasną odpowiedź. Najpierw było w tym sporo niejasnych przeczuc nadciągającego niebezpieczeństwa, jakie miewają niektóre zwierzęta. Domownicy zbagatelizowali zresztą i złagodźli mój ówczesny szok.

Pokpiwano też i później jeszcze w Mieście:

– Aha, BDM, czyli *Bubi drück' mich!* („Przytul mnie, chłoptysiu!”)

– Pojechało dziewczę na *Pflichtjahr* (dosłownie „rok obowiązku”, który po ukończeniu szkoły, dorastające dziewczęta odbywały, pracując najczęściej u obcych i ucząc się w praktyce prowadzenia gospodarstwa domowego), a wróciło z nadobowiązkowym przychówkiem!

Albo – z powątpiewaniem w zalety nowego modelu popularnego już wówczas samochodu DKW, dekawki:

– Właśnie, *Das Krankenhaus wartet!* („Szpital czeka!”)

Ale płaskie to były żarty, powtarzane zresztą coraz rzadziej, tylko w najbardziej zaufanym gronie. Bo wzrastała rzesza tych, którzy w klapie ubrania – albo i przy sukience – nosili z coraz widoczniejszą dumą swastykową odznakę, ów *Parteigroschen*, zwany tak z racji wielkości, równej monecie 10-fenigowej, potocznie zwanej *ein Groschen*. I – zwłaszcza w co większych kamienicach lub blokach – pojawiali się nowi dozorczy, o bystro myszkujących oczach i czujnych uszach. I coraz częściej słyszało się o donosach, po których tego czy owego po prostu zabrano, choć niezbyt było jeszcze wiadomo, dokąd i na jak długo:

– Czyżby na Schießstange (miejskie więzienie)?

– Czyżby za § 175? (Sławetny ten paragraf, czego też wtedy jeszcze nie wiedziałam, groził więzieniem – później i obozem koncentracyjnym – homoseksualistom).

Policja z reguły w wypadkach nagłych zniknąć nic nie wiedziała, bo i wiedzieć nie mogła – wszystko odbywało się poza jej strefą działań. Ale plotki i pogłoski robiły swoje: zastraszeni ludzie woleli milczeć, a z czasem – choćby i dla świętego spokoju – zamiast normalnych słów powitania, pożegnania czy wyrazów szacunku – w zakończeniu listu powtarzać sakramentalne: *Heil Hitler!*



*I ruszaliśmy [...] zostawiając za sobą pokraczną sylwetkę dworca z czerwonej cegły w stylu, jak zwykliśmy podróżować, gotycko-prusko-pocztowym. Ozdobione było to to jeszcze mnóstwem nikomu niepotrzebnych wieżyczek, skrzydłato-alegorycznych figurek, a z boku opatrzone sążnistą jak słup wieżą z wbitymi tuż pod jej szczytem czterema ogromnymi tarczami zegarowymi, na których i największy niedoślep zawsze się dopatrzeć mógł aktualnej godziny – a też filuternie zdobionej strzelistymi, pomniejszonymi wieżyczkami.*





*Nelly Schröder de domo Thiel jest nie całkiem jeszcze bliską czterdziestki wdową. [...] gdyby parę jej malutkich, kształtnych uszek zaostrzyć nieco i umieścić po obu stronach czoła - miałyby wygląd tak najzupętniej koci, że usprawiedliwiłby w pełni nadane jej przez dziecko już przy pierwszym powitaniu na pół żartobliwe przezwisko: Frau Miaukatze!*

Pojemne *Heil* mieści w sobie wiele różnorodnych znaczeń: *Der Heiland* – to „Zbawiciel”, czyli Chrystus, a *Seelenheil* – to „zbawienie duszy”, czasownik *heilen* z kolei – znaczy zarówno „wyleczyć”, jak i „zagoić się”, np. *Heilanstalt* – „zakład leczniczy”, lecz jeśli dodać do niego jeszcze uprzednio *Nerven* – zamienia się niepostrzeżenie w bardzo już wówczas niebezpieczny „zakład dla nerwowo chorych”, czyli dom wariatów, których niewiele już lat później – zamiast leczyć – po prostu „likwidowano”, czyli mordowano. *Eine geheilte Wunde* to „zagojona rana”, *Ein Geheilter* – „człowiek wyleczony”, ozdrowieniec przywrócony zdrowiu. Wrzaskliwe *Heil* umieszczone tuż przed Hitlerem nie oznaczało jednak życzeń zbawienia czy ozdrowienia dla wódza narodu, było aktem strzelistym, oddającym mu cześć – bo i takie znaczenie słówko to mieć może. A wywodziło się zapewne z na wskroś niewinnej – pod koniec różnych *Schützenfestów*, czyli konkursów lokalnych bractw kurkowych, śpiewanej pieśni *Heil dir im Siegeskranz...*<sup>1</sup>, gdy najlepszy strzelec, nagrodzony sutym wieńcem z bobkowych liści, promieniał z racji odniesionego zwycięstwa.

Ale odzywały się też entuzjastyczne głosy. I z biegiem lat nawet ich przybywało.

– Ten mój chłopak trzy lata był bezrobotny – wywodził w kuchni stoczniowy cieśla Sielaf, który dla drobnych napraw niekiedy do nas zaglądał – a teraz ma wreszcie całkiem porządną pracę. Przy budowie dróg, ale zawsze!

Brzydka i niemłoda już panna Truda, ekspedientka w jednym z dwóch naszych sporych domów towarowych – nie wiem już, Freifelda czy Sternmanna – promieniała:

– Z naszej drużyny (*Gefolgschaft* neohitlerowski dziwołąg na oznaczenie załogi lub grona pracowników) tylko ja z koleżanką zostałyśmy wybrane na rejs statkiem, organizowany przez Siłę przez Radość (*Kraft durch Freude* – takimi właśnie akcjami zajmujące się hitlerowskie stowarzyszenie), po Morzu Śródziemnym. Aż mi się wierzyć nie chce! Czym to ja kiedy marzyć mogła o tym?!

Koścista i łykowata Greta natomiast, która się wysferzyła (takich określeń, choć coraz rzadziej, używano podówczas), bo z porządnej, urzędniczej rodziny za mąż poszła za nicponia i pijusa, który żadnej pracy imać się nie chciał, co dzień natomiast po powrocie z knajpy regularnie bijał ją i trzech swoich synków – Greta, która przychodziła do nas, by się wyzalić i zabrać jakieś sztuki pościeli czy bielizny wymaga-

-----  
<sup>1</sup> *Heil dir im Siegeskranz...* – (niem.) Cześć tobie, w wieńcu zwycięstwa... [Początek hymnu cesarskiego.]

jące reperacji (tym dorabiała), z wypiekami na policzkach relacjonowała:

– Pewno, że się zapisałam do tego Frauenschaftu! (hitlerowskiej organizacji kobiet). Zapomogę zaraz mi dali i dzieci obiecali na całe wakacje na kolonie wysłać. Tam nie mędrkują tyle co w Wohlfahricie (towarzystwo dobroczynności), tylko naprawdę pomagają. I to szybko!

Niech tam tysiące i setki zapisanych stron, uczonych rozpraw i dogłębnych analiz dowodzą, że gdyby nie ówczesna sytuacja w Republice Weimarskiej, gdyby nie senilizm bardzo już starego Hindenburga, gdyby nie poparcie przez wielki przemysł, Hitler nie doszedłby do władzy, a przynajmniej nie zdobyłby jej w tak szerokim zakresie i tak szybko.

Ale: *audiatur et altera pars*<sup>1</sup>. A ta „inna część” to nieprzeliczone tłumy pospolitych szarych ludzi, które przede wszystkim – i to ze wzrastającym entuzjazmem – za nim poszły. A wśród tych tłumów miliony, setki i tysiące bab, kobiet i dziewcząt. Eskalacja uwielbienia dla umiłowanego wodza z biegiem lat graniczyła z szaleństwem. Jak większość przywódców, zwłaszcza politycznych, samą swoją osobowością promieniował na tłumy, magnetyzował je i doprowadzał do histerycznej ekstazy. Choć ani przystojny, ani postawny. No cóż – od Nerona choćby licząc (a dlaczegoż by nie?) – fanatyczni wodzowie rzesz przeważnie byli „nikczemnej postury”. A czy zachwycony tłum ryczał na ich widok *Salve* czy *Ave*, czy *Evviva* (jak dla hiszpańskiego Caudilla lub włoskiego Duce), czy *Heil*<sup>2</sup>, czy też skandował w upojeniu tylko imię wielkiego Ojca Narodów – to już znaczenia nie miało. Znaczenie miały – tylko i jedynie – stwarzane podczas tych masówek sytuacje i nastroje. No i – w późniejszym już terminie – ich zawsze poniewczasie i zawsze bardzo gorzko opłakiwane skutki.

Nie. Historia na pewno nie jest, nie była i nigdy nie będzie *magistra vitae*<sup>3</sup>. Nie uczy ludzi niczego i nigdy nie nauczy. Inne zawołanie skutkuje tu nieodmiennie: *Panem et circenses*<sup>4</sup>. Rzymski ubogi plebs zatybrzański domagał się chleba i igrzysk i nie inaczej pragnęli i myśleli prostaczkowie w tych czy innych miejscach na ziemi, w tych czy innych stuleciach. I nie sądzicie, że to gruba symplifikacja: życiowa praktyka nieodmiennie taki właśnie stan rzeczy potwierdza.

Chleb przy tym niekoniecznie musi być chlebem – chodzi jedynie o zapewnienie jako tako wystarczającej, choćby i tylko do połowy peł-

-----  
<sup>1</sup> *audiatur et...* – (łac.) Niechaj będzie wysłuchana i druga strona.

<sup>2</sup> *Salve (...)* *Ave (...)* *Evviva (...)* *Heil* – Niech żyje.

<sup>3</sup> *magistra vitae* – (łac.) nauczycielka życia.

<sup>4</sup> *Panem et circenses* – (łac.) Chleba i igrzysk.

nej michy. A że trzeba się ograniczać? Podczas długich lat bezrobocia o ileż gorzej było!

A igrzyska? Też ich nie braknie. Młodzież jak nigdy dotąd może – a nawet musi – szaleć we wszystkich dziedzinach sportu. Są też wspomniane już taniutki rejsy i podróże dla ludzi pracy. Dla kobiet – zamiast pustego plotkowania – organizuje się kolorowe wieczory (*Bunte Abende*): trochę folkloru, parę bardzo ogranych dowcipów, trochę wspólnego śpiewania – niewymyślna rozrywka, ale zawsze. I każdy szary człowiek musi zostać wciągnięty do „wielkiej narodowej wspólnoty” (*die große Volksgemeinschaft*). Kobiety – oczywiście – także. Już pojawiają się – dla królic najbardziej płodnych (trzeba nam przecież dzieci i pięknej, zdrowej młodzieży) – Krzyże Macierzyństwa – *Mutterkreuze* – brązowe, srebrne i złote, wręczane nader uroczyście.

Mężczyźni też czują się teraz w pełni dowartościowani. Nikt im przecież nie każe rezygnować z ulubionych rozrywek – bilardu albo skata, którego w dobranym gronie i pociągając piwo z kufła, rozgrywa się przy specjalnie zarezerwowanym stole (*Stammtisch*) w zadytmionej, narożnej knajpce. Ale każdy z nich – gdy stał się już PG, czyli Parteigenosse, czyli towarzyszem partyjnym – dowodnie doświadcza korzyści takiego stanu rzeczy: tu podwyżka, tam awans, długoterminowa pożyczka, coraz szybsze posuwanie się wwyż po drabinie hierarchii partyjnej. Nawet po wsiach częściej widuje się żółtobrazowe mundury (sraczkowate – sztydzą jeszcze poniektórzy, choć oficjalnie określa się ten kolor jako musztardowy) i karnie maszerujące oddziały, które śpiewają coraz butniej: – *Die Straße frei den braunen Bataillonen / Die Straße frei dem Sturmabteilungsmann*.<sup>1</sup>

Złowrogie czarne i – przewidująco! – trupimi czaszkami na czapkach przyozdobione mundury SS nieczęsto jeszcze widywało się wtedy na ulicach.

Działa skutecznie także pomoc zimowa (*Winterhilfe*) przeznaczona dla najuboższych. Przyjęła ją za sąsiedzkim przykładem także i Polska, opatrując tę akcję sentymentalnym sloganem „Gorące serca zwalczą mróz”; choć raczej ślamazarnie toczyła się owa walka. W Mieście natomiast już od wczesnej jesieni na każdym rogu ulicy natrętnie potrzęsały metalowymi puszkami kwestarki – rzadziej kwestarze – powtarzające monotonna: – *Für die Winterhilfe, Winterhilfe...*<sup>2</sup>

I leciały do tych puszek groszaki, w zamian za które przypinano barwne, malutkie i wielce idylliczne znaczki: jednego roku kwiatki, następnego ptaszki, potem motylki.

<sup>1</sup> *Die Straße frei...* – (niem.) Wolna droga dla brunatnych batalionów / Wolna droga dla szturmowców.

<sup>2</sup> *Für die Winterhilfe...* – (niem.) Na pomoc dla ofiar zimy.

Krażyły jeszcze anegdotki, próbowano – jeszcze! – wykpiwać lansowane slogany i haselka, jak choćby: *Die deutsche Frau riecht nach sich selbst!* („Niemiecka kobieta pachnie tylko samą sobą!”) mające skutecznie przeciwdziałać nieprzystojnemu – dla germańskiej zdrowej jawłowicy czy krowy – nadużywaniu kosmetyków i pachnidła.

W zaufanym – ale tylko naprawdę zaufanym – gronie chętnie powtarzano historyjkę o wielce zaangażowanej w nowy ruch (*Bewegung*) rodzinie: najpierw wraca z pracy do domu ojciec, ale niebawem wychodzi, zostawiając na drzwiach kartkę z informacją: „Idę na zebranie partyjne”, pod tym zaferowana matka dopisuje: „A ja do NS-Frauenschaft”, po niej kolejno syn: „A ja do Hitlerjugend”, a w końcu córka: „A ja na wieczornicę BDM”. Złodzieje też przyszli, informacje przeczytali, mieszkanie obrobili do czysta i także złożyli na owej kartce swój autograf: *Wir danken unserem Führer!* („Dziękujemy naszemu Wodzowi!”).

Coraz mniej jednak tych przekpinek i dowcipów. Coraz bardziej milkliwi i bojaźliwi stają się ludzie. Lęk i nieufność dawno już przekroczyły progi ludzkich mieszkań, bo kto tam wie, co taki naiwny dzieciak gotów z domowych pogwarek powtórzyć nie tylko w szkole, ale przede wszystkim w swojej zaufanej szkoleniowej grupie najmłodszych chłopców, czyli Pimpfów, albo dziewczynek – Jungmädel – i jak katastrofalne skutki mogą z tego wyniknąć.

Na horyzoncie tymczasem zarysowują się coraz wyraźniej absolutnie niezbędne w tej walce (bo słownictwo paramilitarne czy wręcz otwarcie wojskowe zaczyna w życiu codziennym przeważać) postaci WROGA. W skali szerszej – i ideologicznej (choć nie tylko), i (na razie) raczej techniczno-szkoleniowej – wrogiem tym jest komunizm. W skali bliższej, dla każdego zrozumiałej, gdyż natrętnie, coraz ostrzej i brutalnie wbijanej do wszystkich głów – największy wróg całej postępowej ludzkości, a zwłaszcza już wspaniałej i szczegółnym, dziejowym posłannictwem obdarzonej rasy germańskiej – to Żyd.



– Pi-i-i-wo – lemoniada – papierosy...

To na peronie. Z małym naręczem prasy, kupionej przed chwilą w kiosku, wsiałam do wygodnego, bynajmniej nieprzepełnionego, czystego jak świeżo umyta szklanka wagonu drugiej klasy. Prowizoryczny, bo budowany i budowany, a nigdy do końca niedobudowany dworzec warszawski jest szkaradny, choć brzydota dworcowi Miasta

żaden nie dorówna. W drugiej połowie lat trzydziestych sama już, oczywiście, jadę na ferie do domu. Z 33-procentową zniżką na żółtą szkolną legitymację. Druga klasa o ławkach okrytych szarobrązowym, krótko strzyżonym welwetem, gdzie w każdym przedziale wisi biała, emaliowana tabliczka z wypukłymi, czarnymi rzędami liter, komunikującymi uprzejmie, że: „Zabrania się przewozić w wagonie broń nabita, materiały łatwopalne, żrące, cuchnące”... itd., a każde okno zaopatrzone ostrzeżeniem: „Nie wychylać się!”, które w późniejszych dziesiątkach lat nabrać miało o wiele bardziej głębokiego znaczenia, tymczasem jednak – powtórzone w kilku językach – utrwala w głowie nieporadne początki włoszczyzny: *è pericoloso sporgersi!*

Popołudniowy pociąg rusza, jak zwykle, punktualnie. I zaraz w korytarzu ukazuje się uprzejma panienka z tekturowym pudłem, pełnym nader higienicznie w celofanowych torebkach zamkniętych, czarnych słuchawek:

– Kto z państwa chce słuchać radia?

Płacę złotówkę, wydaję słuchawkowe chomąto z szeleszczącego opakowania. Włączam je w kontakt ścienny (jest taki przy każdym miejscu) i już mam szlagierowy akompaniament do podróźnej lektury: „Madame Lulu – ma szyk dessous”.

Do Miasta dotrę akurat na kolację. Ale przed tym będzie jeszcze jedna duża, szczególnie ulubiona stacja: Tczew. Tylko tam biegają po peronie chłopcy w nieskazitelnie białych kurtkach, wołając donośnie z twarrndym, pomorrskim akcentem: – Parrrówki! Parrrówki! – Na podłużnej, białej tekturowej tacce obok solidnego chlupka ostrej musztardy jest zawsze świeża, okrągła bułeczka – a na specjalne życzenie i za dopłatą – jeszcze porcja pysznej kartoflanej sałatki z drobnutko posiekany kiszonym ogórkiem – no i, rzecz jasna, spora papierowa serwetka. A soczyste, gorące parówki aż w zębach chrupią!

Pod półkolistym, brudnoszklanym, bo wiecznie zakopconym dymami lokomotyw sklepieniem rozlazło-przysadzistej dworcowej hali czekał mnie już nasz szofer, pan Franciszek, jedyny, z którym rozmawiało się po polsku, choć niemiecki znał także doskonale. Zabierał walizkę, a ja już siadałam na przednim, zwykle dla ojca zarezerwowanym miejscu ciężkiej, czarnej, połyskliwej, amerykańskiej limuzyny. I ruszaliśmy zaraz cicho i miękko, zostawiając za sobą pokraczną sylwetkę dworca z czerwonej cegły w stylu, jak zwykliśmy podrwiwać, gotycko-prusko-pocztowym. Ozdobione było to to jeszcze mnóstwem nikomu niepotrzebnych wieżyczek, skrzydłato-alegorycznych figurek, a z boku opatrzone sążnistą jak słupek wieżą z wbitymi tuż pod jej

szczytem czterema ogromnymi tarczami zegarowymi, na których i największy niedoślep zawsze się dopatrzeć mógł aktualnej godziny – a też filuternie zdobionej strzelistymi, pomniejszych wieżyczkami.

I zaraz była już Łasztownia, czyli obecna nasza ulica, zwana wtedy Lastadie<sup>1</sup>. Ponoć niegdyś była ulicą spichrzów, choć teraz przemieniła się w zwykłomiejską, rozległą i szarą, w niczym do Wyspy Spichrzów (przy Długim Moście – po drugiej stronie rzeki – niemal naprzeciw starego Żurawia istniejącą, a pełną spiczastodachych, wysokich budynków, białych z czarnymi belkami pruskiego muru) niepodobną. Tylko tyle, że tuż za nią toczyła swe głębokie, powolne fale rzeka Motława. Patrząc mogłam na nią co dzień z okna własnego pokoju.

Bo mam już własny pokój. I dom rozszerzył się do rozmiarów sporej, szarej, przyciężkiej kamienicy. Cała do nas należy. A na najlepszym, pierwszym piętrze jest obecne nasze – nie tak już nowe – sześciopokojowe mieszkanie.

Zniknęły antyczne mahonie, twarde krzesła, zamczysty rzeźbiony kredens, prostokątny, ciemnoczerwoną ceratą z żółtym meandrem nakrywany stół. Meble są nowoczesne, a z pokoi każdy służy własnemu przeznaczeniu. W stołowym kredens jest dość niski, choć szeroki, z pomniejszym, podręcznym (do ustawiania na nim półmisek i salaterek przy posiłkach) tuż obok. Krzesła pokryte ciemnozielonym aksamitem, spory, owalny stół przykryty pięknie haftowaną serwetą. (To meble jesionowe – oznajmiono mi, gdy je zobaczyłam po raz pierwszy, ale jakoś zupełnie nie umiałam docenić wagi tej informacji). Wysoki zegar stoi w kącie, co kwadrans wydzwaniając dźwięczną imitację londyńskiego Big-Bena. Dyskretnie pastelowe tapety wysokich, jasnych pokoi są zmywalne – nowość niesłychana! Na połyskliwych parkietach leżą barwne, miękkie dywany. (Z biegiem lat – choć na próżno – usiłować będą uczenia mnie subtelnych różnic zachodzących we wzorach, wątkach i osnowach tebrysu czy buchary...). Nad nakrytym już pięknie do kolacji stołem zwisa wielka lampa o jasnozłotym, wesołym abażurze, opatrzona ponadto zwisającym na kabelku, przyciskowym dzwonkiem. Ze szczególną przykrością przeżywam każdorazowe jego naciskanie – jak w hotelu albo szpitalu – dzwoni „się” na służbę, że czas już podawać następne danie, przynieść kolejną szklankę herbaty lub posprzątać ze stołu. Pod okiennymi parapetami dyskretnie mruczą i ciepłem promieniują długie żeberka kaloryferów. A na ścianach wiszą w grubych (choć na szczęście niezłoconych) ramach wcale udane, olejne kopie niektórych mistrzów malarstwa. Od lat najwięcej

-----  
<sup>1</sup> Obecnie ul. Lastadia.

przeraża mnie spory, nad kredensem zawieszony, duplikat Rembrandta: zgromadzonych wokół niewielkiego stołu pięciu czy sześciu kupców, w czarnych strojach, ozdobionych białymi, sutymi a sztywnymi krezami, i w równie czarnych, wysokich kapeluszach. Ponoć nazywa się on *Starsi cechu* (chyba sukienniczego)<sup>1</sup>, ale żadna nazwa wyjaśnić nie jest w stanie, czemu przenikliwe spojrzenia ich skupionych, ciemnych oczu tak badawczo śledzą każdy mój ruch w pokoju? Kilka lat temu jeszcze zasnąć spokojnie nie mogłam, jeśli nie pożegnałam się uprzednio z każdym z osobna z tych wyniosłych, zadumanych hollenderskich panów.

Po lewej stronie jest mały salonik, którego cała podłoga – nowość to w owych czasach wielka – wyłożona jest miodowożółtym gładkim dywanem. Tam znalazło przytułek stare nasze, ale starannie odnowione i nastrojone pianino. Tam w rogach stoją brzuchate serwantki, wypełnione po części porcelanowymi figurkami (specjalną miotełką z miękkich piórek odkurza się zwały pianistych koronek przy ich rokokowych kostiumach), po części – i z biegiem lat dopiero – gromadzić się będzie suweniry, przywiezione z bliższych, później już coraz dalszych podróży: do Francji, Włoch, Ziemi Świętej, Egiptu. W malutkim, białym atlasem wyściełanym i uchylonym puzderku znajdzie się tam z czasem i złoty dukat z wizerunkiem nie pomnę już jakiego króla polskiego, który mam święcie przyobiecany na dzień swojego ślubu, kiedy to wszyją mi go do – ozdobionego Babcinym mirtem – welonu na szczęście.

Więcej wygodnych mebli jest w przeciwległym salono-gabiniecie. Niski, rozłożysty tapczan zalega mnóstwo jedwabnych i pracowitymi haftami ozdobionych poduszek. Jest tam pod słonecznym abażurem wysoka, stojąca lampa, w rogu stoi zamczyste (jednak – mahoniowe!) biurko Ojca, zaciągane na brzuchato sklepioną roletę – także z mahoniowych elementów – a w środkowej szafeczce ma prześcipny mechanizm, po uruchomieniu którego można dotrzeć do tajnej skrytki, gdzie spoczywają najważniejsze rodzinne papiery i... wszystkie dziecinne produkty mojej twórczości, łącznie z egzemplarzami wydawanej niegdyś „Gazety”. Duże, wysokie, pełne książek szafy biblioteczne też tam stoją.

Z szerokiego korytarza, pod kątem prostym zakręcającego w wielkie L, dochodzi się najpierw do sypialni Ojca z jedwabicie połyskującej, złotej brzozy karelskiej. Zaraz obok jest łazienka, z węglową rurą wysokiego pieca co prawda – ale cóż to za komfort i postęp! Następny

-----  
<sup>1</sup> Chodzi o *Portret członków cechu sukienników*.



jest pokój Nelly z puszystym jasnoszarym dywanem, cały suto zastawiony meblami o specyficznych kształtach, wśród których rej wodzi trójjustrzana, wspaniała toaleta. – To Ludwik (nie pamiętam – chyba XV?), francuski styl – tłumaczą dziecku, wskazując na pokryte lakierem koloru kości słoniowej sprzęty.

Ponadto jest widna i przestronna, do połowy białymi kafelkami wyłożona kuchnia – królestwo Anny. Anna jest postawna, grubokoścista niewiastą o ruchach statecznych i pełnych godności. Niczym dawnych Helg i Hild nie przypomina. Anna nie jest nawet perłą – tylko kimś znacznie cenniejszym: perfekcją, czyli osobą, która w sposób doskonały przyswoiła sobie wszelkie tajniki kuchni i gospodarstwa domowego – wystarczy tylko wydać jej dyspozycje.

I przez kuchnię wchodzi się do mego pokoju, którego nie lubię w sposób graniczący ze wstrętem. Nelly urządziła go bowiem po swoim, wcale mnie o zdanie nie pytając. Meble lakierowane są na szpitalną biel, ale – gwoli nowoczesności – nogi mają czarne: łóżko, szafa, komódka, okrągły (bardzo niewygodny!) stół, krzesła oraz prostokątny twór, mający imitować panięskie biureczko, ale z podnoszonym środkowym blatem, we wnętrzu którego wmontowane jest spore lustro – panięska gotowalnia – jak nowoczesność to nowoczesność! Sytuację ratują wysokie regały kolorowe od książek: najpierw najdawniejszych zbiorów, czyli bajek, legend i baśni, poprzez dziewczyńsko-przygodowe, aż po gromadzone w latach ostatnich – i w trzech, czterech nawet (jeśli liczyć łacinę) językach. Sporo tam klasyki antycznej i francuskiej, sporo w sztywno niebieskim płótnie (w Poznaniu u Wagnera) wydawanej Biblioteki Laureatów Nobla, wydawnictw Mortkowicza z pamiętnym kłosem na okładce, krótkich a pękatych białych tomików Biblioteki Narodowej. Sporo tam autorów współczesnych, *Kordian i cham* Kruczkowskiego, *Grypa szaleje w Naprawie* Kurka, Dąbrowska i Kuncewiczowa, Boguszevska i Kornacki, Kaden-Bandrowski i Dołęga-Mostowicz, niezapomniana – choć do wcześniejszej epoki przynależna – opowieść Haliny Górskiej *Nad czarną wodą* i jej późniejsza i dużo słabsza *Druga brama*. Sporo poezji Skamandrytów, ale są też i szczupłe, i znacznie częściej czytane tomiki Czechowicza, Lieberta. Jakiś jeden zamczysty tom różnaitości Mickiewicza o mocno już sfatygowanej i wypłowiałej, granatowej okładce (któż go wydał? chyba Pini? ale głowy nie dam), bo choć ciągle powraca się do konieczności wydania wszystkich jego dzieł, nikt jakoś się do tego nie kwapi... Jednotomowy też – w zielonym płótnie – Krasiński. Kochanowski i Słowacki – najmilszy ze wszystkich – ukryci zostali w głębi, za niezbyt

jeszcze pokażnym szeregiem popularnonaukowych książek, wśród których rej wodzą *Człowiek – istota nieznaną* Alexisa Carella i *Łowcy mikrobów* Paula de Cruifa.

Wertuję te moje książczyska, najczęściej siedząc na łóżku, bo w gabinecie-salonie są wprawdzie przyjemne, głębokie fotele, ale po cóż się tam przenosić, by w zamian usłyszeć, jak to nieelegancko, gdy młoda panienka rozpiera się w ich czeluściach („Panienka, nawet siedząc na zwykłym krześle, opierać się o nie bynajmniej nie powinna!”)? O, kolejne moje a niezliczone edukantki, mistrzyni i ochmistrzyni – cóż z waszych cierpliwych a żmudnych starań wynikało?!

Ale dość tych dywagacji. Teraz trzeba przedstawić Nelly.



Nelly naprawdę ma na imię Elżbieta, raczej Elisabeth, ale prędzej by sobie swój obrotny język odgryzła, niż do tego się przyznała. Bo to staroświeckie imię, niemodne. A w tych trzydziestych latach zawołaniem dnia jest modern. W modzie, fryzurach, zgrabnych małych kapelusikach, szczerze przylegających do damskiej główki, a często ozdobionych jeszcze kokieteryjną woalką, także więc i w imionach: krótkich, dźwięcznych, dwusylabowych. Wszystkie te Buby, Maje, Lale, Wiry, Tyny i Niny, które zwartym kręgiem otaczały mnie przez połowę szkolnych lat, znajdowały swe odpowiedniki także i w innych krajach Europy. Kuso, skąpo, a dobitnie – modern.

Nelly Schröder de domo Thiel jest nie całkiem jeszcze bliską czterdziestki wdową. Idealnie okrągłą i zawsze ślicznymi loczkami ozdobioną główkę dziwny kaprys natury osadził jakoś tak, jak gdyby wprost – bez żadnej podpórki – z ramion wyrastała. Może to – nieznaczny zresztą – błąd budowy. Ale gdyby parę jej malutkich, kształtnych uszek zaostrzyć nieco i umieścić po obu stronach czoła – miałyby wygląd tak najzupełniej koci, że usprawiedliwiłby w pełni nadane jej przez dziecko już przy pierwszym powitaniu na pół żartobliwe przezwisko: Frau Miaukatze!

Niemal po samą kształtną bródkę sięga jej obfity, choć jędrny i nieco przywysoko podsnurowany biust. Ale figurę ma znakomitą, smukłą, długie nogi, malutkie stopy i także, starannie manikiurowane ręce. Ubrać i przebrać się, a choćby i ze cztery-pięć razy dziennie potrafi z dyskretną elegancją, uwidoczną zwłaszcza w akcesoriach: rękawiczkach, jedwabnych szalach, sztucznych kwiatach, pantofelkach,

parasolkach, torebkach. Jest w każdym calu wytworną, światową damą, z bardzo dobrej, acz nieco podupadłej mieszczańskiej rodziny. Ale nie te właśnie atuty i walory sprowadziły ją do naszego domu. Zdecydował wzgląd inny – Nelly jest mistrzynią w swoim fachu.

A fach to nie tyle – i wtedy już, i dziś tym bardziej jeszcze – niepopularny i niemodny, co dla wielu niedostępny, gdyż wymagający szczególnie zamiłowań i talentów. Nelly ukończyła bowiem z najwyższym odznaczeniem *Höhere Töchterschule*, czyli specjalną szkołę dla pańien z dobrych domów, kształcąca tak zwane *Hausdamen*. Nie da się tej profesji określić jako gosposi czy zarządzającej domem, bo i to wprawdzie w jej zakres wchodzi, ale i nie do końca go wypełnia. Panny do tego fachu sposobione muszą nie tylko opanować wszelkie tajniki wytwornej kuchni i należytego prowadzenia gospodarstwa domowego (łącznie z rachunkowością!), ale umieć także szyć, haftować, wykonywać najdelikatniejsze ręczne robótki, dobrze władać przynajmniej jednym językiem obcym, umieć wdzięcznie a wytwornie zachowywać się w towarzystwie i przyswoić sobie ponadto sporo innych właściwości, o których przeciętna pani domu najczęściej nie ma nawet pojęcia. Trudy, jakie ponosić musiały podczas długich lat tej edukacji, opłacane są sownie – nie ma bowiem nigdy zbyt wiele *Hausdamen* – a potrzebne są zawsze i wszędzie. Zarządzają niewielkimi, prywatnymi sanatoriami lub eleganckimi hotelikami, niekiedy też prowadzą wymagający odpowiedniego poziomu i doświadczonej kobiecej ręki dom wdowiatego artysty, bankiera czy przemysłowca. Nelly właśnie zrezygnowała z takiego samodzielnego stanowiska, gdy uprzedni jej chlebodawca powtórnie się ożenił i przeczytała nasze ogłoszenie, umieszczone przez Babcie w modnym tygodniku dla pań. Dalej sprawy potoczyły się szybko ku zadowoleniu zainteresowanych stron.

Z wyjątkiem Babcie właśnie. Ucieleśniony ideał wszelkich cnót kulinarno-gospodarczo-towarzyskich wkrótce przeciw niej się obrócił. Cóż też ma ta prymitywna chłopka, nawet poprawnie mówić nieumiejąca, wspólnego z domem eleganckim i z ambicjami? Po kilku krótkich, acz gwałtownych scysjach stosunki zostały definitywnie zerwane przez głęboko w swojej godności urażoną Babcie. I odtąd ukradkiem tylko zaglądaliśmy z Ojcem do miłych małych pokoików na Pietruszkowej. Babcia u nas nie bywała. I niewiele lat potem przeżyła.

A Nelly władała swoim królestwem sprawnie i ochoczo. Od rana już w pianistym koronkowym peniuarze lub barwnie wyszywanym czarnym kimonie (japońszczyzna była w modzie) urzędowała przy jadalnym stole. Serwis śniadaniowy – biały w jasnoniebieskie niby-chiń-

skie wzorki (model ten istnieje do dzisiaj!) – uzupełniały kolorowe, włóczkowe kapturki, którymi ochraniano ciepło osadzonych już w kieliszkach czterominutowych jaj. Mleko w butlach ze „srebrną kapsłą” i woreczek płócienny z chrupkami bułeczkami – zawieszony na kłamce – znajdowaliśmy w domu za progiem tuż przed siódmą. Śmietankowe masło, wyrobione specjalnym drewnianym instrumentem w okrągłe talarki, świeże wędliny, miód, owocowe galaretki domowego, oczywiście, wyrobu i mocna, aromatyczna herbata nalewana przez srebrne siteczko, dopełniały ten pierwszy posiłek.

Po śniadaniu odmłodzony, bardzo też zmodernizowany Ojciec jechał do pracy. Nosił teraz miękkie, szare flanele, pastelowe popelino-we koszule o miękkich kołnierzykach, szare, z boków na guziczki zapinane modne getry do połyskliwie wyczyszczonych grubych półbutów, z górnej kieszeni marynarki wystawał mu rąbek śnieżnobiałej chusteczki, a głowę – siwiał już mocno na skroniach i dlatego coraz krócej strzyć kazał swoje proste, bocznym przedziałkiem starannie rozczesane włosy – wieńczył popielatym filcowym kapeluszem marki Borsalino. Gdy – rzadziej – wędrował do biura pieszo, brał ze sobą jedną z bardzo modnych lasek. Najulubieńszą była tak zwana murzyńska maczuga – sękatobambusowa, zakończona sporą, kuliście a gładko wytoczoną gałką. Miała ona osobliwą właściwość samoistnego powracania pod nasz dach z każdej, choćby najdalszej podróży, jeśli właściciel po drodze ją gdzieś zostawił.

Nelly po śniadaniu zasiadała do telefonu, wiodąc długie a zawile rozmowy z dostawcami: delikatesowym sklepem pękatego a przykrótkiego pana Fasta, gdzie tak aromatycznie pachniało kawą, rodzynkami i przyprawami, wytworną masarnią pana Wintera, znaną z doskonałych mięs i wędlin, piekarnią pana Nittke. Zamówione towary przywozili gońcy na rowerach. Anna, gdy już przesuwała przez całe mieszkanie huczącym odkurzaczem, pojawiała się po dalsze dyspozycje i wyruszała w drogę po drób czy ryby na targ, po warzywa, owoce i świeże kwiaty. Codzienny program wypełniany był punktualnie i skrupulatnie, bo o wpół do drugiej zgrzytały w zamku klucze i głęboki głos Anny ogłaszał półmetek dnia: – Pan przyszedł! Proszę do stołu!

W alchemii przygotowywania obiadów uczestniczyła Nelly osobiście. Wykąpana już i uczesana – w dni nieparzyste także po wizycie masażysty – szczerlnie owinięta białym, wysoko zapinanym fartuchem, nie to, że gotowała, ale dyrygowała sporządzaniem całości z niekłamana uciechą i wprawą. Cóż to były za pieczenie cielece

w ustach się wręcz rozplývające, jakąż niezrównaną smakowitością odznaczały się zawijane, wołowe zrazy, faszerowane kawałeczkami wędzonego boczku, kiszzonego ogórka i świeżej cebuli. A odświeżonej ceremonii szpikowania specjalną, grubą igłą wielkiego kawałka sarniny jakby przefastrygowanego ściegami białych paseczków słoninki, albo przyrządzania nadzienia do – niezrównanej kruchości – noworocznego indyka (ptasie wątróbki, jajka, drobno siekane migdały, rodzynki, bułka tarta i świeża pietruszka) nie omijała nigdy. Arcydzieła te poprzedzane były – podawanymi w podwójnie uszatyh filiżankach – zupami, najczęściej na modłę francuską. A więc: złotoprzejrzystym i prawie esencjonalnobulionowym *consommé*<sup>1</sup> z ptysiovym groszkiem, delikatnym kremem pomidorowym, wonną *julienne*<sup>2</sup>, do której całą włoszczyznę kroić trzeba było w drobne, cienkie zapalki i która treścią swą, aromatem i smakiem tak się miała do szkolnej naszej jarzynówki jak wytworny, balowy pantofelek do grubego juchtowego buciora.

Laboratoryjnie czysta i lśniąca kafelkami kuchnia była, szczególnie latem, areną wielokierunkowej aktywności Nelly. Pojawiały się w niej wówczas całe kosze owoców i warzyw, ogromny, termometrem opatrzony kocioł z odpowiednią wstawką i niezliczone szeregi najstaranniej umytych i wysuszonych weków z przynależnymi do nich gumowymi uszczelkami i przykrywkami. Wekowało się nieomal wszystko: młodziutki groszek i apetycznie pomarańczową, okrągłą karotkę, fasolkę zieloną i szparagową, kompoty z czereśni, wiśni, śliwek, gruszek, sporządzało rubinowoprzezroczyste galaretki z porzeczek i malin i roboty było huk, zanim wreszcie cała produkcja, opatrzona odpowiednimi naklejkami, napisami i datami, wystudzona i szczelnie zamknięta, ładowała w czeluściach dwóch spiżarnianych szaf w obszernym korytarzu.

Latem nowoczesność dawała znać o sobie, gdy co drugi dzień dolaływało przez otwarte okno donośne obwieszczenie: – *Der Eismann ist da!* – Lodziarz ciężko, choć szybko wspinający się po schodach, miał gruby, skórzany fartuch i takąż skórzaną łatę na ramieniu. Na niej to, podtrzymywane grubą rękawicą, wnosił dwa spore bloki przejrzystego lodu. Ładował je – od góry – do lodówki, czyli dość prymitywnej, blachą obitej skrzyni. Tam – spływając wewnątrz blaszanych ścian do równie blaszanej dolnej szuflady – chroniły jako tako nasze wiktuały przed zepsuciem wskutek letnich upałów. I to też był wielki postęp techniki, na równi z ciężką a nieporęczną, jak gruby trzmiel buczącą,

-----  
<sup>1</sup> *consommé* – (franc.) rosół.

<sup>2</sup> *julienne* – (franc.) zupa jarzynowa.

niklowaną suszarką do włosów czy późniejszym już – włączanym przy jadalnym stole – elektrycznym tosterem albo okrągłą formą do wypiekania chrupkich, świeżutkich wafli na gorąco podjadanych przy popołudniowej kawie.

W pierwszych latach królowania Nelly w naszym domu częściej i dłużej mogłam obserwować jej niestrudzoną krzątanicę. Co i rusz zapadałam na solidne, ciężkie choroby: dyfteryt, zakaźną żółtaczkę, skomplikowane zapalenie ucha środkowego, po których bladą i wymizerowaną, odsyłano mnie na długie tygodnie rekonwalescencji do domu. Nelly pieczołowicie podsuwała mi krzepkie zupki czy świeże soki owocowe i pielęgnowała arcytroskliwie. Ale mimo że miałam własny pokój – wcale nie czułam się u siebie w tym nowym, dużym mieszkaniu. Poznikały w niewiadomy sposób wszystkie dawne, dobrze znane sprzęty, nawet zabawki, nawet piękna Ala. Na pociechę zostały stare misie, ale stanowiły już tylko dekorację. Zostały też, jako jedyna ostoja, książki – a chroniałam się w nie z taką pasją, że wtedy już obdarzono mnie przydomkiem mola książkowego, który po niemiecku mniej neutralnie zwie się szczurem (*Leserratte*) – i przeróżne, własne moje pisaniny.



Grafomania mi jednak nie groziła. Przestrzegala przed nią usilnie nasza polonistka – wysoka, szczupła pani Zofia Włoszczewska. Starsza była od innych świeckich naszych nauczycielek. Ubierała się niemodnie w ciemne, pod samą szyję zapinane suknie ze skromnymi, śnieżnobiałymi kołnierzykami i z tej racji nazywałyśmy ją zakonnica, którą w późniejszych latach istotnie została. Groźnie połyskując grubymi szklami swych binokli, przepowiadała mi jak najgorszą – pisarską oczywiście – przyszłość, jeśli bez refleksji i umiaru korzystać będę z wrodzonej łatwości pisania: – Inne zużywają na przyzwoitą pracę domową sześć, osiem stroniczek, a ty zasmarowujesz od razu calutki zeszyt – zgroza! – I choć za te zgrozy stawiała mi przeważnie stopień bardzo dobry, ustawiczne jej monity odegrały rolę – nie zawsze w przyszłej pracy zbawiennego – hamulca – bodajże nawet do dziś.

Wymagania innego rodzaju, czyli nie tylko zwięzłości, ale – i przede wszystkim – jasności, stawiała nam Francuzica. Mademoiselle Jeanne Chavaudret była rodowitą paryżanką, lecz z aparycji przypominała złośliwą karykaturę typowej starej panny. Małutka, o karlej, pomarsz-

czonej twarzyczce otoczonej chmurą pracowicie na papiloty zawijanych drobnych loczków, usiłowała przydać sobie wzrostu nadmiernie wysokimi obcasami, a ponadto hołubiła w swym pokoiku aż trzy spasionie, bure kociska, o których zwykła z rozczuleniem mawiać: – „mje-tri-kto-ty!”. – Mimo to przepadałyśmy za naszą Żańcią, która z teatralnym patosem deklamowała nam tragiczne tyrady Racine'a czy Corneille'a, a przy każdym prawie oddawaniu zeszytów z poprawionymi pracami przewracała oczami w świętym oburzeniu i załamywała ręce: – *Ah, ma fille, que c'est pauvre, pauvre, pauvre, ce que vous avez gribouillé là!* („Ach, dziewczyno, jakież to marne, marne, marniętkie, to coś ty tu nabazgrolała!”).



Nelly – w przeciwieństwie do ojca, który każdą wolną chwilę nadal poświęcał wertowaniu grubych tomów historii – w lekturze ograniczała się do pobieżnego przejrzania modnych, hojnie ilustrowanych tygodników, które abonowała. Tytuły ich: „Dama” (choć niemiecki odpowiednik „Die Dame” znaczy właściwie „pani”, tu tylko tak tłumaczyć go trzeba!), „Elegancki Świat” albo nawet – na wyższym już poziomie i o dobrej tradycji mimo archaicznie naiwnego tytułu – „Die Gartenlaube”, czyli... „Ogrodowa altana” – wyraziście zapowiadały treść i nie interesowały mnie zupełnie. Z upodobaniem natomiast czytałam młodzieżowe piśmko „Motyl” („Der Schmetterling”) utrzymane w harcersko-przygodowo-popularyzującym stylu. Można się było z niego dowiedzieć interesujących szczegółów z życia rodzimej – a też i egzotycznej – fauny i flory, rozwiązać dość skomplikowaną przeważnie krzyżówkę czy pomajsterkować według podanych wskazówek i wzorów. O pozostałe sprawy – częste wizyty u lekarzy i dentysty, nudne, bo z racji osłabienia bardzo powolne choć długie spacery, wzmacniające kąpiele, zastrzyki i lekarstwa – dbały przygodne, często, bo do żadnej jakości przywyknąć nie mogłam, zmieniające się panny (*Fräulein*), czyli bony. A z ubraniem najmniej było skweresu. Granatowy mundurek wędrował do szafy, po czym na telefoniczne zamówienie goniec przywoził ze dwa-trzy pudła pełne gotowych już sukienek z któregoś z dwóch naszych domów towarowych. Wybierało się kilka z nich, miały tę pocieszającą właściwość, że przy następnym przyjeździe nigdy ich już nie było: – Oddane dla biednych dzieci. I tak przecież już z nich wyrosłaś!



*... choć teraz przemieniła się  
w zwykłomiejską, rozległą  
i szarą, w niczym do Wyspy  
Spichrzów (przy Długim  
Moście - po drugiej stronie  
rzeki - niemal naprzeciw  
starego Żurawia istniejącą,  
a pełną spiczastodachych,  
wysokich budynków, białych  
z czarnymi belkami pruskie-  
go muru) niepodobną...*





*Dojeżdżało się tam długą drogą  
drzewami wysadzaną i też dziwacz-  
nie początkowo Półaleją (Halbe  
Allee) zwaną, przemienioną później  
na Hindenburgallee, wreszcie -  
a nieuchronnie - na Adolf Hitler...*

I to była prawda, bo mimo chmary dręczących chorób istotnie rosłam, jakby drożdżami mnie karmiono, a nie złocistym, oleistym i apetycznie rybą pachnącym tranem – zawsze zagryzanym chrupką, suto posoloną skórką od chleba.

Nelly – tak elegancko, modnie i twarzowo wystrojona – o moje sukienki nie troszczyła się nadmiernie. Na krótkie ferie zimowe czy wielkanocne wystarczała jakaś spódniczyna i parę bluzek czy sweterków. Gorzej z letnimi wakacjami. Dla podlotków, a nawet już dorosłych pańien fabrykowano wówczas standardowe ubiory stylizowane na ludowe stroje góralek podalpejskich, a ściślej – bawarskich. Były to zapinane z przodu na połyskliwe, ozdobne, metalowe lub kościane (tworzywo sztucznych – poza brzydtko topornymi drobiazgami z bakelitu – jeszcze nie było) guziczki i o koniecznie bufiastych, krótkich rękawach sukienki z wesołych, jasnych materiałów, dopełniane półfartuszkami w jakimś kontrastowym kolorze – nieodmiennie suto obszytym koronką i wiązaniem z tyłu na wielką kokardę. Nie ulegałam przesadnej próżności – skutecznie zresztą zwalczanej w szkole (zawołaniem naszym na co dzień było podówczas: „zdrowe ciało w zdrowym ciele”, czyli swoista trawestacja *mens sana in corpore sano*<sup>1</sup> – uwzględniająca także cielecy wiek, w którym właśnieśmy się znajdowały). Ale kiedyś – nie wiem już z jakiej okazji – pozwolono nam zrzucić na pół dnia workowate mundurki i przebrać się we własne cywilne szatki. Nelly na tę fetę przysłała mi najszczerzej przeze mnie znieawidzoną kreację – z której, jak na złość, przydługo wyrosnąć nie mogłam – różową w drobne białe kwiatki, zapinaną na podłużne, kościane guziczki – od szyi aż po pas – uzupełnioną błękitnym półfartuszkami z szeroką, kremową koronką. Zmiewałam w garściach to szkaradzieństwo, upchnęłam na samo dno ubraniowej szafki i połykając łzy bezsilnej wściekłości, przeleżałam pół dnia w łóżku, nagłą nieobecność motywując niespodziewanym rozstrojem żołądka, jak to wtedy elegancko określano. Za nic przecież nie mogłam pokazać się w takiej kreacji koleżankom – gapiłyby się na mnie jak przysłowiowe (właśnie!) cieleta na malowane wrota i nie oszczędziłyby z pewnością złośliwych komentarzy. Ale Nelly nie można było tego wytłumaczyć.

Zbliżała – ale i skłócała – nas ze sobą muzyka. Bitne plemię Teutonów dla dzieci miało na podorędziu sporo ładnych piosenek, których się wówczas nauczyłam. Repertuar ten nie był bojowo-wojowniczy. Nikt o ojców grób nie ostrzył stali bagnetów ani też nie brodził w krwi wrogów. Treści były przeważnie ornitologiczno-przyrodniczo-

-----  
<sup>1</sup> *mens sana...* – (łac.) w zdrowym ciele zdrowy duch.

-kalendarzowe. Śpiewało się o różnych porach roku, żegnając zimą, witając wiosnę, wymieniając nazwy rozmaitych ptaków, wędrowało się wraz z księżycem, opiewało dzieje zwinnego pstrąga albo polnej różyczki, którą zerwał – psotny oczywiście – chłopiec. Z czasem poznałam więcej już prawdziwych *Lieder* – od Schubertowskiego cyklu *Pięknej młynarki* zaczynając – i niezmiernie aż po dzień dzisiejszy polubiłam niespokojnie tętniący rytm ballady o *Królu olch*. Uratowany przez doktora Eulera palec pracował na równi z innymi coraz sprawniej. Z biegiem lat zrealizowałam dawne życzenie Pam i – choć przeciętnie – dość biegle grałam na pianinie. Nudę pierwszych i niemiłosiernie długo ćwiczonych wprawek i gam zastępować zaczęły etiudy Czernego czy Scarlattiego, nade wszystko ulubione preludia Bacha, nad którymi pracowałam najwięcej, jedna – później już i następna, i jeszcze jedna sonata Mozarta.

Wokalno-muzyczna nasza edukacja przebiegała zresztą także wcale nie pobieżnie – lecz od-po-wie-dzial-nie. Były więc lekcje solfeżu, dyktanda muzyczne, utrapione wokalizy, długie godziny ćwiczeń fortepianowych i – na zakończenie roku szkolnego – popis muzyczny, na którym – mimo potwornej tremy – wystąpić trzeba było przed publicznością z należycie dopracowanym punktem programu, grając oczywiście bez nut. Tak się przejęłam niebezpieczeństwem zeszywnienia palców wskutek zaniedbywania codziennych ćwiczeń, że i na wakacjach próbowałam brać się do nich – ale tu Nelly stawiać zaczęła twardy opór: – Przestańże wreszcie brzdąkać! – niecierpliwiła się szczerze. – Tak ty się nadajesz do fortepianu jak wół do karety!

Miała rację. Swoją rację. I swoje parę lat – cóż, że nieukończonych – studiów w konserwatorium. Grała lekko, perliście, potoczyście, frazowała umiejętnie, zapoznała nas naprawdę z bogactwem muzyki nie tylko Bacha, Mozarta, ale Haydna, Schumanna, Schuberta, Beethovena. Ojciec słuchał z błogim ukontentowaniem, ja zaś – po pierwszych próbach sprzeciwu i rebelii – dałam za wygraną. Tak krótko przecież w ciągu roku bywałam w tym domu jakoś coraz mniej mi domowym. A poza tym dokonałam odkrycia, które zachowałam wyłącznie dla siebie: otóż biegle i nieomylnie pędzące po klawiaturze palce Nelly (my – w tymże celu – nacierałyśmy je sobie przed popisem... kalafonią!) grały – mimo skrupulatnego przestrzegania tempa, pauz i wszelkich innych znaków – każdy utwór jednakowo: monotennie, techniczno-mechanicznie. I choć z czasem – pod innym już dachem – obok pianina pojawił się piękny półkoncertowy bechstein, a koncerty odbywały się już nie tylko na dwie, ale na cztery ręce i dwa instrumenty – nic to w istocie rzeczy nie zmieniało.

Partnerką w późniejszych tych koncertach była wysoka, koścista Inga Dalberg, o wysuniętej do przodu końskiej szczęce i zawsze – mimo grubych, wypukłych okularów – nerwowo przymrużonych siwych oczach krótkowidza. Nelly bowiem – z powodów, które przedstawić też trzeba za chwilę – troszcząc się umiejętnie, by nie wzięto jej na języki, stworzyła sobie własny, choć nieliczny babiniec i godnie w nim królowała.

Prócz Ingi – z zawodu nauczycielki gry na fortepianie i biegłej w tym fachu, choć poza tym nieśmiałej i milkliwej – należała do niego łykowata, wysferzona Greta, pogrążająca się z biegiem lat z coraz to większym fanatyzmem w jakieś mroczno-niedocieczone głębie bliżej niesprecyzowanych mistycznych uniesień, wędrówki dusz i tajemniczo wirujących stolików.

Była jeszcze panna Klara Kilmann, której postać dokładnie przypominała zabawkę dla małych dzieci: trzy różnej wielkości i różnego koloru kule nadziane na pionowy patyczek. Kulą pierwszą była jej okrągła głowa o złocistych (prawdę mówiąc, raczej słomianych) nieudolnie farbowanych włosach. Drugą – okazały, acz nieco już obwisły biust, zawsze opięty bluzką jaskrawoczerwoną, zieloną lub niebieską. Trzecią – reszta tułowia równie ciasno spowita w granatowe lub szare spodnice. Panna Klara była stanu wolnego i z fachu historykiem sztuki, choć pracowała w miejskim archiwum. Za młodu należała do zacieklej emancypantek, tych, co to paliły gorsety, odrzucały długie do ziemi suknie, nosiły się reformowo w luźnych, nieco fantastycznych szatach, paliły ostentacyjnie papierosy i gardłowały za równouprawnieniem kobiet. Przynosiła nam albumy pełne pięknych reprodukcji, zachęcając do ich kupowania – na czym zarabiała, gdyż wydawca płacił jej procent od sztuki. Umiała z werwą i ciekawie opowiadać o malarstwie i architekturze. Od niej dowiedziałam się o grafikach wielkiego syna naszego miasta, Daniela Chodowieckiego. Od niej też dostałam reprodukcje Dürera: *Portret matki* o wymęczonej sowej twarzy i *Rok w modlitwie*, które nieco udomowiły szkaradny mój pokój. Nos miała kartoflasty, piwne oczka malutkie, brwi ani śladu, zęby okropnie krzywe – ale mimo to polubiłyśmy ją szczerze.

Niekiedy zjawiała się pani Tylda Hoffer, rozłożysta i majestatyczna wdowa po znakomitym architekcie. Za młodu była śpiewaczką, więc rozprawiało się przy niej głównie na temat ostatnich przedstawień Opery Leśnej w Sopocie, której serdecznie nie znosiłam, odkąd zagarała ją niepodzielnie dziki ryk i jazgot Wagnerowskich arcydzieł.

Cały ten dwór miał jednak pewne cechy wspólne. Należące do niego damy były – z tych czy innych przyczyn – niezamężne (bo mąż Grety oczywiście się nie liczył), mało urodziwe, niezbyt już młode i – wszystkie, choć w różny sposób – uzależnione od Nelly. Indze płaciła za wspólne muzykowanie, od panny Klary kupowała albumy, Grecie – prócz drobnych, także opłacanych naprawek – podtykała po prostu nieco pieniędzy, a zubożałą panią Tylde dyskretnie wspierała od czasu do czasu przenoszona już, choć zdatną jeszcze do modnej adaptacji sukienką, lub nadającym się do przefasonowania kapeluszem. Niemniej podczas co dwa tygodnie regularnie odprawianych herbatek z eleganckimi ptifurkami, nastrój był ożywiony i konwersacja toczyła się gładko, bynajmniej nie pomijając co smakowitszych lokalnych plock.

Nelly potrzebowała swego dworu nie tylko dla obrony przed wzięciem na języki. Nudziła się po prostu, a towarzysko nie zawsze czuła się zręcznie. Pozostałymi – i częstymi – gośćmi w naszym domu byli bowiem wyłącznie mężczyźni. Niektórzy złączeni wspólnotą interesów, inni – jak wzięty naczelny lekarz największego szpitala, doktor Gerber, który był też naszym lekarzem domowym, paru bankowców, modny i ponoć aż dwunastu językami władający architekt, kilku adwokatów – pojawiali się na brydża, prośzone kolacje, mniejsze i większe przyjęcia z reguły bez pań. Nie było też możliwe rewizytowanie ich przez Ojca wspólnie z Nelly. Szczelbki towarzyskiej tolerancji były w Mieście bardzo jeszcze odległe i choć Nelly nic takiego zarzucić nie było można – zajmowała przecież pozycję podrzędną, poniekąd i, mimo wszystko, usługową, więc po prostu – *non licet*<sup>1</sup>. I niezależnie od wszelkich jej cnót i zalet nic się w tym żelaznym kanonie zmienić nie mogło.

Panowie przecież przychodzili chętnie, zawsze ze wspianiałymi bukiętami czy bombonierami dla „uroczej pani”, która wdzięcznie a umiejętnie sprawowała honory domu. „Czapką, papką i solą ludzie ludzi niewolą” – komentowałam w myślach nie bez złośliwości, jako że zaczęłam wówczas gwałtownie gromadzić przysłowia, póki – jak z nieszczęsną Dalilą – nie dowiedziałam się, że i na tym polu dawno ktoś mnie ubiegł. Uprawiałam przy okazji – nieświadoma rzeczy, niczym monsieur Jourdain, który wcale nie wiedział, że mówi prozą – najczystszej wody komparatystykę, porównując polskie przysłowia z niemieckimi, a nawet francuskimi. Ale zabawy takie nigdy nie są płonne i zawsze jakaś użyteczna ich resztką na późniejsze lata zostaje.

-----  
<sup>1</sup> *non licet* – (łac.) nie godzi się (nie wolno).

Użyteczne natomiast doraźnie były gastronomiczno-kulinarne popisy Nelly. Zwykle śniadanie okazywało się nagle niezmiernie zróżnicowane, bo raz było to uroczyste szampańskie (*Champagnerfrühstück*), niemal tuż przed dwunastą celebrowane, innym razem widelcowe (*Gabelfrühstück* alias *á la fourchette*). O ile pierwsze, bardziej dystyngowane, polegało głównie na wystawnych delikatesach morsko-rybnych – drugie, swobodniejsze, odznaczało się większym jeszcze wyborem zimnych mięs, pasztetów, cieniutko krojonych wędlin w nęcących oko garnirunkach z pierzastej, zielonej pietruszki, jędrnych biało-czerwonych rzodkiewek i soczystych pomidorów. A sosy – ciemny cumberland, ostry tatarski, delikatny różowy majonez (*sauce Aurore*), wytrawny remuladowy – już od progu wabiły smakowitymi zapachami. Wtedy to nauczyłam się rozpoznawać różne gatunki ostryg i kawioru (od matowoszarego, najszlachetniejszego, po połyskliwie czarny choć też grubo- i mniej gruboziarnisty!) Wtedy – kilkunastoletnia – poznałam zdradliwy urok perlistej „wesołej wdówki”, czyli francuskiego szampana Veuve Clicquot i aromat ciężkiego, aksamitnie czerwonego, a należycie temperowanego, czyli we właściwej temperaturze utrzymanego burgunda, i zróżnicowane bukiety białych win mozelskich. Wtedy poznałam skomplikowaną pojęciowo i naczyniowo aparaturę należytego nakrywania do stołu: od adamszkowego obrusa, poprzez kolejność opartych na srebrnych koziołkach sztućców, talerzy, talerzyków, misek do opłukiwania palców (szparagi i raki), zawilość i różnorodność serwetek na tych talerzykach ustawianych i kształtowanych raz na mitrę biskupią, to znów na wachlarz, a także kolejność i rodzaje ustawianych obok tych nakryć pięknie szlifowanych kryształowych kieliszków.



„W strasznych mieszkaniach (...) straszni mieszczenie”? A bo ja wiem? Przy wierszu tym stale mi się wydawało, że Tuwim miał na myśli raczej jakieś drobnomieszczańskie dulszczyzny – zatęchłe, ciemne pokoje, przepocone, nigdy niewietrzone bety, sknerstwo, zawiść i pospolicie głupią nudę. Ale chociaż tak mało czułam się w tym nowym domu u siebie, nie umiałabym go potępić ani się go wyrzec. Bo – na dobry ład – cóż złego w tym, że wszystko funkcjonuje gładko, punktualnie i dobrze, że człowiek ma w zasięgu ręki tak wiele przedmiotów zapewniających mu dobre samopoczucie i prawdziwą wygodę. Że inni ich nie mają, mieć nie będą, mieć nie mogą? Już wtedy,

w bardzo młodych latach rozumiałam wyraźnie, że nie wszystkim pisany ten sam los, a i mało kto w decydujący sposób może nań wpływać. Ojciec przecież pracował, dawał też pracę innym – dlaczego nie miałby – w godziwy (jak się to wówczas określało) sposób z osiągnięć tej pracy korzystać?

I korzystał. Radośnie, ufnie, niemal naiwnie. Ten agnostyk, mawiający samokrytycznie: – Wcale nie jestem pewien, czy Bóg jest, ale staram się tak żyć i pracować – przeważnie – jakby naprawdę był. – I liberał (często lubił powtarzać maksymę ponoć starego Fryca: – *Jeder soll selig werden nach seiner eigenen Fassung*<sup>1</sup>), zachłanny na pieniądzu ani dobra materialne nie był. Mimo to gromadził je skrzętnie, a nie będąc rozrzutny, lubił być hojny. Fundował stypendia niezamożnym uczniom i studentom (między innymi dwóm moim koleżankom, o czym dowiedziałam się dopiero po maturze), wspierał akcje charytatywne i niestrudzonego w swych kwestach na kościół – który wreszcie stanął – księdza Surmana o wyszarzałej sutannie i rozkładanych do niemożliwości buciorach. Księdza tego ceniał szczególnie, gdyż był wyśmienitym brydżystą. Kiedyś na taki właśnie karciany wieczór go zaprosił, a że okrutna plucha panowała za oknem, namówił do zdjęcia uszarganych butów, które – z miejsca mu zamienił na nowe. Popierał różnej proveniencji bractwo artystyczną – często nie nazbyt utalentowanych, choć zaciekle trwających przy swej pasji grafików i malarzy marynistów. Nadal niejedną noc przesiadywał przy brydżu w ulubionym klubie. Ale pracował niestrudzenie, lubiany dla pogodnego usposobienia nawet przez konkurentów. I darzyło mu się. Firma Trans-mar z każdym rokiem lepiej prosperowała. Powstało już nawet kilka jej filii w paru większych miastach Polski z Warszawą na czele.

I nadal gromadził historyczne książki. I z każdym rokiem dalej i dłużej podróżował: Skandynawia, Anglia, Francja, zawsze – z racji licznych rzymskich jeszcze zabytków – sercu miły Dubrownik, Szwajcaria i Włochy, po odkryciu grobowca Tutenchamona jeszcze i Egipt, i Ziemia Święta, a wspominało się też już o Ameryce. „Podróżować – to żyć!” – ta dewiza duńskiego bajkopisarza Andersena, o którym ileż dziesiątków lat później pisałam, zdawała się jak stworzona dla niego. Podzielałam te upodobania w pełni i – ledwo nieco podrosłszy – doszlusowywałam w wolnych chwilach, gdzie się dało. Włóczyć się, przemieszczać, wędrować po różnych krajach i kątach, chłonać, poznawać piękno świata, które – mimo wszystko jest – i patrzeć, patrzeć!

-----  
<sup>1</sup> *Jeder soll selig werden...* – (niem.) Niech każdy będzie błogosławiony według własnego uznania...



*W Alejach Jerozolimskich  
- tuż przy masywnej syl-  
wetce nowo wzniesionego,  
nowoczesnego gmachu  
BGK - wsiadałam do czer-  
wonego tramwaju nr 24  
i przez most Poniatow-  
skiego jechałam, a jecha-  
łam bezkrotnie długo...*





*Dwa razy do roku - zimą i latem  
- spędzaliśmy dobrych parę go-  
dzin w księgarni Gebethnera na  
Krakowskim Przedmieściu, skąd  
odsyłano nam do hotelu spore  
paczki wydawniczych nowości.*

A chociaż zabrakło już Babci w tych późnotrzydziestych latach – i jej pamięć przetrwała, bo w gabinecie na stole leżą spore, jaskrawożółte zeszyty z czarnym, nieco stylizowanym tytułem „Gryf” i jest to kaszubskie pismo. I pilnie studiujemy je we dwoje. I niebawem dość już płynnie – poprawiana przez Ojca – mówię po kaszubsku. I nigdy nie zapomnę dumy, z jaką – bez żadnej już pomocy – przeczytać zdołałam spory poemat (czyj? o zawodna pamięci!) *Jak pan Derdowski do Pecka po sece jechał...*<sup>1</sup>

Ale spotykamy się nieczęsto – tylko w przerwach wakacyjnych lub chwilach krótkich odwiedzin w szkolnym parlatorium. Nie w pełni kompensują te rozłąki długie, wielostronicowe listy zapisane ostrym, równym a drobnutkim pismem ze szczegółowymi relacjami z podróży, jakich by się i dobry reporter nie powstydział. I z biegiem lat – pewnych rzeczy temu tak przecież kochanemu Ojcu wcale wyperswadować nie można!

Rozumiał jeszcze moją wściekłość i zawstydzenie, gdy kiedyś zajechał zwałście ciężkim, czarnym naszym buickiem przed szkolną bramę i odtąd nigdy tego błędu nie powtarzał. Ale innych – z pozoru prostych spraw – ani rusz nie pojmował. Gdy powszechny szał nieustannego grania w jo-jo ogarnął tłumy tak dorosłych, jak dzieci – frygały na sznurkach dwa kółka przeważnie drewniane, malowane na jaskrawe kolory. Moje natomiast jo-jo było z najprawdziwszej masy perłowej i wstydziłam się go tak okropnie, że czym prędzej postarałam się je zgubić, czyli schować jak najgłębiej. Z czasem pozwolono nam też już używać coraz bardziej rozpowszechnionych wiecznych piór. I znów: cała klasa miała taniutkie pióra bakelitowe ze stalową stalówką, moje natomiast było ze znanej z bardzo drogich wyrobów firmy Pelikan, z pięknie – zielonymi literkami wzdłuż zakrętki – wygrawerowanym imieniem i nazwiskiem i stalówką szczerozłotą! Nie daj Boże wyrwać mi się było – nieopatrznie – że potrzebuję zeszytu. Już niebawem leżała na mym biurku cała sterta tych wspaniałych, w czarną ceratę oprawnych brulionów o świetnym, połyskliwie białym papierze, do których tak daremnie dziś tęsknię!

Z biegiem lat przyhamowałam przesadną hojność mego Taty w ten prosty sposób, że prosiłam go tylko o pieniądze. Dawał je chętnie i dużo, nigdy nie pytając, na co zostały wydane. A ja nie wydawałam ich wiele, bo nie miałam na co. Łakoma nie byłam nigdy i do dziś nie jestem. Za kinem nie przepadałam – zbyt powierzchownie i szybko przetaczały się filmy na ekranie – a na kilka co ciekawszych, pamięt-

-----  
<sup>1</sup> Chodzi o książkę Hieronima Derdowskiego pt. *O panu Czorlińskim, co do Pucka po sece jachoł*.

niejszych pozycji – bywały podówczas godne zapamiętania produkcje słynnej UFY – zabierała mnie niekiedy Nelly. Stroje też mnie szczególnie nie pociągały, bo choć nie cierpiałam szkolnych chałatów, tych granatowych fartuchów i workowatych mundurków, cywilne sukienki też wydawały mi się brzydkie, po wystawach oglądanych w Szwajcarii czy Wiedniu. Na krótkie przerwy zimowo-wiosenne w zupełności wystarczały mi byle jakie bluzki, sweterki i spódnice. Latem natomiast kupowałam kilka lekkich, kretonowych sukienek o tak niewymyślnych fakturach i kroju, że – podrosłej już pannie, która otworzyła mi drzwi, witając poprawną angielszczyzną – zagranicznik jakiś, odwiedzający Ojca w interesach wcisnął zdumiony w garść parę monet, sam po chwili czerwieniąc się jak uczeń, gdy zrozumiał, że domniemana pokojówka, czy zgoła służąca, jest rodzoną córką pana domu.

Pod jednym tylko względem idealnie zgadzaliśmy się oboje – nigdy nie żalowaliśmy pieniędzy na książki. Dwa razy do roku – zimą i latem – spędzaliśmy dobrych parę godzin w księgarni Gebethnera na Krakowskim Przedmieściu, skąd odsyłano nam do hotelu spore paczki wydawniczych nowości. U schyłku trzydziestych lat letnie te zakupy załatwiałam już w drodze do domu sama. Pojemny bagażnik naszego samochodu łatwo wchłaniał całą tę obfitość, mieścił też sporo solidnych, skórzanych waliz oklejonych mnóstwem różnokolorowych i różnokształtnych reklamówek zagranicznych hoteli oraz okrągłe pudło z czarnej ceraty, przeznaczone na kapelusiki Nelly.

Czy to z okazji jednej z takich książkowych wypraw pozostała mi w pamięci wysoka postać przystojnego bruneta o olśniewająco białych zębach? Czy wtedy po raz pierwszy zobaczyłam Aleksandra Wata? Gdy poznałam później jego i jego wiersze, nie ośmieliłam się o tym niejasnym obrazie dawnych dni wspomnieć, bo do dziś pewna nie jestem, czy doprawdy zgodny był z rzeczywistością.

Ale w tych latach z całą pewnością wpadła mi do rąk książka, którą – raz zacząwszy – czytałam zachłannie przez całą noc i dzień następnym: *Ład serca*. Po zakończonej lekturze siadłam i napisałam długi – o, długi (zgroza!) list do autora, na gorąco przekazując mu wrażenia z lektury. W końcu, po ponownym odczytaniu, wzruszyłam ramionami nad swym niedowarżonym pomysłem i... epistoły nie wysłałam. Cóż może zależeć sławnemu – nagroda MŁODYCH – autorowi na wylewnych wynurzeniach pensjonarki?

Nieczęste i krótkie spotkania w Warszawie miały w sobie coś z wagarów lub zakonspirowanego kontaktu pary spiskowców. Nelly bowiem – szowinistka zaciekle – głęboko gardziła Polską i Polakami,

choć w ogóle ich nie znała, i nie jeździła tam nigdy. Stąd też radosna pewność, gdy oszklona, okazała weranda z obitą wiśniowym pluszem ławeczką – czyli winda Bristolu – unosić mnie zaczynała, że za chwilę spotkam się z Ojcem i z nim samym tylko. Prócz wypraw po książki, pysznych obiadów i kolacji (z czasem też już u Simona i Steckiego) w tymże Bristolu, aromatycznej kawy u Loursa i długich spacerów w Łazienkach i Alejach Ujazdowskich ugadywaliśmy się serdecznie *de rebus publicis et quibusdam aliis*<sup>1</sup>, nadrabiając wielomiesięczne nieraz zaległości. Cóż to były za śniadania przy wspólnym stoliku w jego pokoju (mój zawsze był obok), gdy rozmawialiśmy, a rozmawiali, pałaszując z apetytem a to jajka w szklance, a to chrupkie rogaliki i bułeczki, a to świeżutką szyneczkę. Zasadniczą, warszawską moją trasą był piękny, sobie równego w świecie chyba niemający, Trakt Królewski. Inną Warszawę poznałam wrywkowo tylko i nieco później. To podczas jednej z tych bezkresnych niemal rozmów zapytałam – wpółdorosła już – wprost i odważnie:

– Czy ty się z Nelly ożenisz?

– Nie – odpowiedział tak rzeczowo i spokojnie, że zrozumiałam, iż od dawna czekał na to pytanie. – Nie ożenię się. Obiecałem to Pam. Nie chciała dla ciebie macochy. I Nelly jakoś to wytłumaczyłem. Ale ona u nas zostanie, bo mi potrzebna – a po namyśle dorzucił – i chyba ja jej.

Inną, tą później poznaną Warszawą, był Grochów, a dla ścisłości Kamionek. Samodzielnie jeżdżąc do domu, nocowałam tam niekiedy u państwa Wegnerów. W Alejach Jerozolimskich – tuż przy masywnej sylwetce nowo wzniesionego, nowoczesnego gmachu BGK – wsiadałam do czerwonego tramwaju nr 24 i przez most Poniatowskiego jechałam a jechałam bezkresnie długo: „na Pragę”, na onże Grochów – i przez kociołbiastą jezdnię do celu.

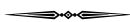
Celem był niewysoki, ceglany dom, nieco cofnięty w głąb podwórza, o ścianach szczelnie pokrytych ciemnozielonym dzikim winem. Wegnerów – jakąś wspólnotą interesów połączonych, choć luźno, z Ojcem – było trzech, a rodzina pochodziła z Nadrenii. Najstarszy, Gerhard, był milkiwym, chudym i kościstym starym kawalerem. Mieszkał na pięterku, chodził latem czy zimą okutany w ogromny, kraciasty szal z sutymi frędzlami i nie odzywał się niemal wcale; średni, Gottlieb, ożenił się z Polką i sam do cna spolonizował na Bogumiła, a jedynemu synowi dał imię Stanisław. Najmłodszy wreszcie, Friedrich, czyli Fryc, był zgodnie z tradycją rodzinną ewangelikiem i w domu

-----

<sup>1</sup> *de rebus...* – (łac.) o sprawach publicznych i różnych innych.

mówił tylko po niemiecku, choć i polski znał biegle. U niego to właśnie nocowałam, gdy przed wyjazdem do domu coś jeszcze wypadło mi nazajutrz załatwić w Warszawie. W czyściutkim i jak pudełeczko wysprzątanym mieszkanku witała mnie Mariechen. Żona najmłodszego z Wegnerów była autentyczną Szwabką ze Szwabii i w Warszawie czuła się bardzo źle. W zawodzie swoim – a była złotnikiem i niejedną raz z dumą prezentowała mi swą majstersztukę: ciężki, misternie pleciony złoty łańcuch wysadzany ametystami – pracować nie mogła, bo z trudem ledwo kilka polskich słów zdołała sobie przyswoić. Cierpiała też z racji mieszkającej w sąsiedztwie szwagierki, co dzień obrzucającej ją wyzwiskami, które nieodmiennie kończyły się wrzaskliwą radą, żeby Szwabka do Szwabów się wreszcie wyniosła. Popłakiwała więc po kątach, niańczyła małą córeczkę Trudkę, a z czasem pochorowała się tak ciężko na nostalgię, że znękany Fryc zabrał ją z dzieckiem i na dobre wywędrował do szwabskich swoich teściów jeszcze przed olimpijskim 1936 rokiem.

Ale czas już zakończyć wątek Nelly.



Biedna Nelly. Starala się rzetelnie sprostać swemu zadaniu, czy temu, co sobie jako zadanie wyobrażała, a wynikały z tego coraz gorsze nieporozumienia. Od pierwszego już zetknięcia – przy którym sprezentowała mi parę bliźniaczek lalek (lalek!) w ślicznym, ceratowym wózku z pościelą i całym pudłem własnoręcznie przez nią – jak zwykle nienagannie – uszytej, haftowanej, szydełkowanej i na drutach robionej wyprawki.

Potem – głęboka niezgoda z racji Babci.

Z kolei – Nelly – szowinistka natrząsająca się z polskich tradycji, potraw, obyczajów. Otrząsała się ze wstrętu, gdy – nieco przekornie – pod niebiosa wynosiłam smak i wszelkie inne zalety naszych barszczy, żurków czy kapuśniaków. O karpia na wilię ani słyszeć nie chciała, bo obyczaj niemiecki karpia jeść każe w sylwestra. Papierowe i wdmuszkowe ozdoby dawno znikły z choinki – połyskiwała tylko kupnymi cackami. Dzielenie się opłatkiem, święcone do kościoła noszone, rezurekcja – cóż to za barbarzyńskie obyczaje! A procesje! A kult świętych!

Nelly – ewangeliczka (jak twierdziła, bo do kościoła w największe nawet święta nie chodziła) – wyszydzała wreszcie też i mój owalny, ciężki, na jasnoniebieskiej wstążce z szyi zwisający srebrny medal So-

daliski Mariańskiej jako amulet („nasza religia takich zabobonów nie uznaje i nie potrzebuje!”). Ale tu nie ma już do czynienia z półopierzoną smarkulą. Młoda, dorosła, mocno do swoich przekonań przywiązana dziewczyna zwycięża ją bez trudu w tej – jałowej w istocie – dyskusji i zmusza do kapitulacji.

Nelly – ogłupiona rasistka. Kiedy chce zadzwonić do Fila, krzyczy nagle:

– Nogą w naszym domu nie stanie ten Żydzia!

– Ależ jego matka jest Greczynką.

– Wykręty. Każdy teraz tak mówi, a wystarczy rzut oka i wiadomo!

Nie stała się prawdziwą, histeryczną entuzjastką Hitlera, a w latach późniejszych znacznie mniej miała powodów do uwielbiana go, ale ziarnka padły na glebę urodzajną.

Nelly wszelkimi sposobami usiłująca nakłonić przyciężkiego, niezgrabnego podlotka do uczęszczania na nieodzowną – w jej pojęciu – *Tanzstunde*. Zwycięża wreszcie koronnym argumentem, że będzie to z korzyścią dla... FIRMY. Nieodrodna naśladowczyni głupiotkiej, lubeckiej Toni primo voto Grünlich, secundo voto Permaneder de domo Buddenbrook (zaczytywałam się dziejami tego zacnego mieszczańskiego rodu w owych latach, powracając do nich z każdym rokiem), dla której interes FIRMY górował nad wszystkim – dają się wreszcie przekonać. Kategoryczny i jedyny warunek: lekcje prywatne, nie zespołowe. I oto w pustej sali zwinny Herr Müller o wypomadowanej czuprynie i fryzjerskim wąsiku wtajemnicza mnie kolejno w zawiałości angielskiego walca i fokstrota. Aż w końcu z płyty rozlega się najmodniejsze tango *La Paloma*: „Hen w świat płynie okręt, prując grzebienie fal / i w krąg widać tylko morze i siną dal”...

Siarczyście zmordowana próżnym a niezdarnym szuraniem po śliskim parkiecie, pierwszy raz w życiu zdobywam się na propozycję łapówki. Herr Müller kryguje się tylko odrobinę – dla przyzwoitości. Potem ochoczo bierze cichą dopłatę, czyli wręczone mu powtórnie – prócz oficjalnie ustalonego – honorarium. Po czym na firmowym blankiecie swojej Szkoły Tańców Towarzyskich zaświadcza, że kunszt ten posiadałam w stopniu zadowalającym. I nareszcie jest spokój: wilk syty i owca cała.

Biedna Nelly! Jakże już niedługo znikną bezpowrotnie jej głębokie, ścienne szafy wypełnione mnóstwem angielskich kostiumów, najmodniejszych sukienek, kreacji koktajlowych, czy popołudniowych i wytwornych wieczorowych toalet. Znikną futra i puszyste, srebrne lub niebieskie lisy, którymi tak lubiła otaczać swą nieistniejącą szyć.

Opustoszeje spora, piętrowa szkatułka z czerwonego safianu, wyściełana beżowym zamszem w każdej przegródce i pełna jej umiłowanych skarbów.

– O, to, widzisz, to białe korale! A te perły mają odbłask rzadko spotykany, różowy! Te łańcuszki są z platyny. Ten z kolei pierścionek – no, na karatach się nie znasz – jest wyjątkowej wartości, brylant jak łaźnia czyściutki! I zaraz zobaczysz coś, czego na pewno nigdy jeszcze nie widziałeś, spójrz: to biały szafir, prawda, że wspaniały? Tę bransoletkę z dukatowego złota niesłychanie tanio kupiłam na jednej z tak licznych – wtedy, pamiętasz? – licytacji. A ta agrafa z rubinami...

Godzinami mogła tak opowiadać i przebierać w swej biżuterii, przesypując ją z ręki do ręki jak dziecko garść kolorowych kamyków. Zabezpieczone misternym zamkiem, od którego kluczyk nosiła na cieniutkim, złotym oczywście, łańcuszku, pokazywała je też niekiedy – bo wszystkich naraz włożyć przecież na siebie nie mogła – co bardziej zaufanym swoim paniom z fraucymeru – nieświadoma, że nie tylko im imponuje, ale jednocześnie budzi wściekłą zazdrość.

Z oszczędności (i przy wydatnej finansowej pomocy Ojca) kupiła podmiejską willę. Podzieliła ją na trzy umeblowane mieszkania i korzystnie wynajmowała, uciulane w ten sposób pieniądze wymieniając co prędzej na złote, okrągłutkie, połyskliwe dolary, przechowywane starannie w białych, szeleszczących bibułkach.

– Mój skarbiec! – mawiała czule, przekonana najgłębiej o własnej skrzętności i zapobiegliwości. – W późniejszych latach żyć będę mogła z tego najspokojniej w świecie.

*Vanitas vanitatum*<sup>1</sup>. Jak na ironię losu już w niewiele lat później pożar – pospolity, żadnym wojennym działaniem niedający się przypisać – strawił aż po fundamenty podmiejską willę, w której tyle pokładała nadziei. Nawet mebli nie zdołano wyratować, a sumka ubezpieczeniowa wypłacona za te nagłe straty też niebawem się rozpełzła. I gromadźże tu, człowiecze, cenne kamyki, budujże na kamieniu!

Biedna Nelly. Drogi nasze rozeszły się ostatecznie już z początkiem lat czterdziestych. Byłam dorosłą, z racji wojennych wydarzeń jeśli dla niej nawet nie niebezpieczna, to jednak niewygodna, i straciłyśmy się z oczu – bez żalu.

Parędziesiąt lat później dowiedziałam się – jak zwykle bywa, przypadkiem – o jej późniejszych latach.

– A mieszkała tu taka pani – opowiadał były dozorca niedużej, wiedeńskiej czynszówki. – Starsza, chorowita i bardzo nerwowa. Za do-

-----  
<sup>1</sup> *Vanitas vanitatum* – (łac.) Marność nad marnościami (*Eklezjasta* I, 2).

brze to się jej nie wiodło, czasami to i z komornem zalegała. Pod koniec, jak już bardzo była słaba, to zasiłek miejski dano jej z opieki. A ja tom czasem jej w piecu palić chodził, zakupy jakie zrobiłem. Niewiele potrzebowała. Grzeczna zawsze była. I po pogotowie zadzwoniłem, kiedy już tak ciężko się pochorowała. I z tej choroby w szpitalu umarła. Nie, nie wiem, na jakim cmentarzu ją pochowali. Ona nietutejsza, gdzieś z Niemiec była. Krewnych żadnych ani znajomych tu nie miała. A tych rzeczy, co po niej zostały, tak było niewiele, że po sprzedaniu nawet na porządny pogrzeb nie starczyło. I na koszt miasta ją pochowali.



Czy to wtedy? Czy to się wtedy już zaczęło? Jak kto woli – bo właściwie już tak i jeszcznie. Na słupach ogłoszeniowych coraz więcej obwieszczeń: „Licytacja – licytacja – przetarg – licytacja”. Puchną od nich i gazety, a tuż obok ogłoszenia: „korzystnie – przystępnie – na dogodnych warunkach – sprzedam – sprzedam”. Meble, porcelanę (KPM, Miśnię, Villeroy & Bosch, wzór cebulowy Rosenthal), dywany, sztuce, bieliznę stołową, księgozbiory, lampy, obrazy. Place, działki, czynszowe kamienice, dobrze prosperujące pracownie, wytwórnie, sklepy, instalacje warsztatowe, maszyny, apteki, gabinety lekarskie, wytworne wille. Istotnie – okazje jakich mało. I w ciasnych, ciemnych salach licytacyjnych tłok niebywały. Raz czy drugi trafiam do nich i ja z radośnie podnieconą Nelly. Niby nic nadzwyczajnego, choćby: – Kandelabr z brązu sześcioramienny, cena wywoławcza... – i zaraz potem – po raz pierwszy, po raz drugi, po raz trzeci!

I – trrrrach. Młotek przybija nieubłaganym trzaśnięciem dokonaną właśnie transakcję, a następnie...

Nie. Wcałe nie jest to takie zwyczajne. Nieuchwytny, złowrogi zapach wypełnia mroczne salki, gęstnieje w oparach oddechu stłoczonej ludzkiej ciźby, trąci ni to spalenizną, ni to zgnilizną – dławii. I więcej już nie chodzę na te – niesamowite mimo pospolitych pozorów – imprezy, mimo że prasa, a z czasem nawet i radio nawołują donośnie: okazja – okazja – okazja!

Cóż to się dzieje? Cóż w tym dziwnego, że ludzie podróżują, przemieszczają się na te i inne miejsca szerokiego świata? I cóż dziwnego, że pełno, coraz więcej ich właśnie w portach. Stąd przecież odchodzą statki – tu kursuje z rosnącym powodzeniem transoceaniczny przewóz najnowocześniejszą Gdynia-America Line. Co chcą – to z sobą (jeszcze!) biorą. Co zbędne albo w transporcie kłopotliwe – od ręki



sprzedają na miejscu. Bo i pieniądze potrzebne. A z czasem – coraz więcej pieniędzy. I później – już tylko pieniądze.

Wyjeżdżają. Niepostrzeżenie, z wolna jedynie narastając, zaczyna się ów exodus, wielka wędrówka ludów – któraż to już z kolei? Na początek – gdy przy walnej pomocy hitlerowskiej Luftwaffe (której przecież wcale miało nie być! Którą starannie acz w tajemnicy wyszkolił niespodziewany cichy sojusznik – Związek Sowiecki) – zatopiona już we krwi została na niemal pół wieku republikańska Hiszpania – gdy pożary do wtóru tłuczonych szyb i szkła rozświetliły ponurą ciemność hitlerowskiej kryształowej nocy (*Kristallnacht*), czyli wielkiego pogromu – wyjeżdżać zaczęli najbardziej dalekowzroczni, najprzezorniejsi.

Nie tylko Żydzi. Emigrować zaczęli z Niemiec – później z Austrii i Czechosłowacji – pisarze, artyści, lekarze, muzycy, plastycy, aktorzy, zdolni publicyści, wybitni uczeni, a też niejeden majster drukarstwa czy rękodzieła. Zresztą, któż w Mieście rozpoznałby ich – jeśli nie byli w uderzający jakiś sposób „podobni”. Próżno tu szukać długich chałatów, pejsów, jarmułek, kaftanowej biedoty i wybladłych, chasydzkich młodzieńców o pałających, od spraw tego świata oderwanych oczach, prowadzących z obu stron pod ręce brodatych, dostojnych rabinów w czarnych jedwabiach i sutych, lisich czapach. Tych ostatnich oglądałam tylko podczas corocznych pobytów u wód w Karlsbadzie, alias Karlovych Varach, gdzie przyjeżdżali na kuracje. A biedotę żydowską – nie w Warszawie, lecz na szkolnych wycieczkach lub w wileńskich zaułkach, które przez kilka lat z rzędu też odwiedzałam podczas długich, letnich wakacji.

Jedyną ortodoksyjną żydówką, jaką zapamiętałam z wczesnego dzieciństwa, była nasza sąsiadka, pani Goldknopf. Niska, otyła, w rudawej peruce, przynosiła nam okrągłe, smakowite mace, które pojadałyśmy z Pam, opalając je nad ogarkiem świecy – wtedy były bardziej chrupkie. Byliśmy chyba jej „szabes gojami”<sup>1</sup>, bo jak przez mgłę pamiętam przenoszenie przez wspólną sieć jakichś woreczków i naczyń. Ale w dużym niemieckim mieście rozpoznać Żyda było niezmiernie trudno. Zaadaptowali się tam od dawna, ubierali jak wszyscy, chodzili starannie wygoleni, posyłali dzieci do normalnych – oczywiście z wyjątkiem nauki religii – szkół i po prostu byli lojalnymi obywatelami swego kraju, tyle że odmiennego wyznania. Ale ta – prywatna w końcu – różnica jakoś przez lata całe ani im, ani nam nie przeszkadzała.

-----  
<sup>1</sup> Osoba wykonująca podczas szabasu, będącego dla żydów świątecznym dniem odpoczynku, prace, których w tym czasie nie wolno im wykonywać.

– Zresztą jestem Niemcem – wywodził wytworny mecenas Schleiermann, gdy spotkaliśmy się z nim w kawiarni. (Można się było – jeszcze – spotykać w kawiarni – choć niedługo już – o, niedługo!). – Mógłbym panu – zwrócił się do Ojca – pokazać pamiątki mej młodości: bliźnę przez całą pierś, a w biurku EK II i EK I (odznaczenia bojowe, żelazne krzyże równe mniej więcej naszemu Krzyżowi Walecznych). I Niemcem być nie przestanę. Tak wyrosłem, tak mnie wychowano. A tu odmawiają mi nagle ojczyzny. No cóż, zrezygnowałem z radcostwa w banku, jadę do Anglii. Tam znajdę współnika. Kolegę ze studiów w Heidelbergu. Przykry, oczywiście, ten nagły zalew barbarzyństwa. No, ale cóż, to przejściowe, przejściowe...

– Jadę do Francji – uśmiecha się niepewnie starsza, elegancka pani. – Nie, to nie z tych względów, no, jak się to mówi, aryjskich. Nas to nie dotyczy. Ale obco mi się tu zrobiło. Dawnych przyjaciół coraz mniej. I tak duszno. Jadę do syna. Dostał tam świetną posadę inżynierską. Już trzy lata temu. Rodzinę założył. Taaak, skończył naszą politechnikę z najwyższą lokatą. Ale nie wiem, czy się przyzwyczają. No, spróbuję. Tylko że, jak to powiadają, przesadzać stare drzewa to daremna praca. I grób męża tu zostawiam. Z opłaconą opieką, ale zawsze...

– Ja tam wyjeżdżam do Stanów – czupurny młodzian niecierpliwie potrząsał czupryną. – Tu, to już nie życie. Matkę mam Żydówkę, i co z tego? Wcale niepodobna, zresztą nosa z domu nie wyściubia, odkąd, no, sami państwo wiecie. Ale ojciec już połowę stałych pacjentów stracił, w domu istne piekło. Oni chyba się rozwiodą. Zresztą, co mnie to obchodzi. Żyć chcę, studiować, a tu... Matka zresztą ma rodzinę w Ameryce. Daleką, ale zawsze. W Chicago. To tak na początek. Później dam już sobie radę. Angielski znam zresztą doskonale, od dziecka brałem lekcje, prywatnie.

Lilka, dawna przyjaciółka z dziecinnych jeszcze lat... Nelly przekazywała mi wiadomość: – Nie było cię, a właśnie telefonowała jakaś twoja szkolna przyjaciółka! (*Schulfreundin*). – Jakże gniewnie protestowałam! Zbyt dobrze z francuskich lat pamiętałam głęboką, zasadniczą różnicę między *amie*<sup>1</sup> a *camarade*<sup>2</sup>. Ale w niemieckim *Kamerad* istnieje tylko jako „kolega z wojska”. Za to przyjaźnią szafują beztrako na wszystkie strony: *Schulfreundin*, *Hausfreundin*, nawet wybierając się do znajomych, komunikują, że idą z wizytą do przyjaciół, choćby ich zaraz potem mieli najstraszliwiej obszczekać i oplotkować. Ale z Lilką przyjaźń przetrwała próbę lat. I właśnie Lilka, krzywiąc się jak po cytrynie, oznajmia: – Do Melbourne jadę. Na stałe. Do brata.

<sup>1</sup> *amie* – (franc.) przyjaciółka.

<sup>2</sup> *camarade* – (franc.) koleżanka.

Dużo ode mnie starszy i właściwie nigdy nie byliśmy ze sobą blisko. Ale chce mi teraz pomóc. Bo tu wytrzymać już nie mogę. Ojciec, jak wiesz, był Szwedem. Umarł trzy lata temu. A matka nagle na temat tego Hitlera zwariowała. Lata na jakieś zebrania, broszury przynosi. Przekabacił ją taki Niemiec. Partyjny – często, za często u nas bywa. Co mi tam zresztą. Właśnie w tym roku jestem pełnoletnia. Mogę robić, co chcę. No, to jadę. Muszę sobie jakieś miejsce gdzieś znaleźć. A póki go nie znajdę, pewnie do ciebie nie napiszę, bo niby po co?

Kropelki to na razie tylko. Niepozorne odpryski. Stopniowo łączą się zaczną w strumyczki i strumyki coraz to większe, zwawiej płynące, niepostrzeżenie zamienią się w wartki potok, by z kolei groźnie już zahuczeć spienioną falą potężniejącej z każdym rokiem rzeki. Wędrować, przemieszczać się w najrozmaitszych kierunkach zaczną gęste masy ludzkie. Mało z tych wędrowek ludzi i ludów pozostało do dziś w naszej pamięci. Zasięki kolczastych drutów (bez prądu) obozów jeńeckich: stalagów i oflagów, kolczaste (pod prądem) druty obozów koncentracyjnych, dymiące kominy obozów zagłady, a jeszcze przecież – choć ileż lepsze – obozy dla internowanych, długie wędrowki w upartej nadziei, że „tak lepiej” – przeważnie daremnej, bo okazywało się, że gorzej – ze wschodu na zachód, z zachodu na wschód. Dzieci wywożone w zimowe noce, bez matek, matki odrywane od dzieci, rozbite, rozproszone rodziny, stada ludzkie wywożone w bezkresne, głodne stepy i w nieubłagane trwającą mroźno-śnieżną straszliwość gułagów, setki tysięcy młodych i nie tak już młodych koczujących pod namiotami i zawsze obojętnym księżycem Afryki, Indii, Persji, a jeszcze ci, którzy znaleźli się w fabrykach broni i amunicji, a jeszcze nie tylko przecież Marysie i Zosie, ale Maruszki i Sońki wywiezione na przymusowe roboty do Tysiącletniej Rzeszy, a jeszcze później otepiarli, niczego niepojmujący nadbałtyccy Niemcy, całymi rodzinami przymusowo wywożeni w Poznańskie, wpychani do obcych domów, których prawowitych mieszkańców przepędzono z kolei do GG, a jeszcze, niby już „po ustaniu działań wojennych”, długie rzędy towarowych wagonów wiozące ludzi spod Wilna, Grodna, Łucka, Lwowa czy Krzemieńca na „pradawne i odwieczne polskie Ziemie Odzyskane”, skąd migracje dotąd tam mieszkających Niemców...

Z czasem liczyć ich zaczną sprawniej, traktować znośniej, upychać gdzie się da. Żeby coś w końcu z nimi zrobić – żeby nie ciążyli, nie zawadzali. To z końcem lat czterdziestych przerażony ich widokiem Jerzy Zagórski zatytułował swoją relację *Indie w środku Europy*. To dla nich znaleziono tuż po wojnie zbiorczą nazwę dipisów. *Displaced per-*

sons. Osoby przesunięte, przemieszczone, dowolnie dyslokowane. Na swoim miejscu już się nie znajdują. Nigdy na nie nie wrócą. Mimo tych czy innych, zawsze połowicznych rozwiązań sprawy krążyć będą przez lata jeszcze, dziesiątki lat, po coraz bardziej kurczącym się i malejącym, coraz bardziej nieprzychylnym im świecie.

A Wietnam? A rozpaczliwe próby ucieczki wątlą łupinką *boat people*. A Pakistan? Chile? A Afryka? A Kambodża? Meksyk? Nikaragua? Afganistan? I jeszcze...

Tych pierwszych, osobiście niekiedy znanych, można było jeszcze nazwać i określić. Opisać ich wygląd, wiek, ubranie, stan rodzinny, zawód. Z biegiem lat zatarło się to wszystko, starło na niedające się zdefiniować drobiny, które z coraz większą szybkością przemieszczają się w czasach, miejscach, przestrzeni. UFO – *unidentified flying object* – jak do dziś brzmi nazwa w półserio tylko. Wpół bojaźliwie-żartobliwie wspominanych nieokreślonych obiektów latających. Zależnie od dziennikarskiej fantazji są one raz latającymi talerzami, to znów dziwnie świecącymi pojazdami mieszkańców Marsa czy zgoła w ogóle kosmosu. Ale przyjrzyjmy im się uważnie. Przyjrzyjmy się – w lustrach – sobie. Pędzi świat i oni – niepoohamowanie rozpedzeni – w nim coraz dalej pędzą. Ja / ty / on / my / wy / oni. Po cóż w niemałym trudzie szukać określeń jeszcze bardziej dokładnych i ścisłych? UFO, UFO najzupełniej wystarczy!



*Rerum cognoscere causas* („Poznać przyczynę rzeczy”).

Te słowa Wergilego głęboko tkwiły w rozgorączkowanej mojej głowie, kiedy zabrałam się do studiów na własną rękę. Bo gdzieś przecież muszą być przyczyny, podstawy, zasady szaleństwa, które ogarnęło świat. Tylko: od czego zacząć?

Zacząć wydawało się konieczne od dalszej, mniej znanej strony, czyli „czerwonego niebezpieczeństwa”, a więc „żydokomuny”. Już nie pamiętam, jakim sposobem zdobyłam spaśne tomisko wcale – w owym czasie – nie tak wskazanej ani bezpiecznej lektury. Zapamiętałam jedynie, że było oprawione w gładkie, czarne płótno akurat tak samo jak pozbawiona tytułowej karty *Historia Polski* na Babcinej półce. I marszcząc czoło nad zawilościami potężnego tekstu, ufnie i aż po uszy pograżyłam się w jego studiowaniu.

Poły czarnego – tak, na pewno czarnego – sukiennego surduta łopotać przy tym zaczynały nad moją skołataną głową – wiele też wyczy-

tać tam było można o cenach zboża – chyba żyta, bo z całą pewnością nie pszenicy – aż po tygodniach mozolnego przegryzania się przez gęstym gotykiem pokryte stronice wydało mi się, że rozumiem przynajmniej jako tako, co oznacza termin *Mehrwert*, czyli „nadwartość”<sup>1</sup>. Ale dalej szło już jak z kamienia i wreszcie, z westchnieniem, dałam za wygraną, zamykając przemądrą księgę. Ojciec, któremu zwierzyłam się z tych kłopotów, machnął ręką: – A po co ci to? Przecież to analiza gospodarki angielskiej i to w dziewiętnastym wieku! Podobno bolszewicy w swoich planach gospodarczych jakoś na tym się oparli, ale też ci na ten temat nic sensownego powiedzieć nie potrafię! U nas, w każdym razie, wszystko to na pewno nie jest i nie może już być aktualne!

Nie dawałam za wygraną. Sięgnęłam z kolei po cieniutką broszurkę – też nie pamiętam już jakim sposobem skombinowaną – i zachwyciło mnie pierwsze jej zdanie: *Ein Gespenst geht um in Europa...*<sup>2</sup>

Lektura poszła nadspodziewanie łatwo i szybko, pozostawiając jakby leciutki osad poezji, zwłaszcza po zdaniu ostatnim o tych proletariuszach, co to do stracenia mają jedynie własne kajdany, a do zdobycia świat cały. Tylko... tylko nie umiałam przeczytanego, płomiennego manifestu absolutnie z niczym konkretnym połączyć.

Proletariat? A kto to jest proletariat? Robotnicy? Znałam – choć niewiele – robotników. Z portu. Ze stoczni. Nie wydawali się szczególnie ze swego losu niezadowoleni, nie potrząsali żadnymi kajdanami. Przeciwnie – zarabiali nieźle i coraz lepiej. Suwnicowy przy portowych przeładunkach albo cieśla w stoczni – to już był nie byle kto: praca solidna, stała, bywało, że rodzinnie, z ojca na syna dziedziczona. Ubrani byli porządnie, od święta nawet zasobnie, oszczędzali, ponieważ mieli już albo właśnie budowali własne domki. Znów nic do niczego nie pasowało i znów powędrowałam z tymi rozterkami do Ojca.

– Przebrzmiały problemy – orzekł – przynajmniej w Europie. Bo jak jest gdzie indziej, po prostu nie wiem. Ale w czasach, gdy ten manifest powstał, robotnikom rzeczywiście źle się wiodło. Nienormowana, licho płatna robota, praca dzieci – nie tylko zresztą w Anglii – przecież pamiętasz *Tkaczy* Hauptmanna? Teraz się to wszystko zmieniło. Są związki zawodowe, ubezpieczenie od chorób i wypadków. A z tą nadwartością to chyba tak już być musi, bo gdzież sens jakikolwiek towar produkować i sprzedawać po tej samej cenie? Przecież musi być jakiś zysk. I zwykły robotnik też to świetnie rozumie. Im lepiej i więcej zro-

-----  
<sup>1</sup> Termin z *Kapitału* K. Marksa.

<sup>2</sup> *Ein Gespenst geht um in Europa...* – (niem.) Widmo krąży po Europie... [Pierwsze zdanie *Manifestu komunistycznego* K. Marksa i F. Engelsa.]

bi, tym też więcej zarobi. Zresztą, ja się po prostu nie znam na tych sprawach, więc niewiele zdołam ci wytłumaczyć.

Zwróciłam się więc w innym kierunku, sięgając po nowszą, też blisko osiemset stron liczącą, ostrym gotykiem drukowaną publikację, czytając uważnie od króciutkiego wstępu i dedykacji, aż po zakończenie, którego przedostatnie zdanie – mimo całej napuszonej bombastyczności – przejmowało dreszczem zgrozy: „Państwo, które w epoce zatrucia rasy odda się pielęgnowaniu swych najlepszych elementów rasowych, musi stać się pewnego dnia władcą świata”.

Oba te – w tymże napuszonym, ćwierćinteligentkim żargonie spisane – tomiska były zoologicznym wręcz i dzikim rykiem antysemitycznej nienawiści i – równocześnie – zacieklej, nieubłaganej wrogości względem Rosji (Związkiem Sowieckim nikt jej podówczas jeszcze nie nazywał). Tam – m.in. (str. 749, wyd. z 1939 r.; Zentralverlag der NSDAP, Franz Eher Nachf. München) spacją – czyli rozstrzelonym drukiem – umieszczone było zdanie: „W samym fakcie zawarcia przymierza z Rosją mieści się już zapowiedź przyszłej wojny”.

A Polska? O Polsce było niewiele: Przy omawianiu dotychczasowej, a więc weimarskiej, polityki Niemiec: „Połowiczna była polityka względem Polski. Wywoływano zadrażnienia, nigdy jednak serio nie ingerując. Rezultatem było ani zwycięstwo Niemiec, ani zgoda z Polską, lecz za to wrogość Rosji”. (str. 297 ww. wyd.)

I – po raz drugi i ostatni – (na str. 429): „Lecz nie tylko w Austrii, także i w samych Niemczech tzw. kręgi narodowców hołdowały i nadal hołdują podobnie błędnym zamysłom. Polityka względem Polski – której tak wielu się domagało – w sensie zgermanizowania Wschodu – oparta była niestety zazwyczaj na tym samym, błędnym założeniu. I tu także sądzono, że zdoła się przeprowadzić germanizację elementu polskiego przez czysto językowe zniemczenie go. I tu także rezultat okazał się fatalny: obcy rasowo naród, wyrażając obce swe myśli w niemieckim języku, skompromitowałby swą własną niższością wielkość i godność naszego narodowego dorobku”.

Tej książki nie musiałam zdobywać cichcem i po kryjomu. Od pewnego czasu – i coraz to butniej – rozpierała się na wszystkich wystawach księgarskich Miasta. O jej autorze – i o niej samej – napisano już tyle, iż... myśl udławia. Dla kronikarskiego porządku odnotuję więc tylko jeszcze, że w kraju i mieście, gdzie dziś te notatki z dawnych lat sporządzam – jest ona znowu – czy po stokroć słusznie? – wyklęta i w sprzedaży zabroniona. Sprokurowałam sobie jej edycję nie byle jaką – bo z „roku pamiętnego”. A pikanterii dodaje fakt, że jest ona opa-

trzona piękną, sepiową podobizną „Wodza” i – na samym początku – wklejką, jaką zaopatrywano w owych latach setki tysięcy jej egzemplarzy, służyła bowiem za swoistą biblię wielkiego, narodowo- nie zapominajmy, że też socjalistycznego i robotniczego ruchu i każdy urzędnik Stanu Cywilnego obowiązkowo wręczał ją przy akcie ślubnym kolejnym parom nowożeńców.

Głowa mi dymiła. Ale Ojciec przyznał, że sam nie zdołał się przeдрzeć przez tę gęstwinę fanatycznego bełkotu.

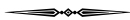
– To zresztą niedouk, wiadomo. Straszniejszy w tym, co wyprawia, niż co pisze. Hysteryk, megaloman. No i pisać po prostu nie umie. A że fanatyk? Politycy często są fanatyczni. Muszą być, bo jakże by zdołali porwać masy. No, ale wiesz, jest takie porzekadło niemieckie, że nigdy nie je się potraw tak gorących, jak je na stół stawiają. Może się to wszystko jakoś ułożyć, utrząsie...

– Ale co się już teraz w Niemczech z Żydami wyprawia, te szykany, bojówki, bojkoty, napady, grabieże, czy oni przynajmniej czytali ten program, bo przecież to jest program jasny, wyraźny – gorączkowałam się dalej.

– Nie wiem, czy czytali. I nie sądzę, żeby im to cokolwiek pomogło. Ci, którzy mogą, oczywiście wyjeżdżają. A co z resztą będzie... No, może się to z czasem wyburzy jakoś, ucichnie. Nieraz tak już przecież bywało...

Wiedziałam, że w Polsce wiele jest tak zwanych narodowych mniejszości. I że najliczniejszą spośród nich są właśnie Żydzi. Cóż dziwnego, że przy kolejnych odwiedzinach księgarni Gebethnera z miejsca zapytałam: – Czy tłumaczono już na polski *Mein Kampf* Hitlera? – Wytworny sprzedawca rzucił mi koso-lękliwe spojrzenie i samym brzeżkiem warg wyjaśnił, szepcząc prawie: – Nie, nie. Ta książka, proszę pani, jest u nas zakazana.

I to już do reszty nie mogło się pomieścić w zamąconej mojej głowie.



*Pa – lusz – ki w gó-rę*

*Ko – ci krok!*

*Bo to jest właś – nie*

*Lambeth walk:*

*– Tra-la-la-la-la-la*

*Tra-la-la-la-la-la!*

Lula, nasza niezrównana ekspertka w sprawach mody, filmu i najnowszych szlagierów, Lula – nieodznaczająca się nadmiernym intelektem, ale za to różnobarwnymi oczami (jedno zielone, drugie piwne), świetną figurą i chmarą umiejętnie roztrzepanych pozłocistych loczków – tak właśnie sparafrazowała na polski najmodniejszy przebój. Istotnie: tańczy się go pojedynczo, a właściwie poczłapuje na przygiętych w kolanach nogach, z uniesionymi wskazującymi palcami, które rytmicznie a figlarnie wygrażają niewidzialnym przeciwnikom.

Już minęła wiosna. Już przeszła – gładko właściwie i bezboleśnie – (bo któż by liczył parę trupów) – aneksja Austrii, a raczej powrót jej, ponowne (!) przyłączenie do Wielkiej Niemieckiej Rzeszy, a sądząc z tysięcznych rzesz wiwatujących na kronice filmowej, obie zainteresowane strony ucieszyły się z tego szczerze.

Awanturę – właściwie pierwszą *de rebus publicis*<sup>1</sup> wywołał polski udział w napadzie na Zaolzie. Ojciec, nie czekając długo, co prędzej i tam założył filię Trans-maru:

– A co? Miałem czekać, aż mnie inni uprzedzą? W interesach nie ma sentymentów – stwierdził rzeczowo, ani rusz nie mogąc zrozumieć mego wzburzenia i gorzkich wyrzutów.

Zakwitły, wyjątkowo obficie tego roku, kasztany. I już – matura. Opatrzone świadectwami dojrzałości (jakiejż jednak NIEdojrzałości) i zgromadzone tradycyjnie pod starą, rozłożystą lipą, paliłyśmy na wielkim stosie niepotrzebne już zeszyty, notatki, bruliony, chóralnie (a też tradycyjnie) wywodząc przy tym sentymentalną piosenkę:

*Upływa szybko życie  
jak potok płynie czas –  
za rok za dzień za chwilę  
razem nie będzie nas –*

*I nasze młode lata  
Popłyną szybko w dal –  
A w sercu pozostanie  
Tęsknota, smutek, żal...*

W przedwieczór ostatni – tuż przed opuszczeniem szkoły – spacerowałyśmy jeszcze gromadą po dużej drodze, czyli szerokiej, parkowej alei. Niebo było wysokie, wygwieżdzone, czyste, ale co i rusz przesuwały się po nim zielonkawobiałe smugi reflektorów: widmowe,

-----  
<sup>1</sup> *de rebus...* - (łac.) publiczną sprawę.



długie palce przyczajonych upiórów, albo – jak nam rzeczowo wyjaśniano – dowód naszej bojowej czujności i gotowości. (Wiadomo: „nie oddamy ani guzika!”, choć to hasło chyba nieco później się pojawiło).

Życie czekało: nareszcie samodzielne, wolne od dzwonek i regulaminów, własne, dorosłe nasze życie! Każda z nas wiązała z nim swoje plany – a chyba żaden ziścić się nie mógł. Ale – mimo wszystko – już byliśmy wreszcie osobne!



Zaraz: opowiedzieć trzeba jeszcze o willi. To już nie kamienica – ale piękny, biały, piętrowy dom na przedmieściu Miasta, które tuziemcy nazywali Długojazdem (Langfuhr). Polacy zaś – z bliżej niewiadomych przyczyn, gdyż lesista i łagodna była to okolica – przeraźliwym mianem Wrzeszcz. Ale nikt – podówczas przynajmniej – we Wrzeszczu nie wrzeszczał. Dojeżdżało się tam długą drogą drzewami wysadzaną i też dziwacznie początkowo Półaleją (Halbe Allee) zwaną, przemienioną później na Hindenburgallee<sup>1</sup>, wreszcie – a nieuchronnie – na Adolf Hitler...<sup>2</sup>, zwyczajnie tramwajem albo autobusem, a mieszkali tam co zamożniejsi mieszczanie.

Chociaż z tą akurat willą sprawa była przykra: ostatni jej właściciel (ponoć zawiadujący kilkoma sklepami z obuwem) wyemigrował z początkiem lat trzydziestych, a jego żona – emigrować nie chcąc – powiesiła się w tymże domu na strychu. „Ze stryszka nic dobrego” – mrużeli nieufnie znajomi. Ale Ojciec przesądów nie uznawał i dom kupił. Piękny dom, zaraz go zobaczycie!

Wchodzimy: z boku od Jaśkowej Doliny (Jäschkentaler Weg) na ślepa uliczkę Parkową<sup>3</sup> nr 1. Po trzech schodkach. Już jest długi korytarz-przedpokój, na którego końcu oczywiście lustro i wieszaki. Po lewej: wspaniała kuchnia, cała w białych kaflach, z lodówką, prozizem i wszelkimi atrakcjami późnych lat trzydziestych. Dalej – także po lewej – salon muzyczny. Już nie tylko biedne (acz niezłe) nasze pianino, ale i półkoncertowy, czarnoślśniący bechstein. Dalej: mały, przytulny salonik, z którego drzwi prowadzą bezpośrednio do wintergartenu – wysokiej, ogromnej, oszklonej werandy, gdzie w potężnych, zielonych kubkach żywot wiedzie aż osiem rozłożystych palm, nie mówiąc o zie-

-----  
<sup>1</sup> Obecnie al. Zwycięstwa. Przed wojną Grosse Allee, a później Hindenburgallee. Natomiast Halbe Allee to nazwa kawiarni, która znajdowała się dokładnie w połowie tejże alei.

<sup>2</sup> Obecnie al. Grunwaldzka – przedłużenie al. Zwycięstwa. Przed wojną Haupt Str., później Adolf Hitler Str.

<sup>3</sup> Obecnie ul. Pawłowskiego.



*Zaraz: opowiedzieć trzeba jeszcze o willi. To już nie kamienica - ale piękny, biały, piętrowy dom na przedmieściu Miasta, które tuziemcy nazywali Długojazdem (Langfuhr). [...] Piękny dom, zaraz go zobaczycie! Wchodzimy: z boku od Jaśkowej Doliny (Jäschkentaler Weg) na ślepią uliczkę Parkową nr 1.*



*I oto już jedziemy [...] aż do Sopotu, do świetnego podówczas Kasino-Hotel tuż nad morzem. Śnieżne stoliki, znakomita obsługa, jakieś jedzenie...*

lonym drobiazgu wokół (*Man wandert nicht ungestraft unter Palmen!*<sup>1</sup> – ostrzegła przysadzista pani K. w dniu poświęcenia domu, kiedy mi przyniosła reprodukcję Dürera: *Ręce w modlitwie*).

A z prawej? Z prawej – ciągle jeszcze na parterze – ogromna jadalnia z boazeriami do pół ściany, okienkiem do szybkiego podawania z kuchni potraw i szerokimi, balkonowymi drzwiami na taras, gdzie się latem, a też jesienią – przy sprzyjającej pogodzie – jadało śniadania. Stąd krok już tylko do gabinetu pana domu, z zamczystym biurkiem i wyłożoną najpiękniejszymi dywanami podłogą.

Pora teraz wejść na piętro: po lewej sypialnia pana domu, tuż obok wspaniały pokój Nelly (ach, te znakomite – koloru kości słoniowej ludwika, ach, te szafy w ścianach, do przesytu napełnione dobrem rozmaitym!). Pośrodku łazienka, kafelkowe, ogromne чудо, oczywiście z bidetem, matami na podłodze i podgrzewanymi rurami (dla wszelkich kąpielowych prześcieradeł czy ręczników). Jest jeszcze wąski, chłodny, acz pięknieumeblowany pokój gościnny. Po prawej: tuż koło schodów ziszczone wreszcie marzenie Ojca, pokój bilardowy, do gry bardzo popularnej w Mieście; i kilkakrotnie, cierpliwie kredą pocierając długie kije, zdołałam zagrać z nim partyjkę, zdobywając się nawet na tę czy inną – nie zawsze przemyślaną – karambolkę. I oto już moje królestwo: w pierwszym pokoju – niestety! – znów czarno-biały zestaw młodzieżowych mebli, w drugim natomiast – wspaniała niespodzianka: wszystkie, pięknie odnowione, mahoniowe i ciemnoniebieskim (to o fotelach i kanapce) pluszem kryte nasze meble ze Zgniłej Fosy. Przetrwały gdzieś na przechowaniu i oto szczerze cieszę się nimi teraz, łącznie z komódką o przestronnych szufladach i owalno-jajowatym lustrze. Krótco tam jestem: przez lato 1938, zimowe wakacje 1938/39 i ledwie parę tygodni pomaturalnych w 1939 roku – ale zawsze: swoje to wreszcie, domowe.

Dokonamy teraz wolty w czasie: najpierw będzie czerwiec 1939 roku, a później dopiero – cóż – zobaczymy...

Jest więc ten czerwiec. I jestem ja, świeżo upieczona, a już na Uniwersytecie Warszawskim immatrykulowana maturzystka. (Polonistyka – taki – „matrymonialny” wydział. Dlaczego? Po prostu dlatego, że chcę wiedzieć, coraz bardziej wiem, że nic nie wiem, coraz nieufniejsza staję się wobec języka, zdając sobie aż nadto dobrze sprawę, że w gruncie rzeczy wcale go nie znam – więc?!). I jest mnóstwo gości, wspaniałości, kwiatów w tej naszej nowej jadalni: uroczyste przyjęcie,

-----  
<sup>1</sup> *Man wandert nicht...* – (niem.) Nie można bezkarnie spacerować pod palmami!

przemówienia, toasty, aż do chwili wręczenia mi przez Ojca (znacznie więcej to wówczas znaczyło niż dziś) malutkiego, szwajcarskiego zegarka w platynowej, brylancikami obsadzonej i na platynowym pasku umocowanej oprawie. Jeden jedyny wieczór miałam go na ręku, a gdy goście wyszli zaraz zdjęłam i – umiałam się już obchodzić z tajnym mechanizmem – zdeponowałam go w skrytce Ojcowskiego biurka. Coraz gorzej i bardziej obco czułam się w tym nowym domu. Jedynym pocieszeniem był fakt, że wkrótce wyjedziemy na wakacje, no, a od października zacznie się wreszcie dorosłe życie na własny rachunek: *Gaudeamus igitur, iuvenes dum sumus...*

I znowu szwenk, czyli obrót kamery wstecz. Jest grudzień 1938 roku. Wonna, ogromna, podsufitowa choinka, pod którą w wielkim pudle z potężną ciemnozieloną atlasową kokardą znalazłam ziszczenie moich marzeń: świetną maszynę do pisania Continental-Silenta (oczywiście całe następne rano jej poświęciłam, mozolnie dochodząc, w jaki sposób pisać... duże litery!).

Ale i święta minęły – nadchodził sylwester. Ojciec – nie bez wpływu Nelly – uznał, że czas już wybrać się z dorosłą córką na najprawdziwszy bal. Suknię miałam także dorosłą – chrzciny przeszłam już w 1936 roku na Wielkanoc w Szwajcarii i stąd ta, niezgorsza, kreacja z jasnoniebieskiego atlasu w nieco ciemniejsze kółka, pięknie skloszowana, na wąskich szeleczkach przy – pożałuj Boże – wysokoskromniutkim dekolcie, opatrzona nadto bołerką o krótkich, choć bufiastych rękawach. I srebrne pantofelki były też.

I oto już jedziemy ciężkim, czarnym a bezszelestnym buickiem aż do Sopotu, do świetnego podówczas Kasino-Hotel<sup>1</sup> tuż nad morzem. Śnieżne stoliki, znakomita obsługa, jakieś jedzenie, jakieś (była 22.30!) jeszcze tańce, uroczyście czarnostrojny i – owszem, przystojny – pan B. junior zaprasza mnie do baru na drinka, częstuje papierosem Virginia – dość to niespodziany przeskok od workowatego mundurka, a ponadto czuję za tym wszystkim matrymonialne knowania Nelly, bo chłopak nie tylko niczego i niegłupi, ale z domu więcej niż zasobnego – więc?

Więc na razie wracamy do swoich stolików, bo na salę wpuszczają chmarę do pełnej różowości wypucowanych prosiaczków (według niemieckiego porzekadła: *Schwein haben* – szczęście mieć!) i również szczęście niosących – należycie, acz przystojnie usmolonych – kominiarzyków. Sypie się deszcz konfetti, fruwać już serpentyny i nagle ciemność zalega salę i dobitnie, wielokrotnie uderza zegar! – 12 razy.

-----  
<sup>1</sup> Obecnie Grand Hotel.

– *Prost, Neujahr!*<sup>1</sup> – wołają chórem zebrani do wtóru strzelających, szampańskich korków.

Światło się zapala. Orkiestra grać zaczyna tradycyjnego noworocznego walca *Nad pięknym, modrym Dunajem*. Wypiłam już swój kieliszek szampana, ale zapobiegliwy, przystojny młodzian B. zaraz mnie prosi do walca – o ulga! to przynajmniej naprawdę umiem tańczyć. Tańczymy więc – dobrze i coraz lepiej się nam tańczy – może jeszcze – co następnie zagrają?

Ale dostrzegam u mijającej nas właśnie pary kose jakieś spojrzenie. Następna – w ogóle się zatrzymuje. Szu-szu-szu – coś się dzieje – tylko nie rozumiem, co. Nagle Nelly, jak ranna kwoka, wbiega na parkiet i obcesowo wrywa mnie z objęć osłupiałego kawalera: – Chodź! Chodź stąd natychmiast! – i wprowadza mnie w głębie hotelowych korytarzy ku przybytkom przeznaczonym wyłącznie dla pań. – No i jak ty wyglądasz?!

Jako że luster nie braknie, widzę „jak”: na lewej mojej łopatkce odciśnięta jest wyraźnie ręka: dłoń i całe pięć palców, skąpane we krwi.

Dało się biedzie zaradzić, usłużne pokojówki zmyły (nazajutrz i śladu nie było!) i cokolwiek podmoczona, ale wesoła wróciłam na salę. Czekał tam na mnie wielki bukiet czerwonych róż: niefortunny kawaler, jak się okazało, pijąc szampana o północy, stłukł kieliszek i zaciął się szkłem w rękę tak mocno, że wcale tego nie poczuł – niczego złego nie przeczuwając, poprosił mnie do tańca. Ale na dalsze płąsy nie miałam już jakoś ochoty i przy stoliku humory też były zwarzone.

– To co, jedziemy? – zagadnęłam Ojca.

Nelly jeszcze usiłowała oponować, ale ją przegłosowaliśmy. Zsunęta w ciemną głąb wielkiego wozu, mrużyć zaczęłam nagle w powrotnej drodze:

– *MANE – THEKEL – FARES...*<sup>2</sup>

– Co ty wygadujesz? – zapytał Ojciec.

Ale nie doczekał się odpowiedzi.

-----

<sup>1</sup> *Prost, Neujahr!* – (niem.) Niech żyje Nowy Rok!

<sup>2</sup> *Mane...* – policzono, zważono, rozdzielono (*Biblia, Daniel, 5, 25*) [Złowieszczy znak, groźne ostrzeżenie].



*... odmłodzony, bardzo też zmodernizowany Ojciec jechał do pracy. Nosił teraz miękkie, szare flanele, pastelowe popelinowe koszule o miękkich kołnierzykach, szare, z boków na guziczki zapinane modne getry do połyskliwie wyczyszczonych grubych półbutów, z górnej kieszeni marynarki wystawał mu rąbek śnieżnobiałej chusteczki...*

## [ II ]

*Dnia pierwszego września  
roku pamiętnego -  
napadł wróg na Polskę  
z kraju sąsiedniego -*

*Miasta poburzone  
Wioski popalone -  
Gdzież się mają schronić  
Ludzie przerażone?*

*Najwięcej się zawziął  
na naszą Warszawę -  
Warszawo, Warszawo  
Tyś jest miasto krwawe -*

*I tak nas gnębili  
całe trzy tygodnie -  
obyż Bóg najwyższy  
pomścił taką zbrodnię!*

Tę bardzo popularną w pierwszym okresie wojny piosenkę spisuje Ci, jak pamiętam – wariantów miała chyba sporo, inaczej też, choć nie chcę teraz tego sprawdzać, cytuje jej fragment Miron Białoszewski w swym *Pamiętniku z powstania warszawskiego* i inni.

Ale nie o to chodzi. Chodzi przede wszystkim o to, że pisać zaczynam tę oto część – na ile się da udokumentowaną i już wielokrotnie przez nas dyskutowaną – tak jak obiecałam: jak list z Polski do Ciebie, które-



go w niej wtedy nie było. I cóż, że go już nie przeczytasz? Obietnica nadal obowiązuje. Piszę więc, że przede wszystkim nie od tej piosenki powinienam tu zaczynać, bo...

Bo mnie w tym czasie w Polsce nie było. Nie waliły we mnie żadne bomby, nie pełniłam dyżurów przeciwlotniczych, a tym bardziej służby sanitarnej, nie brałam udziału w ucieczce na wschód czy południe kraju, w tych słynnych, tylekroć już opisywanych i rozpaczliwych rajzach, z bombardowanymi, ostrzeliwanymi pociągami, z wtulaniem się w okoliczne miedze i kartofliska, z niezbyt życzliwą (aczkolwiek konieczną) i krótkotrwałą gością po okolicznych dworach, majątkach i dworach.

Nie. Dnia 1 września „roku pamiętnego” mieszkalam najspokojniej we wcale zasobnym hotelu w Karlovych Varach (wówczas Karlsbadem zwanych). I na wiadomość o wojnie przypominałam sobie jakieś – pradawne, ale jednak pamiętne – opowieści Pam. Zeszłam więc do pobliskiej drogerii (bo zaraz tego właśnie towaru musi zabraknąć!) i spiesznie nabyłam aż sześć dużych, pięknie pachnących mydeł toaletowych. I tyle. Po obfitym, jak zwykle (od lat już!) śniadaniu – z chrupkami rogalikami, wędlinami, masłem, miodem i pyszną kawą – wyszliśmy z Ojcem na spacer. I on był jakiś poruszony, bo nagle kupił mi aż dwa zegarki: dobry budzik niemiecki firmy Junghans i ręczny zegarek (chyba Eterna – już nie pamiętam), który miał przetrwać wszystkie te burzliwe lata. Nelly nam nie towarzyszyła: zamknęła się w pokoju z nieodłączną – w chwilach niespodziewanych wzruszeń – migreną. A przecież wybuch tej wojny i dla niej nie mógł być niespodzianką.

Wszyscy bowiem jakoś – w Polsce może inaczej, ale także i w Mieście – od dawna i w dziwnie spokojny sposób przeświadczeni byli o nieuchronności nadciągającej wojny. W Polsce przejawiało się to buńczuczным hasłem: „Silni – zvarci – gotowi!” – u nas (pragmatycznie?) wzmożoną gospodarską zapobiegliwość. Nie zdziwiłam się więc wcale, gdy Nelly – w czerwcu już – zaprowadziła mnie w nowym domu (NIE-domu) do wybielonych starannie, obszernych piwnic, z dumą prezentując, prócz normalnie w tym czasie sporządzanych weków, słoje topionego masła, wory mąki i cukru, połacie wędzonych boczków i słoniny i całe skrzynie pełne mydła, proszków do prania, a nawet świec (no bo jak elektryczności zabraknie?). Ale, też może dziwne, jakoś wcale mnie to nie obchodziło. Po prostu w głowie mi nawet nie powstało, żebym kiedykolwiek (może poza krótkimi wypadami na święta) pojawić się miała w tym, od samego początku nieuznawanym domu – NIE-domu.

Wróciliśmy do hotelu. Nelly nadal kwękała, a Ojciec usiadł na balkonie, włożył okulary (dopiero od roku je nosił) i zagłębił się w bardzo grubym tomisku. Podeszłam, przeczytałam tytuł, tak, był to Clausewitz *Vom Kriege*<sup>1</sup>.

I dalej płynęły piękne, słoneczne dni. Chciwie w kioskach wykupowane gazety ryczały – już wkrótce – butnymi tytułami: *Der Feldzug der 18 Tage!* („Kampania dni osiemnastu!”). Ale nie była to prawda. Przynajmniej niecała. Bo przecież obrona Warszawy, a ponad wszystko Oksywia i – wiecznej, świętej i dumnej pamięci godna – Westerplatte! (O Poczcie Polskiej tu pisać ani chcę, ani mogę: oboje z Ojcem uznaliśmy, że masakra tych nieszczęsnych cywilów – urzędników czy listonoszy – była o pomstę do wszelkiej boskiej sprawiedliwości wołającą, nieodpowiedzialną i niczym nieusprawiedliwioną, najzwyklejszą zbrodnią!).

Ale: zaczęły przychodzić listy. Z Miasta. Jeszcze sobie nie zdawaliśmy sprawy z realnego niebezpieczeństwa: z dniem 1 września „roku pamiętnego” uznano nas wszystkich (nikogo o zdanie nie pytając!) za pełnoprawnych obywateli Tysiącletniej Rzeszy. Skutki tej adopcji dopiero po pewnym czasie ujawnić miały całą swoją – a niebłahą – grozę. Było to – niejako – podziękowanie buńczucznie zwycięskiego „wodza”, którego w kolejne urodziny (20 kwietnia 1939 roku) „jednogłośnie” obraliśmy obywatelem naszego wspaniałego, hanzeatyckiego Miasta: rachunek się zaiste wyrównał!

Cóż, po pierwszym nadszedł i sławetny siedemnasty września. Ojciec tylko westchnął i ręką machnął: – Czwarty rozbiór – to już koniec! – Rwałam się w pierwszych dniach – jeszcze, mimo wszystko, nafaszerowana górnolotnymi, patriotycznymi frazesami – do powrotu (a choćby i przez Tatry!), bo przecież jakżeby się Polska bez mego bohaterkiego udziału w tych zmaganiach ostać mogła?! Ale spokojne, rozważne słowa Ojca przekonały mnie. No i listy, sławetne listy, żadną – wówczas jeszcze – cenzurą niekrępowane.

Przynosiły wieści przedziwne, wręcz niewiarygodne: oto już od pierwszego września zagarnięto nasz dom NIE-dom, ze wszystkim, cokolwiek się w nim znajdowało. A ponadto, co – słusznie – wydało się nam po stokroć gorsze – zagarnięto też i FIRME, zarówno w Mieście, jak i w Gdyni (także, jak później miało się okazać, liczne jej filie w Polsce, od Warszawy poczynając). Ustanowiony tam został jakiś powiernik – pan (czyli *Herr!*) M. A rzecz cała wydawała się jakby od dawna ukartowana i opracowana w najdrobniejszych szczegółach!

-----  
<sup>1</sup> *Vom Kriege* – (niem.) *O wojnie*.

Znowu więc – i tym razem w definitywnie groźny sposób – legły w gruzach „Maurów posady”, a raczej dzieło tyłu pracowitych lat życia. Pieniądzy wprawdzie mieliśmy jeszcze trochę, ale poza tym – „ani domu / ani Tomu”. To co można było tej przemocy przeciwstawić? Co robić?!

W rezultacie rozchorował się i Ojciec: niby nic dziwnego. I z końcem września – po gorączkowych naradach – stanęło na tym, że do Miasta, na razie, pojedę tylko ja. Przepatrzeć, przemyśleć, przegadać. W końcu z krótkich, wakacyjnych wypadów mało kto mnie tam znał, a jeszcze mniej – pamiętał. A co dalej? Cóż, zobaczymy.

Dziwaczna, długa, rozpaczliwa podróż. Z Pragi do Berlina dojechałam bez przeszkód, nocując u wujostwa (milkiwy Hans, germanista, żadnych komentarzy do mego nagłego pojawienia się nie dorzucił). Ciotka tylko nieufnie kręciła głową: – Tak cię samą wysłali? I co ty tam zwojujesz? – (A właśnie!). Ale dalej okazało się – mimo pozornego ładu i spokoju – że jednak jest wojna. Do Miasta drogi bezpośredniej nie było. Trzeba na Świnoujście – tłumaczono mi w biurze podróży – stamtąd wodą aż do Królewca i dopiero dalej – autobusem przez Elbląg. Ano: jak trzeba – to się musi.

Egipskie ciemności zalegały niewielki – albo takim tylko się wydający moim, nienawykłym jeszcze do zaciemnienia, oczom – port w Świnoujściu. W czarnej wodzie ledwo gdzieniegdzie prześlizgiwały się błyski kieszonkowych latarek. Stateczek wydał mi się spacerową łupiną. Natłoczony był do niemożliwości, na wszystkich pokładach ustawiono leżaki. Ale na tak wygodne miejsce się już nie dostałam: tkwiłam, przyciśnięta do burty, ani nawet wiedząc, ile czasu przyjdzie mi tak przeokołać. W morze wyszliśmy z trzygodzinnym chyba opóźnieniem. A cały rejs też się nieoczekiwanie przedłużył: na Oksywiu walczone jeszcze. Perkoczająca łupina musiała więc sporo nadłożyć drogi: widzieliśmy z daleka jasno oświetlone nabrzeża Szwecji. I ani rusz nie pamiętam, jak znalazłam się – wreszcie – w hotelowym łóżku. Zwaliłam się w nie natychmiast: spać, spać!

Ze snu obudził mnie wściekły głód. Jako doświadczona podróżnica zadzwoniłam na kelnera. Zjawił się zaraz: siwy, przygarbiony, mocno już stary („młodszy pewno w wojsku” – przeleciało mi przez skołataną głowę). I przyciszonym głosem zaczął mi coś tłumaczyć, czego ni w ząb nie rozumiałam: kartki? jakie kartki? co za kartki?! Ach, prawda – i w czeskim hotelu zaczęto tuż przed moim wyjazdem coś mówić o jakichś „listkach”. Ale ja ich nie miałam, ani też wiedząc, skąd by je wziąć. A głodna byłam diabelnie!

Staruszek pojął widocznie, że nie dojdzie ze mną do ładu. Hotel był zresztą klasy średniej, o cenach przystępnych (ze śniadaniem). Dziedek pokręcił więc tylko głową i po dobrej chwili przyniósł mi, prócz zbożowej już, ale gorącej kawy, stertę kanapek posmarowanych apetyczną wątrobianką. Zrozumiałam, że taka wałowa znacznie przekraczać musi hotelowe limity, zapłaciłam więc za nią z ręki do ręki i pożarłam natychmiast wszystko, ledwo się drzwi za kelnerem zamknęły. Pożałowałam tego gorzko już wkrótce: w całym mieście bez kartek niczego jadalnego zdobyć nie zdołałam. Prócz – o paradoksie wojennych czasów! – marcepanu. Królewiec słynał z tego przysmaku, nie dorównując wprawdzie Lubece, ale zawsze. Z pięknie pachnącym wodą różaną, sporym, marcepanowym sercem, jeszcze w eleganckim, białym pudełku przybranym papierową koronką, wsiadłam więc do autobusu. I przez Elbląg, przez długi niemiłosiernie nas wytrząsający – pontonowy? saperski? – most dotarłam do Miasta.

Trwało. Nietknięte, nienaruszone, w złocistej i ciepłej pogodzie września. Tylko bardziej niż dawniej gęsto pokryte ohydną, czerwoną wysypką płacht z połamanymi czarnymi krzyżami na białych kołach.

Pomna alarmujących listownych przestroóg, nigdzie się na razie na zwiady nie wybierałam. Bez trudu wynajęłam pokój w czyściutkim pensjonacie naprzeciwko przeszkaradnego dworca (że właścicielami tej *Pension* byli Łotysze, dowiedziałam się później). I tak, nieświadomie jeszcze, zaczęłam przekształcać się w UFO!

Podeszłam jednego z następnych wieczorów do – już nie naszego – domu NIE-domu. Rozjarzony był światłami – dochodził zza wpółotwartych okien gwar, szcęk sztuków i muzyka (adapter mieliśmy dobry, płyt mnóstwo i dwa fortepiany). Z czasem dopiero – przepytując się ostrożnie – dowiedziałam się, że willę zajął wysoki dostojnik hitlerowski z liczną rodziną, a bojąc się zatrutych, jak głosiła wieść gminna, zapasów, kazał zniszczyć wszelkie, jakże pieczołowicie przygotowane soki, konfitury i inne weki. Nieszczęśnik nie znał Nelly! – nigdy by mu tego nie wybaczyła!

Ciekawe, jak błyskawicznie oswaja się człowiek z do niedawna jeszcze niepojętymi sprawami: okazało się, że nigdzie już nie mieszkamy, żadnych nie mamy osobistych rzeczy (prócz letnich, w wakacyjnych walizkach), a nawet FIRMA – bastion zdawałoby się nietykalny – przejęta została przez zwycięskich władców i oddana pod zarząd ich powiernika (*Treuhändlera*) M.

Ale wszystko to było po trochu jak sen – realny wprawdzie, lecz z bliska nie nazbyt dojmujący. Tymczasem najpilniejszą – i najtrud-

niejszą – stała się sprawa kartek żywnościowych, o które coraz namolniej zaczynała dopominać się właścicielka pensjonatu. Kartki wydawano w miejscu zamieszkania, tam, gdzie kto był zameldowany. Cóż, kiedy pod tym właśnie adresem nikt z nas już nie mieszka! Poradzić się nie bardzo miałam kogo – z doskoku tylko i na krótko pojawiając się w Mieście w ciągu poprzednich lat.

Doktor Gerber? A któż by? Znał mnie od dziecka, był naszym lekarzem, zajmował odpowiedzialne stanowisko w największym szpitalu. Umówiona telefonicznie pojechałam znajomą od lat drogą, mile powitana przez znaną od niepamiętnych czasów sekretarkę, panią Käthe. Otworzyłam drzwi gabinetu i słowa zwykłego *Guten Tag* zamarły mi na ustach; nie byłam w stanie ani kroku postąpić w kierunku potężnego biurka, za którym w całej swej postawie i wyprostowanej osobie stał nasz lekarz – czaruś towarzyski, znakomity meloman, świetny koneser nie tylko malarstwa i grafiki, ale wszelkich uciech stołu i dobrego napoju, znakomity ponadto diagnosta. Stał w czarnym mundurze oficera SS! Dopelniająca rynsztunku czapka z trupią główką (znak pogardzania śmiercią!) leżała na biurku z lewej strony. Ale on nie stropił się wcale: – Co słyhać? – zagadnął życzliwie. I na z trudem wybełkotaną wiadomość, że Ojciec chory i że właśnie te kartki, lekceważąco machnął ręką: – Ach to. Zaraz wszystko załatwię – i już sięgając po słuchawkę telefonu i mówiąc do mnie nadal po imieniu, bo znał mnie przecież od dziecka, dorzucił rzeczowo: – Ja ci i dla pani Nelly każe wydać kartki. Nieważne, że ich tu na razie nie ma, ale przydziały są. I trzeba je odbierać, bo przepadną. A może potrzebujesz pieniędzy?

Nie pamiętam żadnej odpowiedzi. Nie wiem do dziś, jak stamtąd wyszłam i dobrze znajomą drogą wróciłam do pensjonatu. Doktora Gerbera raz tylko jeszcze spotkać musiałam w życiu – i o tym też tu napiszę. A kartki żywnościowe – najlepsze, bo były różnych kategorii – odebrałam nazajutrz. I przydały się bardzo.

Jakże nie chce mi się pisać o tych pierwszych miesiącach wojny. I o całym tym wojennym czasie w ogóle! Gdyby kto zadał sobie trud procentowego choćby tylko porównania druków z tych czy innych – niekoniecznie literackich względów – powstałych o tych latach, okazałoby się, że jest ich mnóstwo i ponad wszelką realną potrzebę więcej niż jakichkolwiek innych: walczone boje, przygody, martyrologia etc., etc., etc. No cóż – piszę jednak dalej.

W naiwności swojej (pozbawiona mieszkania i w ogóle w sytuacji niepewnej, wprawdzie ciągle jeszcze niepełnoletnia, ale mocno świadoma swoich praw hanzeatyckiej obywatelki!) powędrowałam w koń-

cu na spotkanie z tym przerażającym powiernikiem. Nie, nie był ryczącym potworem (choć partyjny być musiał z całą pewnością!). W okularkach, skromnym ubraniu, bez partyjnego groszaka w klapie, średniego wzrostu i uprzejmy w obejściu, zreferował krótko: – Noo tak. Firma znakomita. Tyle, że ojciec pani uchodzi nie bez racji, bo cztery czy pięć filii wyłącznie w Polsce założył, noo... za polonofila. A tego, oczywiście, tolerować nie możemy. Najlepiej gdyby, po powrocie do zdrowia, sam zechciał tu przyjechać. Porozmawiamy i wszystko się ułoży. Noo, z panią przytrudno mi wdawać się w szczegóły, taka pani młoda i niewprowadzona przecież w interesy. Czekam więc na ojca pani. I proszę się niczego nie obawiać! Wszystko, doprawdy wszystko, da się spokojnie załatwić.

W tym też sensie napisałam do Karlsbadu. I długie, puste popołudnia w łotewskim pensjonacie trawiłam nad książkami. Zaraz przy dworcu była tania wypożyczalnia, do której się zapisałam. Odgadując we mnie, bez pudła, zajadłego mola książkowego, stara bibliotekarka już przy trzeciej wymianie tomów zaproponowała konspiracyjnym szeptem: – Mam taką dobrą powieść, cztery tomy, autor dostał nagrodę Nobla, tylko... że hm... hm... – nieufnie zerknęła naokoło, ale ludzi wczesnym przedpołudniem jeszcze wielu nie było – Polak, ale jeżeli pani...

I tym sposobem w ciasnym, ciemnym pokoiku pochyliłam się nad – wcale nieźle tłumaczonymi na niemiecki – *Chłopami* Reymonta.

Czy jeszcze Ci nie napisałam, że dane mi było oglądać całkiem żywego Hitlera? A jakże! Skoro 20 kwietnia obdarzyliśmy go, na urodziny, hanzeatyckim naszym obywatelstwem, zrewanżował się odpowiednio: z dniem 1 września 39 roku wszyscy obywatele Wolnego Miasta uznani zostali – automatycznie! – za obywateli Tysiącletniej Rzeszy! I trzeba ich odwiedzić.

I przyjechał. Z końcem września czy początkiem października – nie pamiętam.<sup>1</sup> Szał czerwono-czarno-białej wysypki sztandarów, chorągiewek itp. Ale i bardzo przestrzegane środki ostrożności: szczelnie zamknięte okna i bramy, wzdłuż chodników tylko dobrana „radośnie wiwatująca” większość ludności – zwłaszcza dzieci i kobiet. Ale widziałam go dokładnie z oszklonego balkonu naszego pensjonatu: niewysoki, z ciemnym kosmykiem włosów na czole, w popularnym prochowcu, czyli gabardynowym płaszczu z szerokim paskiem. Wpółwstawał z potężnego samochodu – horcha czy mercedesa – wpółpodnosił rękę do nacjonalistycznego pozdrowienia. Tłum wył i rzucał kwiaty. Samochód jechał dość wolno. I tyleśmy się na tę feerię zwycięskiej intronizacji napatrzyli!

-----  
<sup>1</sup> Hitler był w Gdańsku 19.09.1939 r.

Serce Moje: Ojciec, niestety, uwierzył moim naiwnym listom (wówczas jeszcze mógł spokojnie wyjechać – choćby do Szwajcarii). Zresztą, cóż mógł robić bez firmy? Była jego tworem, jego dzieckiem, sednem jego życia. Przyjechał więc (a był już październik 1939) i rozpoczął trudną, od początku skazaną na niepowodzenie – ale w to za nic nie chciał uwierzyć – dyskusję. Nie tylko z powiernikiem, panem M. Prawdziwym jego – i strasliwym – partnerem była tajna policja hitlerowska, chytre a nieugięte GESTAPO.

Chodziliśmy tam kilka razy w tygodniu, zamierając ze zgrozy (coś się jednak wiedziało!).

Wiem – Miły – wiem – powtarzam się – i z tym naszym nowym obywatelstwem Rzeszy. I w innych sprawach. Ale, zrozum, to mi kołacze, powraca w myślach i nie zawsze umiem wszystko porozdzielać!

Nelly też w końcu przyjechała. Mieszkała jednak osobno. Spotykaliśmy się, nieczęsto, w kawiarniach, gdzie – o paradoksie pierwszych wojennych miesięcy – kawa wprawdzie była już zbożowa, ale ciastka, wcale spore i smaczne, ciągle bez kartek! Z gorączkowych narad niewiele wynikało, bo i cóż wyniknąć mogło?

Więc – przesłuchania (kurtuazyjnie jeszcze nazywane rozmowami) w szarym, ciężkim, ponurym gmaszysku Gestapo. Każdorazowo odprowadzałam tam Ojca i za każdym razem, przed wejściem, oddawałam mi ciężki, w podwójnej, złotej kopercie, kieszonkowy, szwajcarski zegarek Patek, piękne wieczne pióro Waterman i pieniądze (było ich jeszcze sporo). Niecierpliwie krążyłam ulicami, by – po wielu godzinach – dostrzec go, wychodzącego, znękanego, ale przecież, wracającego! Z ulgą oddawałam zastawy i znów się rozstawaliśmy – bo i on mieszkał w innym, skromnym pensjonacie. A z wielogodzinnych rozmów wynikało... NIC, czyli: ani mowy o powrocie do normalnej pracy. Co robić? Gdzie być? Z czego żyć?!

Sprawy – w najgłupszy sposób – skomplikowała i przyspieszyła Nelly: – Zima idzie – gorączkowała się. – Niechże nam przynajmniej oddadzą osobiste nasze rzeczy: ubrania, bieliznę, obuwie, futra! Coś przecież trzeba zrobić, skoro jesteście, mimo wszystko, pełnoprawnymi obywatelami!

Wtedy to drugi i ostatni raz poszłam do doktora Gerbera. Nadal czarująco uśmiechnięty, w czarny mundur opięty, wszystkiemu zaradził: – Proszę spisać, w trzech egzemplarzach, wszystkie potrzebne rzeczy i przynieść mi te spisy nie później niż za pięć dni. Załatwię bez kłopotów!



*Dnia 1 września „roku pamiętnego” mieszkalam najspokojniej we wcale zasobnym hotelu w Karlovyh Varach [...]. Po obfitym, jak zwykle (od lat już!) śniadaniu - z chrupkimi rogalikami, wędlinami, masłem, miodem i pyszną kawą - wyszliśmy z Ojcem na spacer.*





*... widziałam go dokładnie  
z oszklonego balkonu naszego  
pensjonatu [...]. Wpółwstawał  
z potężnego samochodu – horcha  
czy mercedesa - wpółpodnosił rękę  
do nacjonalistycznego pozdrowie-  
nia. Tłum wył i rzucał kwiaty.  
Samochód jechał dość wolno.  
I tyleśmy się na tę feerię zwycię-  
skiej intronizacji napatrzyl!*

Przydała mi się nieporadna stukanina na maszynie (pożyczonej od Łotyszki – właścicielki pensjonatu). Z – jak by dziś się rzekło – komputerową precyzją wyrzucała z siebie Nelly długie zestawy najniezbędniejszych rzeczy osobistych. Wówczas dopiero poznałam nieznaną mi dotychczas fachowe określenie: *Ladenneu*, czyli wprost ze sklepu, nieużywane. Z tym że moich rzeczy było tam najmniej!

Odniosłam listy. Skutek był niemalże natychmiastowy. Odpowiedni urząd przysłał zawiadomienie, że do odebrania jest 15 (tak: piętnaście) skrzyń, które w terminie... odebrać należy... inaczej bowiem...

Transport sporych skrzynek załatwiłam też. Każda miała na wieku szczelnie przyklejony, na maszynie napisany spis zawartości, np. „cieplej bielizny męskiej – szt. 12”, „swetrów damskich – szt. 6”, „obuwie zimowe męskie – 2 pary, damskie – 4 pary”, „koce wełniane”... itd. Uradowani sukcesem odbijaliśmy wieka i miny nam zrzedły, bo:

- w jednej skrzyni – pomięte i stłamszone – kotłowały się jakieś zasłony, ścierki i firanki,

- w drugiej – barwne krawaty, szaliki jedwabne, pończochy od pary i letnie obrusy, używane do śniadań na tarasie,

- w następnej – po jednym, balowym pantofelku (mój srebrny był też!) i kotłowisko kolorowych ścinków z różnych robótek Nelly i prac ściąganej co roku na jesień do domowych napraw szwaczki.

Były jeszcze – dużym nakładem pracy – w cieniutkie paseczki pocięte poszwy, poszewki i prześcieradła, nawet niewielki dywanik, rozmotany na barwne, wełniane nici...

Odbiór pokwitowaliśmy przed otwarciem skrzyń. Nie było więc sensu, a zresztą po co i do kogo, odwoływać się z racji rezultatów tej z pewnością dla tamtych pysznej zabawy! Ale wtedy wreszcie i Nelly coś zaczęła rozumieć. I, przede wszystkim, od razu oznajmiła, że wyjeżdża. Bo tu już nic się nie zwojuje. Ale Berlin, Berlin?

Wyjechała więc Nelly, a my dalej chodziliśmy na coraz dłuższe, bardziej ponure i bezowocne rozmowy-przesłuchania. Do chwili, kiedy wczesnym rankiem w moim pensjonacie pojawiło się dwóch panów całkiem jak z filmu: w jasnych prochowcach ściśniętych szerokim paskiem i szarofilcowych kapeluszach o charakterystycznie wygiętym rondzie. Pytali o Ojca. Powiedziałam, że nie znam jego adresu, momentalnie – przez miłą i zaufaną dziewczuszynek z kuchni – dając mu znać, by natychmiast jechał do portu, bo tam wtedy jeszcze...

Miły, na wskroś wiarygodny, sam już bardzo zagrożony starszy pan C. spotkał się ze mną w południe: – Ojciec pani musi wyjechać. Zaraz. Bo tu na niego polują. I jeżeli... Czy ma pani jakąś możliwość?

Miałam. Oczywiście – znów Berlin. Paszczyka smoka. Ale? Przecież – ciotka. Przecież – jednak – Hans.

Bilet kupiłam sama i sama odprowadziłam go na nasz przeszkaradny dworzec. I tam roіło się od filmowych agentów ubranych jak przez kalkę w jasne prochowce i kłapouche kapelusze. Pociąg odjechał. I wtedy – nigdy nie lubiąca słodyczy – wdarłam się jak wściekła do dworcowej restauracji, pochłaniając w rekordowym tempie aż sześć ciastek tortowych i – o dziwo! też jeszcze niereglamentowane – trzy szklanki kakao. Ale następny, zaduszkowy, dzień listopada postawił przede mną pytanie: co tu robię? Co mogę zrobić? I co, w ogóle, możemy robić dalej?

Pewne było jedno: musimy być razem. Pieniędzy jest przecież coraz mniej, a jeżeli... Nie pisałam ani nie telefonowałam do nikogo. Po prostu po trzech dniach wsiadłam w pociąg i normalnie (?), jak od lat, wsiadłam na berlińskim Anhalter Bahnhof. Bez kłopotów przesiadłam się z podręczną walizką w czerwono-żółtą kolejkę naziemną *S-Bahn* i spokojnie powędrowałam ku, zaledwie trzy lata temu jako najnowocześniejsze zbudowanym, jasnokremowym, czteropiętrowym blokom, choć nigdy przedtem tam nie byłam. Adres i numer telefonu pamiętałam. Tu i wtedy, 5 listopada 1939 roku, zaczął się mój pierwszy, wojenny postój. Tu właśnie – na Ingostraße 4 w Mariendorf.

Nikt, że przyjechałam, się nie zdziwił. Tylko mieszkać tam nie mogłam. W niewielkim metrażu miejsca nie było. W gabinecie Hansa ulokowano Ojca, ponadto był tylko sypialny, stołowy i salonik. Więc? Więc szybko znalazłam w rozległym Charlottenburgu umeblowany pokój u młodej, miłej modystki, mającej równie rudego i wesołego setera jak niezapomniany Ergo cioci Lusi. Pieniędzy jeszcze starczało. Do domu (?) dobiegałam dwa, trzy razy w tygodniu, a żeby pusty czas zapęlnić, zapisałam się na kurs włoskiego (bardzo był w modzie) w Societá Dante Alighieri.

Berlin nie dawał mi odczuć, że stałam się nieodwoalnie UFO. Znałam to miasto od wczesnego dzieciństwa i – choć oczywiście z MIASTEM ani się równać mogło – polubiłam je serdecznie. Od najpierwszych, wczesnorannych przyjazdów i własnego po nim bobrowania. Złym echem odbijały się wczesne (około piątej rano chyba) wyjazdy samochodem. Kończyły się nieodwoalnie we wspaniałej berlińskiej Kaffee Kranzler, gdzie nie tylko chrupkie bułeczki, jajka w szklance, świetną, gorzką jak chinina kawę podawano, ale także autentyczną angielską konfiturę z pomarańcz, której nie cierpiałam. Reszta, krótkich zresztą, bo wakacyjnych spotkań, przebiegała harmonijnie: Ojciec miał

sporo konferencji, dawał mi więc odpowiednio, a i więcej, pieniędzy i zaraz wsiadałam do wielkich autobusów, obwozących nas po co bardziej wartych oglądania miejscach, a głodna – bez kłopotu biegłam do słynnego Aschingera. Tam, za drobną opłatą, spadał w automacie talerzyk z apetyczną kanapką, a ponadto, doprawdy już za grosze (tak się w Berlinie nazywają dziesięciofenigówki) dostać można było solidną miskę nieprzecieranej grochówki na wędzonych żeberkach, do której – ile kto zechciał – dopchać się było można z obok stojących koszów (i całkiem za darmo – z czego głównie korzystali włóczędzy i studenci) przez nikogo nieliczoną ilością świeżutkich, chrupiących bułek.

Berlin – resztką, odbłask tak wspomnianych rzewnie złotych lat dwudziestych. No jednak jeszcze coś kołatało. Jeszcze chodziły po głównych ulicach wspaniałe dominy – panie, pewnie że kupne, ale jakże znające swoją cenę – i wysokie, czerwone najczęściej buty i jakoś tak przypadkowo machające szpicrutą, raczej do konnej jazdy przeznaczoną(?). I Wintergarten, ten przesławny kabaret, w którym – wysoko uczesana, nawet podmalowana – mogłam zobaczyć słynne na cały świat przewspaniałe nogi Mistinquet. UFA – najambitniejsze wówczas atelier filmowe. I, jeden z największych wówczas, dom towarowy Wertheim, i – już go doganiający klientelą i obrotami – słynny KADEWE (Kaufhaus des Westens). A wyścigi kłusaków na Marienfelde? A wszelkie utajone knajpki i ciemne oficyny, gdzie nie tylko sprzedawano śnieg, nie tylko stręczono ślicznych efebów i małoletnie lolitki, ale, ale...

Nigdy niesyta luksusu Nelly wymogła wreszcie na Ojcu, że w 1938 roku zatrzymaliśmy się w superhotelu Adlon. Z przykrością go wspomynam. Oczywiście, był bezszmerowy. Oczywiście, wszędy wisały autentyczne i nie najgorsze sztychy miasta. Oczywiście (wtedy już sobie to wywalczyłam) nie trzeba było schodzić na superśniadanie. Po wszystkich korytarzach – pokoi nie wspominając – wisały wspaniałe sztychy przeróżnych miast, miejsc pamiętnych, historycznych, a jakże, etc. Mimo moich oporów przebierać się należało co najmniej dwa razy dziennie (*lunch – dinner*). Ale i ten koszmar minął. I oto znaleźliśmy się w tym dziwnym, z wielu kawałków (*Dörfer*) poskładanym mieście jako ludzie zwyczajni, jako ludzie bez dachu nad głową.

I to, wreszcie, wydawało się normalne. Ale nie było. Jakieś starania przecież czynił Ojciec; pisał tu, ówdzie: do Skandynawii, Szwajcarii, Włoch. A pieniądze topniały z każdym dniem. Chociaż wówczas – Berlin to Berlin! – można było z butną miną (i odpowiednim finansowym zapleczem) wejść do kolonialnych, najlepszych sklepów Meinla

czy Kaiser's Kaffee i zaufanemu ekspedientowi wręczyć karteczkę z odpowiednim połączoną banknotem. Bezszerowo – niczym w superluksusowym Adlonie – wracał ze sporą, ślicznie pozawijaną paką, której zawartość dopiero w domu można było, nie bez ulgi, ale i nie bez obawy, spenetrować: no tak – kawa, masło, kiełbasa, wędzony boczek, cukier – słowem najpotrzebniejsze, tylko skąpo i na kartki przydzielane wiktuały. Ale i z tymi lewymi transakcjami bywało coraz trudniej. A szła zima: ostra, ciężka, mroźna. Głowę by mi i uciąć, gdybym spaściła cokolwiek z tego wojennego grudnia. Święta – chyba? – były u wujostwa, ale nie pamiętam nic. W pamięci i na niezbyt udanej fotografii pozostał natomiast sylwester 1939/40. W eleganckich apartamentach jakiegoś bogatego przemysłowca, którego śliczna – miniaturowa jak liliputka, choć bardzo zgrabna i proporcjonalna – żona coś chyba z filmem miała wspólnego, a mówiono do niej Püppi – Lalunia. Rok później popełniła samobójstwo. I Nelly na tym przyjęciu nie było. Szampan natomiast (Pommery) był doskonały. I przytłajone życzenia: oby już w następnym roku. Ratunku znikąd nie było widać. Tak czy owak ktoś ruszyć musiał na następną ekspedycję ratunkową. I dlatego już w pierwszych dniach stycznia 1940 pojechałam do Warszawy.

Ale ta podróż nie była prosta. Istniał przecież jakiś GG – Generalgouvernement z francuska tak zwany – twór do niczego na mapie niepodobny. Ale jechać tam wolno było tylko za przepustką. Nieobeznana z realiami nagle zwariowanego świata pojechałam – mimo wszystko – do Miasta (tam pomogą?). Ale kto, kiedy, jak?!

Spotkałam się ze stryjczym bratem, znacznie ode mnie starszym. Rzadko się widywaliśmy, bo mieszkał w Gdyni, tym razem jednak – jak spiskowcy – w mroku jakiejś kinowej sali ustalić zdołaliśmy plan. Za dwa litry wyborowej z białą główką, które on miał sprokurować, a ja zapłacić, zdobędzie się przepustkę, na którą oficjalną drogą nie ma widoków. Sama podróż będzie prosta: jechać trzeba etapami. Najpierw do Bydgoszczy – adres i nazwisko tylko do zapamiętania – a tam mi pomogą. Na ulicy Franek zza drucianych okularów przyjrzał mi się uważnie: – Nie masz się w co cieplej ubrać? Taka zima!

Sęk w tym, że nie miałam. Z letniej garderoby zostały mi już tylko mocne, choć dość cienkie półbuty. Pończoch wcale nie miałam, a letnie kolanówki niezbyt przykrywała, pożyczona w Berlinie, przyszeroka na mnie spódnica. Całości dopełniała przyciasna, także u ludzi pożyczona, kurtka z resztką wyskubanego futerka koło szyi i ogniście czerwona, ale przynajmniej wełniana kominiarka, z której wyzierała moja nieźle zmarznięta twarz.



*Po prostu po trzech  
dniach wsiadłam w po-  
ciąg i normalnie (?),  
jak od lat, wysiadłam  
na berlińskim Anhalter  
Bahnhof.*



*Berlin nie dawał mi odczuć, że  
stałam się nieodwołalnie UFO.  
Znałam to miasto od wczesnego  
dzieciństwa i - choć, oczywiście  
z MIASTEM ani się równać  
mogło - polubiłam je serdecznie.*

– A szalik? A rękawiczki? – dopytywał zatroskany Franek.

– Jakoś dojadę – pocieszałam więcej jego niż siebie. I już następnego dnia, ufna w niepodważalną moc zdobytej przepustki, wyruszyłam w drogę.

Ta zima. Mało kto wspomina o osobliwościach wojennych zim (bez ubrania, butów, opału). A ja – może dzięki niej, choć nie tylko – zaczęłam wreszcie rozumieć wojnę. Dobrnęłam do tej całkiem mi nieznanej Bydgoszczy. Była niedziela. I miasto – w końcu spore – jak wyludnione. Ni psa, ni człowieka na ulicy. Skostniała dobrnęłam pod wskazany adres (od kuchennych schodów – jak mnie nauczono) i po długich, nieufnych przepytywaniach wpuszczono mnie wreszcie do zaciemnionej, mimo białego dnia, czyściutkiej i niewielkiej kuchni. Tam szepcąc opowiedziano mi o straszliwej, krwawej bydgoskiej niedzieli, nakarmiono, pouczono, że jechać mogę wprawdzie w stronę Kutna, ale koniecznie wysiąść przed nim (granica GG) i po skutej lodem rzece iść aż do miasteczka X – do herbaciarni przy ulicy... A tam już dalej mi pomogą, bym się dostała do Warszawy. Dziękowałam – oszołomiona – tyle tylko z tych wszystkich rad pojmując, że rzekomo świetna moja przepustka jest w gruncie rzeczy mało warta i dobrze się będę musiała nauwijać, i bystro patrzeć, żeby jednak...

Ale udało się. W jakimś (zmierzch już zimowy zapadał) miejscu wyskoczyłam na peron i poszłam za innymi, bo wcale nie sama odbywałam tę drogę. Stacyjki – z nazwy – nie pamiętam. Tęgi lód trzymał dobrze, a na „tamtej” stronie poczułam się jakoś – bez uzasadnienia – swojsko i nawet bezpiecznie. Zawędrowałam do wskazanej herbaciarni, gdzie harmider panował niebywały, herbata była mocna (z cukrem!), a w dodatku kupić można było świeżutkie, gorące pączki! Pochłonęłam ich sporo, wróciłam na małą stację i – nad ranem – znalazłam się wreszcie, przez nikogo o przepustkę nienagabywana, w Warszawie.

Warszawa – po raz pierwszy widziane ruiny (ale miłosierny śnieg mocno je przysypał) wcale mnie nie przerażyły; może tak to i musiało być? Ze zgruchotanego dworca doczłapałam jakoś, do szczytu przemarznięta, na naszą ulicę Zgoda. Drzwi otworzył nasz portier, Stanisław Popiel i przyjrzał mi się uważnie: – Pani to chyba córka pana dyrektora?

Wkrótce znalazłam się w jedynym, uczciwą kozą opalanym pokoju, gdzie wszyscy współpracownicy prześcigali się w częstowaniu mnie sporą miłą parującą, smacznej kartoflanki.



– O reszcie pogadamy jutro. Grunt, że pani tu przyjechała! – pocieszał miły pan T., kierownik naszej (choć nie naszej już przecież) filii.

Z osmolonych gdzieniegdzie murów krzyżały nowe, ogromne i barwne plakaty: żołnierz polski o kulach, z obandażowaną głową, pośród zgliszcz i zwalisk – a nad nim wielki napis: „Anglio! – twoje dzieło!”. Bandaż był oczywiście srodze pokrwawiony. A wizualna propaganda wywoływała przeciwne od zamierzonych skutki.

Nazajutrz trafiłam do Szpitala Ujazdowskiego i tam odnalazłam dobrze mi znanego pana Teodora. Został ranny we wrześniu, ale już zaczynał chodzić i – lada dzień – miano go, jako oficera, wywieźć do jeńckiego obozu. W cywilu był ważnym bankowcem, i z kartką, którą mi dał, pobiegłam co prędzej do odpowiedniego banku. Miałam szczęście – wypłacono mi sporo pieniędzy. Miałam pecha, bo akurat w tych dniach nakazano wymianę 500- i 100-złotówek. Ale jakoś i z tym, z boską i ludzką pomocą, zdołaliśmy się uporać. Zażywna, arcywarszawska ciocia pana T. (u jego rodziny nocowałam) zagarnęła mnie pod swoje skrzydła. Bo trzeba było co prędzej kupować, kupować, kupować! Pod rozważnym i światłym przewodem pani K. nie tylko zakupiłam ciepłą bieliznę dla Ojca – itp. itd. – ale dałam się uwikłać w jakieś pracownie, gdzie mi, po raz pierwszy w życiu, uszyto na miarę sukienkę z siwo-granatowej welenki z – horror! – malinowym bolekkiem. Nieprzytomnie ryłam w stosach wspaniałej bielizny, ale szokiem ostatecznym okazała się wyprawa do sklepu (na Nowym Świecie) jednego z najśłynniejszych warszawskich szewców: Leszczyńskiego. Zbrodni, którą wówczas popełniłam, kupując za całe 87 (tak: osiemdziesiąt siedem!) złotych przepiękne, jak rękawiczka przylegające, brązowe półbutki w dodatku zamszem jeszcze zdobione, do dziś sobie darować nie mogę! (Nie przesadzajmy – darowałam dawno, a buty były super i trwały do 44 roku). I oczywiście zakupy życiowe: kawa, boczek, słonina, cukier. Znakomicie ubrana – po raz pierwszy w tak wówczas modnej pelisie, czyli zimowym płaszczu na gęstej, futrzanej podszewce i z pięknym, oposowym kołnierzem, w kapeluszu, rękawiczkach i ze stertą pięciu nowiutkich i gęsto upakowanych waliz – wsiadłam do pociągu i spokojnie dojechałam do granicznego Kutna. Że ta żelazna moja przepustka nic w gruncie rzeczy nie była warta, wiedziałam już doskonale, ale...

– Gdzie pani jedzie? – warknął obwieszony blachami dworcowy żandarm.

– Przecież pan widzi: wracam do Berlina. Właśnie mi w GG babcia umarła, to pojechałam na pogrzeb i po spadek, a teraz jadę do domu!

Żandarm migiem schował wystawioną dla niego na okiennym stole drugiej klasy ćwiartkę wódki i papierosy, po czym pokiwał głową: – No, gdyby się pani w tamtą stronę z taką przepustką wybierała, gorzej by było! Ale do Berlina? Cóż? Dobrej drogi!

Nie na wiele, mimo wszystko, zdała się moja ratunkowa wyprawa. Pieniądze, rzeczy, żywność przydały się. Ale? Do najgłębszych czeluści Hadesu wysłałam moje amfibrachy i trocheje, na nic przydatne okazały się tak niegdyś konsultowane tablice logarytmiczne, z wykładanej – jakże niedawno! – propedeutyki filozofii żadnej pociechy obiecać mi nie mógł Achilles, nigdy niemogący doścignąć żółwia. Hegłowskie tezy, antytezy, syntezy szczyrzyły ku mnie szyderczo zęby, a właściwie wydawałam się sobie monadą holenderskiego mędrca Spinozy, co to zamknięta i od świata odcięta. Bogać tam!

Nelly znikła z pola widzenia, a ciężko chora ciotka złądowała w szpitalu. Zakupy, dla Ojca i wujka, a i choć byle jaki obiad umiałam jeszcze obłatwić. Ale pranie...

Wiedziałam, że bieliznę osobistą (w tym męskie koszule) trzeba koniecznie wygotować. Po rzetelnym upraniu wzięłam w tym celu dość dużą, białą, emaliowaną – z granatowym brzegiem – miednicę mojej gospodyni. Horror, jaki z tego wyniknął, chyba się nie da opisać: koszule się podpiekły, bo nie dopilnowałam gotowania. Żebyż tylko: popękała cała miednica! Cztery dni ganiałam przez Berlin, ale zdobyć zdołałam ledwie dwie małe miseczki, które moja *land-lady* skwitowała nad wyraz kwaśnym: – To nie jest to samo! – i piękny, dołączony do tych przeprosin bukiet wcale jej nie przejednał.

Ale czas biegł. Ojciec pracy znaleźć nie mógł, a pieniądze topniały jak śnieg za oknem. I właśnie wtedy, oboje pojęcia nie mając, w jaką pułapkę się pakujemy, pod koniec stycznia daliśmy się nabrać na jedną, częstą wówczas w tygodniowej prasie, ofertę pracy.

O tym, czym jest ta instytucja, dowiedziałam się w parędziesiąt lat po wojnie. Powstała w początkach XX wieku, gdy ambitni – a zrozpaczeni – rodzice chcieli doprowadzić do matury swoich, przeważnie leniwych, a często i arcygłupich synów. Za sutą opłatą powstawały kursy, na których grono – odpowiednio przygotowywanych – pedagogów wbijało nieszczęsnym matołom kilkanaście twierdzeń i działań, z pomocą których – nic z tego nie pojmując – osiągalni upragnione papierki. Z czasem sytuacja zmieniła się: odkryto nowe możliwości, zapotrzebowanie na języki obce. Metody – ani opłaty – nie zmieniły się, ale gwarancją niezłej posady był dyplom takiego właśnie instytutu. Wyboru w istocie nie miałam: bo zarabiać trzeba było natychmiast,

a maturalne świadectwo z polskiej – horror! – szkoły – przekreślało wszelkie możliwości – więc...

Więc po otrzymaniu atrakcyjnych prospektów z Lipska podpisał w moim imieniu (bo według ówczesnych praw byłam niepełnoletnia) Ojciec umowę, że niebawem rozpocznę kurs angielskiego w wielce zachwalanym instytucie doktora Nagla (z internatem), który to instytut w błyskawicznym tempie wyedukuje mnie na tłumaczkę niemiecko-angielską (i vice versa), sekretarkę handlową, przewodniczkę turystyczną, tudzież stenotypistkę kwalifikowaną. Cena była słona: paręset *Reichsmark*. Ale resztkę pieniędzy jeszcze mieliśmy. A alternatywy żadnej. Podpisany cyrograf wysłany został w początkach lutego z Berlina do Lipska.

Sentymentalni nie byliśmy nigdy. Do „Hanseatów” to nie pasowało. Tak że, krótkie moje – najczęściej wieczorne – wypadki do Mariendorfu, do Ojca, były zwyczajne, domowe. Na dłuższe rozmowy umawialiśmy się w mieście, tak było wygodniej. Tylko w połowie lutego, dość późno wychodzącą, odprowadził mnie aż na schody i z nagłą serdecznie ogarnął ramieniem:

– Uważaj na siebie!

Otrząsnęłam się z tego uścisku:

– Ależ uważam! I w ogóle – o co chodzi? Jutro przecież umówieni jesteśmy pod zegarem! – (Był to wielki, okrągły, uliczny zegar koło dworca ZOO – od niepamiętnych lat stały i łatwy do osiągnięcia punkt wszelkich, nie tylko erotycznych, spotkań).

Westchnął:

– No tak. To do jutra.

A ja co prędzej zadudniłam po schodach, żeby zdążyć na kolejną, miejską kolejkę. Moja gospodyni miała niemiły zwyczaj zamykania gazu, jeśli zjawiałam się u siebie po godzinie dwudziestej trzeciej.

Drobna, dokuczliwa mżawka ochlapywała tego 15 lutego 1940 roku domy i ulice. Ale znałam żelazną punktualność Ojca (co to: „żeby nawet kamienie z nieba leciały!”) i równo z uderzeniem godziny jedenastej stawiałam się pod umówionym zegarem. Ale jego nie było. Co się stało? Bo przecież coś – i to całkiem niezwykłego – stać się musiało skoro... Odczekałam jeszcze 15 minut, wskoczyłam do budki telefonicznej – nikt nie podejmował słuchawki. Doczekałam jeszcze na ZOO południa, dalej nic. W końcu wybrałam się w daleką podróż do Mariendorfu. Ciotka, blada i roztrzęsiona, z palcem na ustach otworzyła drzwi.

Bo też zasobne, choć skromne, mieszkancko wyglądało niecodzienne. Kabel telefonu zwisał odcięty. Wysunięte na środek pokoju biurko wybebeszone było z całej zawartości. I wielkie szafy biblioteczne również. Przerażony jamnik, Kaczmarek II, dygotał pod biurkiem i ani rusz nie dawał się stamtąd wyciągnąć. Na biurku leżał kawałek oddartego z listownego, kremowego bloku papieru ze zwiędłą, ręką Ojca ostro i wyraźnie skreśloną informacją: „Jadę na Alexanderplatz” i później – wobec oczywistego absurdu takiego sformułowania – skreślone: „klucze – tu”.

Nie, klucze oddał u sąsiadów z tego samego piętra, miłych i spokojnych państwa N., którzy oddali je ciotce z wyjaśnieniem: – A brat Pani nam je zostawił, bo wychodził z takimi... nooo... trzema panami. – Więcej informacji nie było trzeba: na Aleksie mieściło się wielkie miejskie więzienie.

Wrócił z pracy małomówny Hans i wszyscy troje, nienawykli jeszcze do otaczającego nas świata, łamaliśmy sobie głowy: „Skąd? Dlaczego? To chyba jakaś pomyłka? Bo niby z jakiej racji?”...

Nie pamiętam już, kto i jak powiadomił Nelly, która, rzecz jasna, nic pomóc nie mogła, tylko rozwrzeszczała się jak pantera, że to wszystko przez tych przeklętych *Polacken*. W więzieniu żadnych informacji – reguła – nie udzielano. Wobec tego, zagarnawszy resztę grosza, ruszyliśmy na poszukiwanie adwokata. Był to sławny obrońca, mecenas W., wówczas jeszcze dysponujący świetną kancelarią przy eleganckim *Kurfürstendammie*. Poszłam do niego i zdumiałam się niemało, gdy – gestami tylko – wywołał mnie ze swego gabinetu do łazienki i tam dopiero, puszczając donośny strumień wody, przysiadł na brzegu wanny i zagaił: – Niechże mi pani powie, o co tu, naprawdę, chodzi? – Sęk w tym, że nie wiedziałam. Gubiliśmy się w supozycjach i domysłach, aż po przyjęciu sprawy (i sutej zaliczki) sławny adwokat powiódł wymownie ręką po sięgających aż do stiukowego sufitu półkach, zapchanych przeróżnymi kodeksami i – nieznacznie ramionami wzruszając – zakończył rozmowę wymownym: – No taak tego dużo. Tylko, że... – i tu ręką machnął, jakby strzepywał niedorzecznie pomiędzy owe folianty zabłąkaną muchę.

Nic, nic, nic, ciemność. Przyszła po paru dniach kartka, zwykła pocztówka, zgnieciona, zasmolona: „Jadę do obozu, nie wiem dokąd. A M. (ja!) niech co prędzej wraca, gdzie zawsze była”.

Tego akurat zrobić nie mogłam. Znakomity instytut w Lipsku przewidywał, w razie zerwania umowy, pełną opłatę za cały kurs tytułem kosztów, etc. Więc...

Więc kilka dni później stanęłam na lipskim, podówczas chyba w Europie największym, dworcu. Ale się go jakoś nie złąkłam i pojechałam na Ferdinand-Chode-Straße, nr 28.

I z miejsca wpadłam w pracę autentyczną. Bo dyrektora tej instytucji, prócz pieniędzy, nic nie obchodziło.

Cóż za młyn niewyobrażalny! Owszem, zgodnie z prospektem mieszkaliśmy tuż przy instytucie w pięknych willach i 2-, 3-osobowych pokojach (łazienki – w jednej z nich pierwszego dnia ukradziono mi zapomniany na umywalce wisiorek z akwamaryny, na złotym łańcuszku – były marmurowe!). Cztery posiłki dzienne. No i dryl, którego by się chyba i stary Fryc nie powstydził:

7.00-7.30 wstawanie, mycie, śniadanie

8.00-12.00 bez chwili przerwy – zajęcia: dwie godziny języka; dwie godziny różne – tu wchodziła historia sztuki, muzea etc., co miało nas wykształcić na umiejętnych przewodników

12.00-13.00 horror – stenografia!

13.00-13.30 obiad

14.00-16.00 godzina maszynopisania (ślepo) i godzina handlowej korespondencji

16.30 podwieczorek (tylko kwadrans)

16.45-18.00 odrabianie materiału na następną dzień

18.00-19.30 grupy językowe

20.00 kolacja

od 20.30 rzekomy czas wolny, z tym że światło wygaszano bezlitośnie już o 21.30! Cudo!

Dławiłam się. Nie nauką. Angielski znałam z lekcji prywatnych dość dobrze. Ale właśnie tym drylem, tymi maszynami (było ich dokładnie 45), które z przeraźliwym łomotem (i to niezależnie od marki) codziennie i na ślepo zaczynały wyścigi. Pisanie ślepe polegało na dokładnej znajomości tastatury i szaleńczym wyścigu w przepisaniu tekstu, od którego – na maszynę – ani na sekundę nie wolno się było obrócić. A cóż dopiero stenografia niemiecka i, co gorsze, angielska, o których nie miałam pojęcia!

Nocami uciekało się na strych – unosząc koc i świece – i kuło zapalczywie do białego świtu. Okazało się bowiem, że kurs trwa pół roku, ale w drodze wyjątku (i wcale niezmnieszonych opłat) można go i w ciągu czterech miesięcy opanować. Co też robiłam, kując wściekle, zajadle, jak dziecko. Kursy były różne: angielski, francuski, włoski, hiszpański, portugalski, grecki. Niekiedy (czego nie wolno było robić) wykradałam się do Hiszpanów, gdzie pięknie wykładał siwowłosy

Don Pedro o smoliście czarnych brwiach. A w soboty, przed czterna-  
stą, tłumy biegły do kościoła św. Tomasza. Jednak miasto Bacha.  
I chłopięcy, kryształowy chór śpiewał wówczas jego motety, tylko nie  
trzeba było się nań oglądać, bo chłopaczki – jak jeden – byli w hitle-  
rowskich mundurkach najmłodszych Pimpfów.

Z czasem znalazłam inne pocieszenia: Lipsk – miasto druku i ksią-  
żek. Trafiłam do stareńkiego antykwariatu, którego dość ospały, stary  
właściciel wcale się nie gniewał za wielogodzinne moje – bez szans na  
kupno – myskowanie. Tak odkryłam Rilkego – między innymi *Das  
Stundenbuch*<sup>1</sup> – i oczadziałam doszczętnie. Wtedy zaczęłam pisać  
wiersze (bardzo „rilkowskie”) po niemiecku. Był jakiś o naczyniach  
glinianych i metalowych. Były jakieś zapomniane już, ale wtedy sta-  
rannie cyzelowane sonety. Był i taki drobny wierszyk, który do dziś –  
choć naiwny – przetrwał mi w pamięci:

*Das Ende eines Liedes –  
kann heiter oder traurig sein –  
Der beste Wein kann gären –  
Das Brot härter werden als ein Stein –*

*Jeder ist hier auf Erden  
Selbst seines Glückes Schmied –  
So wie er will – so werden  
Ihm Wein und Brot und Lied.*<sup>2</sup>

I właśnie wtedy nastąpiła katastrofa.

A jednak – nie. Jeszcze nie. Lipsk przecież jest także słynnym mia-  
stem muzyki. I pojawiają się plakaty. I ani mi marzyć o wejściu do  
słynnego Gewandhausu. I wchodzę, bo muszę. Bo sprzedaję (za całe  
20 RM) ostatnią parę pięknych, granatowo-białych, skórzanych panto-  
felków i oto jestem w tym słynnym budynku – wysoko, na tak zwa-  
nym paradyzie, ale jednak... I tylko na moment trzeba szczelnie za-  
mknąć oczy, gdy wspaniały rudzielec – dyrygent Hermann Abend-  
roth – odwraca się ku publiczności, wznosząc rękę w hitlerowskim po-  
zdrowieniu. Ale cała reszta...

*O Freu-u-u-de!* – buchają głosy, a później – nigdy nieprześcignio-  
ne, choć w ubogim polskim przekładzie: „O radości iskro bogów / Có-  
ro elizejskich pól” ...

<sup>1</sup> *Das Stundenbuch* – (niem.) *Księga godzin*.

<sup>2</sup> *Das Ende eines Liedes...* – (niem.) *Piosenka raz dobrze / kończy się, a raz źle / dobre wino  
skwaśnieje / a chleb stanie się twardszy od kamienia. // Na ziemi każdy / kowałem swego lo-  
su jest / wino i chleb, i pieśń / takimi będą, jakie chciałbyś mieć.*

Po wspaniałym koncercie powędrowałam do ohydnej naszej pracy tak stumaniała, że nawet nie spostrzegłam, iż – w tak zwanym międzyczasie – ukradziono mi mego ulubionego Pelikana, pióro, którym niegdyś – przed wiekami – pisałam maturalne prace. Ale – niech!!!

Katastrofa była istotniejsza: nie miałam jak zapłacić za następny – właśnie ten przyspieszony – miesiąc kursu. Pierwszą opłatę (luty-marzec) uiściłam sumiennie po przyjeździe. A teraz – cichutki, w piękne szare flanele ubrany dyrektor, doktor Nagel – coraz częściej dopadał mnie w korytarzach: – No i kiedy pani wreszcie zapłaci następną ratę?

Wiedziałam, że jakieś resztki pieniędzy w Berlinie były. I po powrocie do Warszawy, za radą niezawodnego pana Teodora, napisałam – stamtąd jeszcze – list, na awaryjny adres krakowski, pod którym rzetelni ponoć ludzie mogli i gotowi byli nam pomóc. Ale teraz sprawy się zamąciły: ciotka ciężko chora w szpitalu (co ledwo odcyfrowałam z pajęczochieroglificznych paru linijek Hansa). Zrozumiałam jedno: sprzedali nawet własne meble, tak że tylko ta nasza reszotka ich jeszcze ratuje. Ale – cóż ze mną? Nie skończę tego studium, a wracać nie mam gdzie, przecież nie mogę im być ciężarem. (Nikt mi w domu o tym nie mówił, ale wiedziałam, że od pewnego czasu milkiwy Hans znajdował w skrzynce na listy anonimów: „A to ty taki przyjaciel tych *Polacken* jesteś? Już my ci”...) i w pracy też miał kłopoty. Zgnębiona i bez wielkich nadziei napisałam do Krakowa. Odpowiedzi nie było. Natomiast przysadzisty dyrektor, doktor Nagel, co i rusz dopadał mnie w korytarzach: – Żal by nam było rozstać się z panią, tak świetne dotąd wyniki. Oczywiście rozumiemy przejściowe trudności. Tylko kiedy w końcu będzie mogła pani uiścić tę, konieczną przecież, następną opłatę?

I tak oto zawisłam pomiędzy szczerze milczącym niebem i nieprzychylną ziemią. Któż i w jaki sposób mógł mi pomóc? A jeżeli nic? Cóż, powrót na bardzo chwiejne miejsce, do Berlina – i dalej co, właściwie, co? Jak piorun trzasnęła mnie przy tych rozważaniach myśl, że przecież już jestem pełną obywatelką koszmarniej Rzeszy i lada chwila mogą mnie zmobilizować, wysłać dokądkolwiek, przydzielili – częste to było wówczas bardzo – do służby przeciwlotniczej. Co robić?!

-----  
***Od marca (maja) 1987 do sierpnia, kiedy mnie wreszcie ze szpitala wypuścili: wiem – chora jestem na raka – ale akurat tę książkę (okazuje się, że po tomiku wierszy wydanym w niezależnej Oficynie Literackiej) – tedy tę książkę moją – piątą – teraz dalej pisać muszę – i chyba***

*– może – czego bardzo chcę – skończyć. Postaram się – nie wiem. Może to jednak – jeszcze ciągle – potrzebne? XI 1987*

*Tym trybem pracując, nie tylko do własnej śmierci, ale i do końca świata zapisów tych nie skończę! Ale prawda jest inna: nie chce mi się po prostu pisać o latach wojny, tak już na wszelkie sposoby opisanych, obsmoktanych, obfilmowanych, o-o-OB!*

*Kurierką ani cichociemną nie byłam, ani w KZ, ani nawet na Pawia-ku, cóż więc znaczy, że żyję, o czymże tu – miły Boże – warto pisać?! No, ale piszę już, piszę i może jeszcze zdążę. Więc wtedy, w Lipsku...*

-----

Więc wtedy, w Lipsku, zrobiłam rzecz szaloną: weszłam do pierwszego po drodze katolickiego kościoła i uklękłam w najbliższym konfesjonale, mówiąc przez fioletową zasłonkę cicho, ale wyraźnie: – Nie przyszedłam się spowiadać. Nie wiem, co ze sobą zrobić, bo... – i w krótkich słowach streściłam swoją sytuację.

O tym, że zamiast spowiedników siadywali na ich miejscach konfidenti albo i referenci Gestapo – wiedziałam, ale i to przestało mnie obchodzić. Niewidoczny ksiądz pomilczał chwilę, po czym – równie wyraźnym szeptem – powiedział, bym trochę poczekała, po czym mnie, udając absolucję, pobłogosławił, a po odczekaniu jeszcze chwili, bym wyszła z kościoła tym, a nie innym wyjściem i szła w pewnej odległości za nim, aż do domu, w którym mieszka. Udało się, mimo że nie dzieliśmy się wzajem ani przez sekundę.

Ksiądz Ernst Warg był dość młody i mocno skłopotany: – Skąd ja pani wytrzasnę jakieś pieniądze? No nic, dzisiaj piątek, do poniedziałku coś chyba da się zrobić. A na razie, niech pani tu posiedzi chwilę, zaraz się zacznie nasz wieczór, pozna pani paru ludzi... To też coś warte!

Poznałam tych ludzi: nie było ich wielu. Erna – w moim wieku, wielce skłopotana, bo pół-Żydówka, wesoły Lucek – aż z Borysławia, który w Lipsku pracował jako motorniczy tramwaju i w ogóle jakoś sobie radził, aby dalej, i małowówny, tykowały Rainer. Posiedzieliśmy, pogadaliśmy, z biegiem kolejnych, cotygodniowych spotkań nawet i śpiewaliśmy. Nie, znów nie bojowo i rewolucyjnie, tylko zwyczajnie: o tym księżycu, co tak cicho sunie po niebie itp. itd. Nie to się liczyło, tylko ludzka bliskość, a też i książki, pożyczane od księdza i jego ciepłe, ludzkie słowa. To było dużo. I wystarczyło.

A kilka dni później cud oczywisty stał się także: nie tylko listonosz wypłacił mi, za okazaniem paszportu, potężną sumę pieniędzy, przekazaną – z potwierdzeniem przelicznych, urzędowych stempli –



z Krakowa, czyli stolicy ówczesnej GG. Nadszedł nadto list, wzywający mnie pilnie – a równie stempłowo i urzędowo – jako tłumaczkę sądową z/na niemiecki, francuski, włoski do – Warszawy!

Pieniędzy starczyło na opłacenie skróconego kursu – nawet do Berlina zdołałam trochę przekazać. A urzędowo-sądowe pismo okazało się upragnionym wybawieniem od wszystkich już-już grożących mi wezwań czy powołań. I ze sztywnym – w same niemal najlepsze oceny opatrzonym – dyplomem ruszyłam, po zdaniu mnóstwa uprzykrzonych i niełatwych egzaminów, z powrotem do Berlina, gdzie co prędzej biegać zaczęłam i starać się o – tym razem jak najbardziej urzędową – przepustkę do Generalnej Guberni, gdzie miałam rozpocząć pracę.

----

**Pcham, pcham tę utrapioną taczkę byle dalej, choć o parę zdań.**

----

Tedy był jeszcze epizod nieprzewidziany: przyjechał z Danii mój nigdy dotąd niewidziany wuj Flemming – mąż (drugi – z bogatym piwowarem się, o zgrozo, rozwiódł!) starszej siostry cioci Eli – czyli nigdy niepoznanej Wity, która własnych dzieci nie mając, postanowiła mnie przyhołubić. Usilnie mnie na to – przystojny jak amant filmowy, choć był zaledwie tekstylnym hurtownikiem – Flemming namawiał (1,85 wzrostu, szczupłutki, o wielkich, serdecznie siwych oczach i równie – a nieczęstym u Nordyków – ciepłym sposobie bycia). Podo- bał mi się niezmiernie, ale jakoś siebie na tamtej Północy nie widzia- łam. Do samego dna wyjedliśmy wielką walizę przywiezionych prze- zeń wspaniałości: masła, jajek, bekonu, po czym wrócił do domu, a ja do biura przepustek, gdzie zasuszone urzędniczyisko, wypełniając mi ów cenny papier, kwaśno zagadnęło:

– *Nach Warschau?* A co tam pani będzie robić? Tam nie ma przecież kamienia na kamieniu.

– Wezmę jeden, siądę na nim, a na drugim położę papiery i zabiorę się do roboty – warknęłam, wiedząc, że wezwanie sądowe musi mieć arcsolidne zaplecze, skoro na jego widok wszędzie i zawsze uprzej- mie spieszo mi z pomocą.



Spakowałam niedużą walizkę, uściskałam wujostwa i bez prze- szkód wysiadłam na peronie, ozdobionym wołowymi, czarnymi na białym tle literami: WARSCHAU – HAUPTBAHNHOF. Był koniec września 1940 roku.

Napis był obcy, ale nie miasto. Prócz wielu koleżanek, z których jedna (Czilawi) na mnie przy wyjściu czekała, była tu mała filia naszej „jasnej” szkoły: mieszkać tam miałam od zeszłej jesieni jako studentka... Nie dało się tak – to owak: w mig znaleziono mi nieopodal placu Zbawiciela pokój przy rodzinie nobliwej, współsparaliżowanej a wielce nabożnej starej pani Anny, jej starszej córki Heli – świeckiej zakonnicy (tercjarki) i młodszej – wiekiem i temperamentem na wskroś innej, z bujną grzywą rudych włosów i o zamiłowaniach aż nadto świeckich. Ale to mi nie przeszkadzało. W ciemnym, wielkim mieszkaniu na piątym piętrze dość nowoczesnej kamienicy (winda, białe, marmurowe schody) spodobał mi się pokój – cały w ulubionym kolorze – zielone ściany, zielone łóżko, szafa, stół, krzesła, a cena – 50 złotych – też nie wydała się wygórowana. No, wreszcie drzwi, które zamknę spokojnie za sobą!

A jeszcze była Helcia. Uosobienie podwarszawskiej, pogodnej, pełnej humoru i swoje miejsce w świecie dokładnie znajdującej gospośki. Służyła u tych swoich pań już ponad dziesięć lat, a teraz i mnie objęła serdeczną opieką. A ponieważ mieszkalam bez kuchni, co rano czekała mnie świeża, chrupka bułka i aromatyczna herbata, które podsuwała mi Helcia stwierdzając, autorytatywnie: – Te moje panie tam od tego nie zbiednieją, a panienska musi porządnie jeść, bo młoda!

Trzeba było co prędzej rozejrzeć się za jakimś zarobkiem. Kupiłam obrzydłego szmatławca, „Nowego Kuriera Warszawskiego”, gdyż tylko tam zamieszczano mnóstwo odpowiednich ogłoszeń. I nie namyślając się długo, przebiegłam parę ulic do pobliskiej 6 Sierpnia<sup>1</sup>, gdzie mieścił się Kreishauptamt – innymi słowy starostwo warszawskie, szukające maszynistki, znającej język niemiecki.

Pełniący obowiązki starosty – niestary jeszcze, krępy człowiek o twarzy przerażonego chomika i zabawnie rudych, krótkich wąsach – bez chwili wahania przyjął mnie do pracy i wysłał do dość sporego pokoju. Stały tam mocno już sfatygowane, spore biurka, za którymi urzędowali pan Stanisław, pani Zofia i pan Jan – choć dopiero znacznie później miałam się z nimi zaznajomić. Pod oknem tłukła panna Reła w wielce sfatygowanego remingtona. Na mnie – niemal na środku sali – czekał równie rozklekotany underwood. Zdjęłam z niego ceratowy ochraniacz i – usiłując zdominować hałas, wywoływany przez tłum napierających do wszystkich biur, głównie chłopskich petentów – zapytałam speszona: – Czy ja państwu tym moim stukaniem nie będę przeszkadzać? – Chóralny wybuch śmiechu był odpowiedzią.

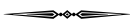
-----  
<sup>1</sup> Obecnie ul. Nowowiejska.

Ale przysadzista, niemłoda już, barwnie i ostro wymalowana pani Zofia od razu chciała ustalić, kogo to mianowicie – w tak niepewnym czasie – do ich przytulnego rezerwatu przyniosło:

– A skąd pani właściwie jest? – zagadnęła tonem, który by dziś z pewnością określić trzeba było jako zasadniczy.

– Przed tygodniem przyjechałam z Berlina – oświadczyłam uprzejmie, wkręcając w maszynę papier z przebitką.

Gdyby potężna bomba rąbnęła w środek owej niewielkiej i od iluż lat zgranej ze sobą, urzędniczej gromadki – efekt byłby ten sam. I długich miesięcy trzeba było na odrobienie mego spontanicznego, horrendalnego nietaktu! Zresztą nie zdawałam sobie w ogóle sprawy z tego, że za 180 złotych miesięcznie włączyłam się w pracę najokrutniej nam panującego hitlerowskiego okupanta.



Ale i 180 zł nie starczyło. Jak ślepe szczenię poruszałam się wśród niezrozumiałych, co gorsza z każdym dniem niemal innych, codzienności wojny. Dobrych rad wprawdzie nie brakło: – Cóż ci szkodzi podpisać dobrą (bo były i gorsze – aż do trzeciej, całkiem nijakiej kategorii) volkslistę? – dziwiła się pucołowata Henia, znakomicie obeznana z rzeczywistością. – Spokój, dobra posada, no i świetne kartki do Meinla (sklepu, w którym – wcale nie gorzej – zaopatrywali się Niemcy i ich rodziny). Itd., itp., etc. Ale...

Nie zabrakło ludzi rozumnych i przytomnych. W mig dostałam szarą, tekturową kenkartę dla „untermenschów” w GG przeznaczoną i całkowicie lewą, choć z autentycznymi danymi. I niezłą kartę pracy miałam też. I kartki żywnościowe (w Rzeszy były także tekstylne, ale takich dodatków dla „podludzi” nikt nie przewidywał!). Sprawnie odbierałam przydziały w zarejestrowanym, wycinającym mi odpowiednie kupony sklepiku:

– brązowy, okrągły chleb, z którym co tchu pędzić trzeba do domu, bo najdalej po dwóch godzinach rozkruszał się w niejadalne szczątki – ponoć z racji przymieszki mielonych – zwykłych, a NIE jadalnych – kasztanów,

– równie brunatną, gęstą i głównie buraczaną marmoladę,

– mniejsze od pudełka zapalek kostki mydła RIF – również (kolor, hm, narodowy?) brązowomusztardowego, które nie pieniło się, tylko zwijało w drobne, brunatne skręty niemiłosiernie płamiące ręczniki. Od wielkiego dzwonu, na przykład świąt, zdarzały się RIF-y jasnozielone, o dość miłym zapachu i mydłopodobne – ale bardzo rzadko,

– minimalne ilości cukru, kaszy czy grochu,  
– tak zwaną rąbankę, czyli bez żadnego sensu przytłuczoną tasakami chabaninę, głównie brudne kości, które zanosila Helence, w zamian za co w każdą niedzielę częstowała mnie posilną porcją pysznej zupy jarzynowej.

O Ojcu wiadomości nie miałam żadnych, gdyż milcząca umowa polegała na tym, że nigdy do niego – na zmieniające się zresztą adresy obozów koncentracyjnych – pisać nie będę, skoro koronnym zarzutem jego aresztowania była ponoć „przyjazna postawa względem Polaków” (*Polenfreundlichkeit*). Bogać tam! Szło nie o to, szło, oczywiście, wyłącznie i tylko o FIRME, o pieniądze – spore wówczas pieniądze. Ale kochana berlińska ciotka w ostrożnych, z góry ustalonych zwrotach, pisała – po niemiecku – z Berlina.

Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę z rzeczy najprostszej: nigdy dotychczas w Polsce nie mieszkalam! I uczyć się musiałam najdrobniejszych rzeczy. Długie deliberacje pod malutkim, prywatnym sklepikiem na Mokotowskiej zakończyłam zwycięskim zakupem 10 deka masła – u nas, w Mieście, na funty się przecież kupowało! Pucowała Henia, której za głupią, bo głupią, ale przecież dobroć, odpłacić chciałam wiązaną kwiatów, prychnęła zdziwiona: – A to po co? Imieniny mam latem, a teraz jesień!

Najwięcej, bo tu i ówdzie zapraszano mnie do prywatnych domów, zdumiewała mnie absolutna konieczność wypijania mocnych trunków aż po ostatnią kroplę. Gdzież nasz, wspaniale zaopatrzony barek domowy, do którego sięgał kto i po co chciał – ale po kieliszek, dwa – nigdy więcej!

– To, widzisz, z biedy – wytłumaczył mi później starszy i bardziej rzeczy świadomy człowiek. – Dziś mam, do dna piję i użyję, bo kto wie, co jutro będzie!

W każdym razie – po opłaceniu pokoju – każde następne jutro przedstawiało się coraz gorzej. Przetarte do ostatnich resztek buty (pantofelki od Leszczyńskiego nie nadawały się „na co dzień”) zaczęły w jesiennej chłapie coraz bardziej przemakać. Domowe obiady, które usiłowałam kleić z kiszzonej kapusty i kartofli – też sił nie dodawały. A gdzie pranie, mydło prywatne już i odpowiednio drogie, gdzie głupie drobiazgi, jak przedza i nici, łapanie oczek, tak złośliwie uciekających w jakże drogich pończochach, gdzie – konieczna przecież – nieubłagana opłata obowiązkowego, przez miejsce pracy sprowadzonego metra kartofli na zimę?! Skończyło się to siarczystym zapaleniem oskrzeli, w którym – poza niezawodną Helcią – doglądała mnie Rela i poczciwa pani Zofia, bo jakoś zdołała się do mnie przekonać.

Ale potworne śniegi i mrozy grudnia, którym nic – poza istotnie ciepłą szubo-pelisą – nie mogłam już przeciwstawić, najwyraźniej wykażały mi, że długo w tych warunkach z pewnością już nie wyżyję.

Rela, która pochodziła z Wybrzeża, wkrótce zaprosiła mnie do domu. Poznałam nie tylko jej wspaniałą matkę – panią Zofię, która dokonywała istnych cudów, utrzymując prócz męża komandora – pana Józefa – troje dzieci: młodszą Zosię, wówczas na tajnych kursach szkoły średniej, Relę i najstarszego Lolka, który wprawdzie miał świetną pracę w węglu (Giesche – Kohle), ale jednocześnie był w podchorążówce (okazało się, że był swego czasu w jednej klasie z Filem, choć potem po drodze przysiadł i maturę zrobił przed samą wojną). Starsze dzieci, co prawda, co mogły, matce z zarobków swoich dawały, ale ceny skakały wściekle i obrotna pani Zofia dorabiać zaczęła wcale nieźle prywatnymi lekcjami – angielskiego, jako że na ten język moda zapanowała w całej Warszawie: „im słońeczko wyżej – tym Sikorski bliżej”.

Stąd i znajomość z inną młodzieżą – skąpymi jeszcze wówczas – gazetkami. Ale i – całkiem zrozumiała – nieufność. Skąd się wzięłam? Co tu robię? I właśnie – gdzie i do czego mnie można przyczepić? Sęk w tym, że raczej do niczego! I to uwierało jak gwóźdź w bucie. Niby rozumiałam konieczność ostrożności i rezerwy, ale jednak, ale...

Grudzień 1940 roku zastał mnie skostniałą i zbiedniałą ostatecznie, a ratunku znikąd nie było widać. I wtedy, przed samą Wigilią, przesłano mi z Berlina (nadal tam byłam zameldowana) krótki list z KZ Dachau, że Ojciec mój zmarł 15 XII 1940 z racji schorzeń wątroby, opuchlizny, niewydolności płuc etc. Na dobro katów zapisać należy, że komunikat ten NIE był sygnowany sakramentalnym *Heil Hitler*.

I cóż mogłam zrobić z tą wiadomością?! Załączony, oficjalny spis powiadał mi, że mogą mi przesłać koszulę i ubranie Zmarłego, jego złote koronki na zębach (co zostało starannie – czerwonym atramentem! – przekreślone), tudzież puszkę z prochami.

Na tę ostatnią ofertę nie reflektowałam: akurat niedawno ktoś taką przesyłkę odebrał, oddał do zbadania chemikom i dowiedział się, że zawierała resztki odpadków kuchennych. A zapłacić, oczywiście, za to trzeba było.

Po pewnym czasie odebrałam tylko przesnute niemal do osnowy, szare ubranie. Oddałam je do najlepszej cerowni i w latach późniejszych nosiłam jako kostium, łącznie z piękną, jasnozieloną, popeliniową bluzką (z koszuli) z wyraźnym na kieszeni monogramem: „A.K.”.

– I nie boisz się tak z tym chodzić? – pytali ludzie. Nie. Nie bałam się. Choć monogram, oczywiście, był podówczas nader wymowny.

Już nie pamiętam, kto i jak zdążył wówczas wrzucić do mojego zielonego pokoiku gęstą, mocno pachnącą, choć niewielką, zieloną choinkę. Uciekłam od niej. Uciekłam z mego piątego piętra. Uciec chciałam od wszystkiego – bo skończył mi się świat.

1941 rok jednak – wbrew wszystkiemu – okazał się inny. Zaczęłam go niefortunnie. I o tym Ci pisać chcę jak najmniej. Mianowicie postanowiłam wstąpić do klasztoru. Bo skoro ten świat... Dobrym psychologom zawdzięczam, że ten, niedługi zresztą, okres próbny wypadł dla mnie fatalnie. Nic – tylko powrót do świata, gdzie zadania przede mną etc., etc. Wróciłam więc do Warszawy, bodaj biedniejsza niż przedtem (próba zakonu cokolwiek kosztowała, a do dziś pozbyć się nie mogę niedobrej myśli, że nie byłam już tą posażną jedynaczką, jak niegdyś).

Słowem – znalazłam się znowu w szczęśliwie mi zachowanym zielonym pokoiku, ale bez widoków na najbliższą przyszłość. I wtedy właśnie...

I wtedy właśnie, niby w bajce albo głupim filmie, usłyszałam dudniący jak z beczki głos, którego z żadnymi innymi nie mogłabym pomylić: – Ty przecież jesteś córką Janki! – zagrzmiała na placu Zbawiciela pani Felicja, łapiąc mnie za ramiona. – Dziewczyno! Co się z tobą dzieje?!

W krótkich słowach zreferowałam – co. Długa, końska twarz pochyliła się w namyśle: – Daję ci dwieście złotych. Idź do fryzjera i ubierz się przyzwoicie. Dziś – piątek. W poniedziałek, moje dziecko, zgłosisz się o godzinie szesnastej na ulicy Królewskiej 3. Monopol Zapałczany. Szwedzi. Będą z tobą rozmawiać. Ale się nie spiesz. Szukają sekretarki z niemieckim i angielskim. Akurat pasuje. Weź ten dyplom z Lipska. I nic, tylko wymagaj uczciwej pensji, mówię ci, 700 złotych!

Wrosłam w ziemię i słowa nie byłam w stanie wymówić. Na owe czasy – a zwłaszcza moje umiejętności – była to suma bajońska! Ale pani Fela, jak zwykle nie sprawdzając efektów swoich wystąpień, wepchnęła mi w rękę pieniądze wraz z kartką z nazwiskami Szwedów, z którymi się miałam spotkać i sprawa była załatwiona.

I – ku najwyższemu memu zdumieniu – istotnie została załatwiona! W styczniu 1941 roku zostałam urzędniczką PMZ z murowaną legitymacją i...

Ale o tych wszystkich – i innych – „i” trzeba jeszcze osobno napisać.

Dobrze: zanim o Szwedach i wspaniałej u nich pracy – muszę Ci jednak napisać o naszym życiu codziennym. Bo widzisz: Wam w oflagu wydawało się ono – i chyba słusznie – pasmem nieustającej udręki.

A już następnym pokoleniom, to nic, tylko „kto na drodze – granatem wal w głowę!”, czyli nieustająca haratanina, Pawiak, KZ-ty, zbiorowe egzekucje – gdzie miejsca krwią bohaterów zroszone etc., etc. Gazetki, podchorążówka w Kampinosie – no i wszelkie inne legendy. UWIERZ, proszę, że mimo wszystkich najwyższych słów wartych bohaterów, jednak – LEGENDY – tylko to im zostało!

A nieprawda. A ja – jednak – chcę Ci o tym naszym dniu powszednim opowiedzieć inaczej. Bo był inny. Zwykły, szary i doprawdy straszny, ale człowiek taki już jest, że chyba i w piekle – jeśli tylko zdoła – wyżyje, jeśli chce, musi żyć.

Stąd więc te piękne, warszawskie niedziele. Kościoły, i owszem, pełne, ale później ojcowie rodzin, jak za najlepszych lat, wędrują ulicami z pudełkiem świeżych ciastek od Bliklego – czy tam skąd – zaczepionym o guzik czarnego, sutego płaszcza. A te wędrowki po kościołach, do Żłobków, a już zwłaszcza – martyrologicznie udekorowanych – Grobów w Wielkim Tygodniu... No: nie dajmy się! I aby do wiosny! Już trafiam na gazetki, zrazu nieufnie, później coraz ufniej mi podawane. Na podwórkach czarnych, ponurych czynszówek pojawiają się obrazy, rzadziej gipsowe figurki, Najświętszej Panny. A z czasem, nie tylko z racji majowych nabożeństw, spotykają się mieszkańcy przy ukwieconym centrum, śpiewając nie tyle składnie, ile – z biegiem lat – coraz bardziej żarliwie i nabożnie co wieczór:

*Słuchaj Jezu, jak Cię błaga lud,  
Słuchaj, słuchaj – uczyni z nami cud,  
Przemień o Panie straszny ten czas –  
O Jezu – pociesz nas!*

Wiem – i ta pieśń różne miała warianty – ale tak Ci je spisuję, jak mi w głowie i w uszach pozostała.

W głowę zachodzę, dlaczego do tych pór nikt z piszących nie oddał, jakże im należnej sprawiedliwości, warszawskim andrusom, czyli ulicznikom, czyli wspaniałym naszym gawroszom – chłopcom dziesięcio-, dwunastoletnim – z nieporównanym wdziękiem i lekkością poruszającym się po pełnej nie tylko groźnie zbrojnej, niemieckiej żandarmerii Warszawie, ale w dodatku jej – odpowiednio wytresowanych – ponurych wilczurów! Warszawskie wróbelki (tak ich sobie nazywam) lekko wskakiwały do niemiłosiernie zatłoczonych tramwajów, proponując domowej produkcji gilzowe papierosy, a ponadto drąc się na całe gardło:

*Siekiera motyka*  
*Bimber szklanka –*  
*W nocy alarm*  
*W dzień łapanka -*  
*A jak nie masz tysiąc złotych*  
*Jedź do Niemca na roboty! –*  
*Siekiera motyka*  
*Piłka deska*  
*To ulica Skaryszewska (gdzie wożono i przetrzymywano do*  
*„eksportu” ludzi z łapanek)*

*Siekiera motyka*  
*Bimber gwóźdź*  
*Bierz górala (500 złotych) i mnie puść!*  
*Siekiera motyka*  
*Bimber alasz –*  
*Przegrał wojnę*  
*Głupi malarz (oczywiście – Hitler!)*  
*Siekiera motyka*  
*gaz i prąd –*  
*Wnet ich diabli*  
*Wezmą stąd!*

Ludziska pękali ze śmiechu, a chłopcy jakoś zawsze umiejętnie potrafili się urwać w najniebezpieczniejszej chwili i zniknąć w ulicznym tłumie.

Kajtki to były – w zawsze jakoś przydługich portkach i czapkach z daszkiem (materiałowych – z reguły na nich za dużych). Handlowali też, bez uprzedzeń, szmatławcem (czyli jak już pisałam „Nowym Kurierem Warszawskim”), no bo przecież aktualne ogłoszenia!, a potrafili się wepchnąć do najbardziej zatłoczonego tramwaju po to tylko, by łobuzersko gwizdnąć – ostro! – na dwóch palcach i wrzasnąć ostrzegawczo: – Od rana na Królewskie łapanki założyli!

Wierzyliśmy im. Kochaliśmy ich. I niech przynajmniej tych kilka zdań zachowa pamięć o czupurnych, zawsze wesółych i niezwykłych naszych wróbelkach (na wróbelki obraziliby się niesamowicie – co rozumiem i – niniejszym respektuję!).





Dalej: moda! Czy uwierzysz, że narzuciła ją konspiracja? A tak! Dziewczyna, a zwłaszcza kobieta, bez obowiązkowo wówczas istniejącego, kunsztownie skreconego czuba na głowie – zaraz się na ulicy rzucała w oczy! To samo, rzecz jasna, dotyczyło na przykład aplikacji, czyli naszywek białą tasiemką na sukienkach, to samo – vide Miłosz – pantofli na wyższym czy niższym, ale zawsze szczerokorkowym kołtunie. I makijaż! Drogerie pękały od kosmetyków (między innymi używały ich starannie, ukrywające się po aryjskiej stronie, Żydówki) i nie do pomyślenia było dla młodej dziewczyny niemalowanie się. Pierwszą moją uczciwą, czyli od Szwedów wypłaconą – co prawda do 675 złotych zredukowaną – pensję, („bo pani to jednak taka jeszcze młoda i nieobciążona obowiązkami rodzinnymi”) uszczknęłam zaraz podczas pierwszej przerwy obiadowej, kupując we wspaniałej drogerii kremy, szminke, ołówki do brwi, wodę kwiatową i tyle mi z tego zostało! Drogeria była tuż, na Krakowskim, a w tłoku poczciwej dziewiętnastki, którą wracałam na Marszałkowską, pozbawiono mnie – z torebki – portfela z całą, niebłahą przecież podówczas resztą pensji. Niezapomniana nasza kasjerka, pani Misia, już następnego dnia tę, wyłącznie przez moje gapiostwo spowodowaną stratę, wyrównała.

Przez wszystkie następne lata najstaranniej dbaliśmy o dobry wygląd: najmodniejszą fryzurę, odpowiednie kolory, zimą o wspaniałe zakopiańskie kapce, czyli wysokie buty z białego filcu, na podwójnej podeszwie, ślicznie na palcach potrójną skórką przesywane. Najgorzej to wyglądało w 1943 roku: trzy czwarte warszawianek kłapało wówczas od wiosny do późnej jesieni, elegancko co prawda wyrobionymi, ale jednak drewnianymi podeszwami o uliczne bruki. Ale wtedy narastała szaleńcza moda celofanu. Ani wiem, skąd się wzięły barwne arkusze cieniuteńkiej folii. Ale splatałyśmy z nich paski, robiły torebki, kapelusze – koniecznie z szerokim rondem! – i kolorowe paski do drewnianych, sandałkowych podeszew. Biada tylko było elegantce, która tak wymodniona wybrała się w piękną pogodę na dłuższy spacer: nagły a niespodziewany (choć częsty!) deszcz roztopiał bezlitośnie całą tę papierkową kolorowiznę i nieszczęsnica, z podeszwami drewniaków w garści, człapać musiała wśród ulewy do domu: bez kapelusza, paska, ledwo z resztkami ukrytych w – też przecież celofanowej – torebce rzeczy (torebki miały na ogół podszewkę z normalnego płóciaka!).

A co się jadło? Też, nie według dawnego porzekadła: „Co Bóg dał – a ludzie nie wzięli”. Zatrzęsienie znakomitych barów, restauracji, a nawet poczciwie – ale i uczciwie! – serwowanych obiadów domowych

było ogromne. Walna w tym zasługa naszych, także niedocenionych i niedochwalonych, bab – wiejskich szmuglerek – które jeszcze przed świtem pakowały się ze swymi koszami i torbami do podmiejskich pociągów, ryzykując nie tylko konfiskatą przewożonej słoniny, boczku, mięsa, kiełbas i szynki, ale mnóstwem obrzydliwości – od łapówek i łapanek, aż po zesłanie do obozu koncentracyjnego. Im także, po dziś dzień, nikt nie oddał należnej sprawiedliwości. Że zarabiały? A kto nie chce?! Zresztą, bez popytu nie ma i podaży. Że czasem, z wielu stron, wszystko to się w ohydę zysku za wszelką cenę przeradzało. No... W każdym razie prócz najbardziej znanych lokali, jak Znachor czy U Aktorek, czy – z innej racji znanej i słynnej – Za Kotarą na Mazowieckiej, zjeść można było uczciwie na każdej niemal ulicy.

I tu dogoniło mnie moje dzieciństwo, w jakieś jasne popołudnie spotkałam tuż przed *nur für...* („tylko dla”... Niemców) miłym, dawnym Bristolem na Krakowskim Przedmieściu dość dobrze znanego, zażywnego, łysawego, a niewysokiego pana. – Przepraszam, ale pani chyba na pewno jest córką...? – zagadnął.

Zgadzało się: Hotel Excelsior, Cafe Corso... i już niebawem – a z czasem i z chęcią – co tydzień siadywałam w soboty przy śnieżnobiałym stoliku, na którym niezapomniany pan N. wyczarowywał a to pyszny befsztyk z rumianą cebulką, a to ulubione moje kotleciki cielęce. Wina były zawsze dobre. A za suty poczęstunek nie płaćcałam nic. Przeciwnie – gospodarz odprowadzał mnie aż do wyjściowych drzwi i w podaną na pożegnanie rękę wsuwał pięciusetzłotowy banknot. – Pani już będzie wiedziała, dla kogo, bo cóż ja, restaurator? No, to może do przyszłej soboty. I gdyby coś było trzeba, to ja zawsze...

Trzeba, myślę, że koniecznie trzeba pamiętać o tym, że byli i tacy – tak zwani – zwykli ludzie.

Ale nie wszystkie spotkania z dzieciństwem przebiegały tak radośnie i harmonijnie. W latach późniejszych (widzisz, celowo nie zachowuję wojennej chronologii) zdarzyło się, że miałam piękny pokój z osobnym wejściem od frontu (reszta mieszkańców wędrowała kuchennymi schodami, co miało wówczas spory sens, ale o tym później napiszę) i któregoś popołudnia rozległ się – u tych nieużywanych na ogół frontowych drzwi – dzwonek. Zdziwiona otworzyłam i zamarałam: przede mną, w zielonym mundurze kapitana Wehrmachtu, stał jakże mi dobrze znany Fryc Wegner, wołając najczystszą polszczyzną:

– Nareszcie cię znalazłem! I co z twoim ojcem? No... przecież musimy...

– Panie Fryderyku – wybełkotałam w półprzytomnie – nie mogę pana tutaj przyjąć. A zwłaszcza w mundurze! Rozumie pan?

Zrozumiał. Cofnął się z wyraźnym popłochem, mówiąc, że ma tylko tydzień urlopu, a mieszka u spolonizowanego brata, więc gdybym chciała? Chciałam i owszem. Pojechałam nazajutrz. Fryc, rozumiejąc sytuację, otworzył mi drzwi w cywilnym ubraniu. Pogadaliśmy, choć niewiele z tego pogadania wyniknąć mogło. Cóż, został zmobilizowany, był żołnierzem, oficerem i dokładnie rozumiał (była druga połowa 1943 roku), co się dzieje. Uściskaliśmy się serdecznie na pożegnanie, bo szczerze życzyłam i jemu, i Mariechen, i ich córeczce wszystkiego dobrego, ale odtąd nic więcej o nich się nie dowiedziałam. A może i nie chciałam wiedzieć? Histeryczne wybuchy polskiej szwagierki (której syn, korzystając z niemieckiego nazwiska, był krupierem w gestapowskim kasynie w alei Szucha i, chyba z racji swych wyskoków, do powstania nie dożył) wygnały mnie z zasobnego mieszkania i od suto zastawionego stołu znacznie wcześniej, niżby się to dobremu, spokojnemu i dotychczas w mojej pamięci z najlepszymi wspomnieniami zachowanemu Frycowi podobać mogło. Ale przecież była wojna. Wojna!



Dalej o drobiazgach. Bo właśnie o nich najmniej wiadomo. Na wskroś konspiracyjnie, pod czujnym okiem Helci, od której zresztą sporo się – jak na wojenne czasy – nauczyłam, smażyłam na najprawdziwszej miedzianej, ogromnej patelni wspaniale, ciemne wiśnie tych niezapomnianych lat, kiedy wszystkie pory roku jakby się wzajemnie prześcigały w dochowaniu najlepszych (czy najgorszych) swoich właściwości. Przychodziło do mnie wówczas sporo gości, a gosposia orzekła autorytatywnie: – Co tam panienka ma być stratna! Herbatę się poda, no i racuchy. Mąka jest, jajka też, oleju starczy, tylko drożdży kupić trzeba i już! A konfitury z wiśni przecież już są!

Ba, i „już”! Alboż wiedziałam, ile tych drożdży i, i w ogóle? Z czasem jednak na tym moim piątym piętrze, w zielonym pokoiku coraz gwarniejsza czereda zapychała się pięknie wyrośniętymi racuchami, a gdy dyskusje stawały się z każdą godziną bardziej gorące (a nieubłagana godzina policyjna nadciągała coraz to bliżej) jawiła się obok tej zagrychy jedna, a z czasem druga (a też i następna) ćwiartka powszechnie pijanego bimbru przy akompaniamencie nieodłącznej przyspiewki: „My młodzi – my młodzi / Nam bimber nie zaszkodzi!”, czemu – w późniejszym czasie i na innym miejscu – wtórowali ochoczo starsi, którzy też wskutek godziny policyjnej musieli z nami spędzać calutką noc, aż po wyteśknioną, wolną już szóstą rano – przy tań-



*I tu dogoniło mnie moje  
dzieciństwo, w jakieś jasne  
popołudnie spotkałam tuż  
przed nur für... („tylko  
dla” ... Niemców) miłym,  
dawnym Bristolem na Kra-  
kowskim Przedmieściu dość  
dobrze znanego, zażywne-  
go, łysawego, a niewysokie-  
go pana...*



*I nie namyślając się długo,  
przebiegłam parę ulic  
do pobliskiej 6 Sierpnia,  
gdzie mieścił się  
Kreishauptamt - innymi  
słowy starostwo warszawskie,  
szukające maszynistki,  
znającej język niemiecki.*

cach, kartach albo i jak się zdarzało: „My starzy – my starzy / Nam z bimbrem też do twarzy!”. Piło się – istotnie – potwornie i niemal dzień w dzień. Słusznie: Niemcy tego przecież chcieli. Czyż myśmy nie wiedzieli?

Wiedzieliśmy – i owszem. Do każdej miesięcznej pensji (w każdym razie u nas, u jakby po trochu niezależnych Szwedów) dodawano pół litra wódki z czerwoną kartką. Oczywiście gardziliśmy takim napitkiem, hurtowo go przez jakiegoś pośrednika wymieniając na pieniądzu. Ale bimber to była inna sprawa. Zaczynając od byle jakiej – i też na ogół wzdgardzanej kartoflanki – po rzeczywiście najwspanialej rektyfikowaną buraczankę, piło się to wszystko zachłannie. Dlaczego? Bo zbyt wczesne, a rygorystyczne godziny policyjne unieruchomiły ludzi. Ponadto skazywały ich na często całonocne nasłuchiwanie: czy już zjechał samochód? Już wbiegają na piętra? Wałą do drzwi? Czyich? Wyżej, niżej? A jeżeli nawet zdarzały się spokojne wieczory, wszyscy wiedzieli, że z nastaniem następnego ranka nastanie także – nieunikniona przecież – kolejna walka o życie i przeżycie, więc?

A zresztą – i przede wszystkim – trzymały nas napięte czujnie i nieustannie nerwy i – mocne jeszcze – młode głowy. I po kolejnych ćwiartkach podśpiewywaliśmy nie żadnego tam utrapionego „górala”, co to mu nie żal, ani inny *Czerwony pas*, tylko znacznie mniej przystojne pioseneczki, jak choćby:

*Zielony kapelusik –  
Piórko czerwone –  
Oj diri-diri-oj diri-oj diri da!  
Jak se znajdziesz dziewczynę  
Weź ją za żonę –  
Oj diri-diri... etc.  
Zielony kapelusik –  
Z czerwonym piórkiem –  
Oj diri-diri...  
Jak nie chce cię dziewczyna –  
Zawiąż se sznurkiem!  
Oj diri-diri... etc. – da!*

Młodzi byliśmy przecież. Nie chcieliśmy – nie mogli – z życia rezygnować. A na – przypadkowych często – całonocnych spotkaniach, byli nie tylko bracia koleżanek, ale też koledzy owych braci, byli ponadto – dotychczas w przelicznych opisach tych lat jakoś na nich nie

natrafiłam – panowie bez obrączek, czyli ludzie tak głęboko tkwiący w konspiracji, że chcieli – i musieli – pozostać w całkowitym oderwaniu od rodzin, żeby ich – w razie wpadki – nie narażać. I były też młode, przystojne, albo i mniej, dziewczyny: łączniczki, kolporterki, te z nasłuchu itd. I wszyscy chcieliśmy żyć, wiedząc przy tym jak bardzo i w każdej chwili nasze życie jest zagrożone. Tworzyły się, były ze sobą krócej lub dłużej, pary. Coraz częstsze były, zwłaszcza wśród bardzo młodych, śluby. Niepisany kodeks naszych roczników skrupulatnie przestrzegał swoistej wierności – nie tolerowano zdrad i zwłaszcza zbyt lekkomyślne dziewczyny (bo chłopcy – słusznie zresztą – uchodzili za bardziej narażonych) darzono pogardliwym przydomkiem przelotnica – co wówczas miało jednoznaczną, i w towarzyskich skutkach dotkliwie przykrą, wymowę. Było jakoś – mimo wszystko, czy może dlatego właśnie – nie tylko swojsko, ale i czysto. Tak wtedy było.

A śpiewaliśmy sobie – w pełni świadomi współczesnych dni i naszej w nich konieczności bycia – zaktualizowaną, choć dawną śpiewkę:

*Upływa szybko życie  
Jak potok płynie czas.  
Za rok, za dzień za chwilę  
WCALE nie będzie nas!*



*Spadła łyżka z półki  
Łupnęła kucharkę w łeb!*

albo – co gorsze:

*Spod czeskich STRZech  
Szło Czechów TRZech  
jeden z nich w polu ZCZEł  
Drugiego w boru ZAGRYZŁ bies –  
TRZEci tylko z Czechów TRZech  
Wrócił zdrów do czeskich STRZech!*

Te i inne figliki dykcyjne powtarzam sobie z wielkim przekonaniem. Zakonnica nie będę, ale może aktorką? Bo oto całkiem przypadkowo namówiono mnie na bezpłatne, indywidualne lekcje u pani Janny Adwentowiczowej, byłej żony Karola Adwentowicza. Wkrótce

orientuję się, o co chodzi: te lekcje są DLA NIEJ, żeby doszła do jakiej takiej przytomności po stracie jedyne go syna, którego – chyba bomba? – zabiła w 1939 roku. W wielkim, mrocznym mieszkaniu cały pokój jest mu poświęcony: na stole, obok wielkiej fotografii i stale zmieniających kwiatów, stoją jego buty, leży ubranie, jakieś notatki, książki... Pani Janina jest – piękną niegdyś – była aktorką o wielkich, szarych oczach i szczerym umiłowaniu teatru. Ale mimo najlepszych chęci, wytrwale odrabianych dykcijek, na których, niestety, kładę się beznadziejnie moim rulowanym i już ni rusz wykorzeni ć się niedającym „r”, a także – mniej lub bardziej udanie improwizowanych scen oraz etiud – niebawem okazuje się, że aktorką zostać nie mogę! I tak zwane warunki, czyli dość toporna figura, nie najlepsze nogi, mało ruchliwa – zbyt przy tym wielkopłaszczynowa – twarz plus dziwacznie skośne oczy („Chińczyk na odwyrtkę”!) też mi nie pomogą! Ha, trudno! Wobec tego bierzemy się, jak nieomal podówczas wszyscy, do handlu!

Pierwsze próby handlowe – to mydło. Produkuje je niejaki pan Karol, a poszukiwane jest bardzo z racji owego kartkowego, o którym Ci już pisałam. Co i rusz wspinam się więc na wysokie piętro, z dala już zionące przeraźliwym smrodem niezbędnego w tej produkcji łoju baraniego z dodatkiem kalafonii. Mydła są spore: toaletowe – piękne, różowe, żółte, białe – tudzież słupki do golenia i czteroczęściowe rygle do prania. Domokrażę z nimi wiernie i przez wiele, wiele tygodni (to wszystko w okresie wielkiej biedy, czyli walenia w prastarego underwooda na 6 Sierpnia), ale w rezultacie skrupulatnych handlowych obliczeń wychodzę na tym jak przysłowiowy Zabłocki na mydle i nawet już dobrze i bezpiecznie zainstalowana u Szwedów spłacać jeszcze muszę narosłe z tej racji, a wcale niemałe, długi!

Iluz to się ja fachów w tym krótkim czasie miałam! Dość lukratywna była, na samym początku, praca szklarza, bo okien do podkitowania nie brakło, a rękę miałam pewną i diamentem przycinałam szklane tafle nieomylnie do żądanych wymiarów. Później było konieczne, choć fatalnie opłacane, uczestnictwo w wydawaniu bezpłatnych zup wygłodzonym dzieciakom gdzieś na Powiślu. Z kolei, dobrze już byłam wykształcona w wojennym kucharzeniu (na pociechę czytywało się przepisy z *365 obiadów* Ćwierciakiewiczowej albo – niezapomniane! – wspaniałości, zalecane w kolejnych numerach „Bluszczu” – bo i jego roczniki ocalały jakimś cudem w przepastnych szafach czy piwnicach różnych babć i cioć!), umiałam nie tylko upiec ciemny i aromatyczny piernik z marchwi albo z suszonych skórek jabłkowych sporządzać wcale smaczną herbatę, ale fabrykowałam – co prawda tylko zi-



mą – znakomite kartofelki marcepanowe z najzwyklejszych kartofli z dodatkiem cukru, odpowiednich migdałowych olejków do ciasta i – wcale wówczas nie tak trudnego do zdobycia – kakao, w którym wyrobione kulki trzeba było dokładnie obtoczyć. Dochodzić, czyli zastygać w sztywną masę musiały już za oknem, a że o lodówce ani się komu śniło, był to towar wybitnie sezonowy!

Z biegiem lat wykształciłam się i w dorabianiu. Hitlerowcy mieli fatalny zwyczaj grożenia, bodaj i za kichnięcie w – ich zdaniem – nieodpowiedniej chwili, karą śmierci. Otóż gdy tak zagrożone było całe, powszednie życie – przestaliśmy na to zważać! Hala targowa na Koszykach – a zresztą i gdzie indziej – pękała od świeżutkich warzyw, owoców i innych, pońętnych towarów. Dziś jeszcze widzę młodych żołnierzy niemieckich łakomie schylonych nad wyłożonymi zawsze czyściutką, śnieżnobiałą ściereczką koszykami handlarek, które przy placu Zbawiciela oferowały rumiane, chrupkie paryskie bułki.

A ja się wzięłam za samodział. Tu sprawa była trudniejsza, bo warsztaty lokowano pod Warszawą i o wełnę też nie było łatwo. Ale zarabiał się znakomicie, a szczególnie procenty dodawane w towarze bardzo nas wspomagały: a to półkuponik na spódniczkę, a to piękny kupon lawendowej wełenki, z której zdążyłam sobie uszyć sukienkę z najmodniejszymi podówczas, latającymi – bo tylko i do paska przyszytymi, i w środku nadto przeciętymi – kieszeniami. Co tchu rzuciłam wówczas kelnerowanie w ogródkowej, podmiejskiej knajpce – też wprawdzie nieźle płatne, ale połączone ze słoniową opuchlizną ubieganych nóg i martwiejącymi, od noszenia przeładowanych talerzy, rękami – i wreszcie mogłam się poważnie zabrać do właściwej swojej pracy. Wtedy bowiem, nareszcie, znalazłam się na studiach, a tego właśnie najbardziej chciałam.

Głupi okupant – murując zwłaszcza nas, młodych, w domu – nie dostrzegał drugiej strony tego przymusu: okazało się raptem, że prawie każdy ma wskutek godziny policyjnej mnóstwo czasu! I ludzie, zwłaszcza młodzi, ale też rodzice dzieci, którym by może w dwudziestoleciu tego poskąpili, runęli do nauki. Powszechnie szkółki były: czytaty-pisaty-rachowaty, więcej dla podludzi nie przewidziano. I przyszły czytelniku zważ: J.P. Sartre z niewoli wojennej niemieckiej wrócił do Paryża na dawną posadę profesora liceum, a w Danii, a w Belgii, a...

Pięknie. Tyle że pozbawiona, oficjalnie, nawet szkół średnich Warszawa, miała ich zatrzęsienie. Nie tylko ze znakomitymi na ogół nauczycielami, ale przede wszystkim aż się z chęci nauki gotującą młodzieżą (no i, w dodatku, jednak konspiracją!). Rodzice też byli chętni

niejsi: „bo co się tam dzieciak ma po ulicy obijać, a niech się pouczy!”. U Wawelberga, że to niby takie półtechnikum, kwitła Politechnika (nie tylko tam zresztą, bo porozdzielano wydziały), medycyna prosperowała przy różnie przezywanych kursach sanitarno-pielęgniarskich i szpitalach. A zapominać też nie należy, że w tych okrutnych, ponurych latach mieliśmy i paradoks dość radosny: dwa uniwersytety w jednym mieście, bo prócz naszego – warszawskiego, pojawił się, wygnany ze swego miejsca, ale niezwykle sprawny organizacyjnie i wcale niegorzej na warszawskim bruku prosperujący, uniwersytet poznański. A szkoły teatralne były też. I nie tylko one!



*Gaudeamus igitur  
Juvenes dum sumus –  
Post iucundam iuventutem  
Post molestam senectutem  
Nos habebit hu-u-mus!...*

Katakumbowym raczej mručeniem niż normalnym, pełnym śpiewem witaliśmy nasz rok akademicki. Ale najważniejsze, że był! I rozpoczął się jak należy – w Duszpasterstwie Akademickim, czyli w kaplicy Dominikanów (nie złożę dziś sensownie, chyba gdzieś koło Traugutta). Tedy jednak *gaudeamus*, mimo iż przy lada wpadce nie tylko nas, ale i profesorów, asystentów etc. niechybnie czeka więzienie i obóz koncentracyjny. Ale my doprawdy chcemy się uczyć i jak się okazuje – słusznie – niegłupi ludzie i dobre książki pomagają nam od koszmaru codzienności przynajmniej odetchnąć. A prócz tego jest jeszcze coś: w ten właśnie sposób nie tylko sobie budujemy zaplecze, skończy się wojna, potrzebni będą ludzie z takim czy owym, ale jednak fundamentalnie naukowym pomysłem. Trzeba, trzeba, trzeba pracować!

W życiu nie przebrnęlibyśmy przez labiryntowe zawilości scs-u, czyli starocerkiewnosłowiańszczyzny, gdyby nie profesor Słoński. Drobny, elegancki, cichutko mówiący, niewielkimi znaczkami kredą zapisujący równie nieduże, łupkowe tabliczki, a przecież jakże przystępnie wiodący nas przez przerażające początkowo gąszcz wszelkich jerów i jatów.

Był z tych całkiem się niebojących: przyjmował nasze studenckie grupki – 6-, 8- albo i 10-osobowe we własnym gabinecie przy ulicy Li-

tewskiej, którego ściany aż po sufit zastawione były książkami, pograżał nas w ogromnych, skórzanych klubach, czyli fotelach i takież kanapie (z racji tych rozmiarów świetnie nadawały się w czasie kolokwiów do podpowiadania!), i potrafił tak nas zarazić swym najszerszym zachwytem dla zabytków mowy polskiej, że i dziś nawet, po bez mała półwieczu, pozostał mi w pamięci jego miły, spokojny głos, sławiący wartości *Biblii Szarospatackiej* czy *Kazań Świętokrzyskich*.

Wielu ówczesnych naszych mentorów już nie pamiętam. Innych pamiętać nie chcę, bo nie warto. Ale po wielu dziesiątkach lat nie przyłączyłabym się do biadań na przykład Tadeusza Kwiatkowskiego, że byle jakie były te studia, że brakło nam kolokwiów, książek, pracowni. Sam fakt, że studia istniały i że – bardzo tego chcąc – mogliśmy je robić inaczej, oddziaływał na nasze życie, a te czy owe mankamenty wcale nie przeszkadzały wielu, bardzo wielu z nas, z pożytkiem – może nie tylko dla siebie – rzetelnie je ukończyć...



Najbliższemu komunyoni  
dobrych, dobrych dni -  
Manga  
23. V. 1943.  
Warszawa - wojna



## Fotografie pamięci

Wielkim walorem książki Marii Kureckiej są przede wszystkim jej zalety kronikarskie. Autorka zresztą nieraz powołuje się na swój podstawowy zamiar: dochowania kronikarskiej ścisłości. Pamięć ma rzeczywiście fenomenalną. Rzadko zdarza się czytać tak dokładne, tak szczegółowe opisy rzeczy, miejsc, sytuacji, zachowań ludzkich, niepozabawione przecież artystycznej miary i konstrukcji.

Delikatnie, czule wobec ludzi najbliższych, matki i ojca, zarysowany pamiętnik czasów dzieciństwa i młodości łączy się tutaj z nieustępliwym pragnieniem oddania w sposób najbardziej precyzyjny barwy czasu, w którym przyszło autorce żyć. Na ostatnich stronach tej, zresztą niedokończonych, książki czujemy dramatyczną, narastającą obawę autorki, że nie zdąży dać świadectwa swemu życiu.

Następny powód, dla którego warto tę książkę przeczytać, stanowią dwa rozległe obrazy miast, jakie przedstawiła w swoim panoramicznym oglądzie. Pierwsze z nich to Gdańsk w czasach przed drugą wojną, drugie to Warszawa w pierwszych latach wojny. Wspominając Gdańsk jako Miasto i tak je nazywając, Kurecka czyni z niego – podobnie jak Grass – model świata. Ale przytaczając w pewnym momencie dzieła „krajana” - *Błaszany bębenek* i *Turbota* – podkreśla jednocześnie odmiennność swego zamiaru twórczego. Ona bowiem nie pisze „barokowej” iluzjonistycznej powieści, lecz wywołuje fotografie pamięci, których wartość jest nieprzepełniona. Dowiadujemy się o takich szczegółach wystroju gdańskich ulic, umeblowaniu gdańskich miesz-

kań, sposobie bycia gdańskich obywateli, o jakich nam się nie śniło. Zmysłowa wyobraźnia Kureckiej pozwala uczestniczyć w życiu gdańskiej ulicy, zamieszkać we wnętrzu gdańskiego domu, smakować gdańskie jedzenie i bawić się na dominikańskim jarmarku. Przebija w tym wszystkim radość twórcy, który panuje nad nieprzebraną obfitością szczegółów i uwielbia Miasto, bogate i wyrafinowane, które pozwoliło mu się zanurzyć w swej skomplikowanej wszechstronności.

Inaczej oczywiście przedstawia się wojenna Warszawa. Ale i tutaj zamiar Kureckiej jest zupełnie niekonwencjonalny. Zdaje sobie ona sprawę z tego, że napisano już wiele o heroicznej Warszawie pod okupacją w poetyce romantycznej: tyrtejskiej i martyrologicznej. Chce więc spojrzeć swym trzeźwym okiem Gdańszczanki na zwyczajność uciemiężonego miasta i bardzo dobrze jej się to udaje. Nie zapominając o „ideałach”, pisze o „rzeczywistości”, odnotowanej dokładnie, bez uniesień i deklaracji w odniesieniu do męczącej (ale nie przedstawionej w sposób męczeński) ponurej codzienności.

Trzecim wreszcie powodem, który przyświeca mojej rekomendacji, jest ukazane w tej książce kształtowanie się wczesnych zamiłowań i sprawności lingwistycznych autorki. Pierwsze zdanie tego pamiętnika to zapis fonetyczny inwokacji łacińskiej i modlitwy francuskiej, wypowiedzianych w rygorystycznej szkole przyklasztornej. Autorka nie omieszka przypomnieć, że posługiwano się tutaj metodami okrutnej tresury i że została ona już opisana przez Joyce'a w *Portrecie artysty z czasów młodości*. Kurecka dokładnie przedstawia przebieg edukacji w gimnazjum międzywojennym. Jej młodzieńcza fascynacja łaciną zaowocowała debiutem w słynnym „Filomacie”, czytowanym przez całą niemal przedwojenną młodzież maturalną. Nie wspominam już oczywiście o języku niemieckim i przedstawianym nieraz deformującym użytku, jaki czynili z niego hitlerowcy. O wszystkim tym się pamięta, czytając ten utwór, gdyż autorka będzie w przyszłości świetną tłumaczką na polski ważnych dzieł literatury niemieckiej, w tym takiego arcydzieła, jak *Doktor Faustus* Tomasza Manna. Skomplikowany pod względem składni i zmieniających się realiów język i rytm tego tłumaczenia wpłynęły również na prozę polską, na przykład Jerzego Andrzejewskiego. Wielojęzyczne i wielowarstwowe w sensie kulturowym miasto Gdańsk miało swój istotny udział w uformowaniu tak znakomitej tłumaczki, jak Maria Kurecka.

Maria Janion



Dla Marii Kureckiej to miała być książka życia. Po śmierci męża, poety Witolda Wirpszy w 1985 roku, została sama w przestronnym mieszkaniu przy Alt-Moabit-Strasse 21/22 w Berlinie Zachodnim. Ponadto dowiedziała się wówczas, że i na nią wyrok już zapadł, że zmuszona jest toczyć walkę z zawsze wygrywającym rakiem.

Postanowiła ocalić, przypomnieć swoje, jakże ciekawe i bogate, życie. Ocalić dla siebie, dla dzieci (jej synem jest eseista i poeta Leszek Szaruga) i przyjaciół. Swoje życie zapisywała drobnymi literami w zwykłym zeszycie. Często czytała fragmenty powstającej książki, szczególnie te gdańskie, odwiedzającym ją przyjaciółom. Te swoiste wieczory autorskie dodawały jej sił, by walczyć z postępującą chorobą, pisać dalej. Nie zdążyła. Zmarła w styczniu 1989 roku, napisała tylko część pierwszą i początek drugiej zamierzonej książki.

Czym miała być owa książka. Przede wszystkim miała nosić tytuł *UFO, czyli mój jedyny garnek*. I miała składać się z trzech części.

1. Wspomnienie o dzieciństwie i młodości w Wolnym Mieście Gdańsku i edukacji w liceum zakonnym w Szymanowie pod Warszawą. Opowieść o wchodzeniu w życie, w świat pełen, mimo wielu niedoskonałości, ładu.
2. Opowieści o okupacyjnej Warszawie w formie listów do późniejszego męża, który wojnę spędził w oflagu (Witold Wirpsza pojawia się również i w pierwszej części książki, jako Fil, towarzysz dziecięcych zabaw autorki). To z kolei opowieść o świecie w chaosie i rozpadzie.
3. Opis życia w PRL do 1970 roku. Opis o tyle ciekawy, że autorka, zawsze sceptyczna wobec systemu komunistycznego, była zarazem żoną Witolda Wirpszy – poety w początkach dość poważnie zaangażowanego w socrealizm. To z kolei miała być opowieść o świecie zdegenerowanym.

Książka miała kończyć się sceną, w której Kurecka i Wirpsza wysiadają z pociągu i stawiają swoje walizki na peronie dworca w Wiedniu. Był rok 1970, oboje wiedzieli, że nigdy już nie zobaczą Polski.

*Antoni Pawlak*



## **Spis fotografii:**

- str. 11 *Widok Gdańska z ulicy 3 Maja. 1919, „Był sobie Gdańsk”.*
- str. 12 *Maria Kurecka – zdjęcie z dzieciństwa. Archiwum rodzinne.*
- str. 27 *Kaszubski Targ, dalej – za skrzyżowaniem z ulicą Rajską – ulica Gnilna. Fot. Witold Kledzik, 1935, Zbiory BG PAN.*
- str. 28 *Autorka z matką, która zmarła, gdy Maria Kurecka miała osiem lat. Archiwum rodzinne.*
- str. 43 *Hotel Continental i kamienice wschodniej pierzei Podwala Grodzkiego. Ok. 1908, Zbiory BG PAN.*
- str. 44 *Teatr na Targu Węglowym. Zbiory prywatne.*
- str. 51 *Widok z Bastionu św. Elżbiety na kościół św. Józefa i domy przy ulicy Garncarskiej. Ok. 1870, Zbiory BG PAN.*
- str. 52 *„Zgodą małe państwa wzrastają, niezgodą duże upadają” – głosi inskrypcja na Złotej Bramie. Widok od ulicy Długiej. Fot. Wiliam Franklin, „Był sobie Gdańsk, Kwartalnik nr 6”.*
- str. 63 *Długi Targ – widok spod Zielonej Bramy. 1915-1920, Zbiory BG PAN.*
- str. 64 *Fontanna Neptuna na Długim Targu. Zbiory prywatne.*
- str. 75 *Dłgie Pobrzeże. Zbiory prywatne.*
- str. 76 *Przeładunek worków ze zbożem z barki przy Wyspie Spichrzów. W tle Żuraw. Ok. 1938-1939, Zbiory BN PAN.*
- str. 87 *Babcia Amalia z ulicy Pietruszkowej. Archiwum rodzinne.*
- str. 88 *Sklep kolonialny przy ulicy Pietruszkowej, nieopodal Bramy Straganiarskiej. Ok. 1910, Zbiory BG PAN.*
- str. 99 *Plaża na Stogach. Ok. 1930, Zbiory AP Gdańsk.*
- str. 100 *O wielką limuzynę ojca opiera się uśmiechnięta Nelly – 1936 r. Archiwum rodzinne.*
- str. 109 *Targ rybny na Rybackim Pobrzeżu. Ok. 1910, Zbiory BG PAN.*
- str. 110 *Hala targowa – widok od strony Podwala Staromiejskiego. Ok. 1910, Zbiory BG PAN.*
- str. 121 *Kościół NPM. Zbiory prywatne*
- str. 122 *Klasztor i Liceum Sióstr Niepokalanek w Szymanowie – dawny pałac Lubomirskich (koniec XIX w.) – widok od frontu. Zbiory prywatne.*



- str. 131 *Placyk przed domem towarowym Braci Jabłkowskich. „Warszawa na starej fotografii”*, Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne, Warszawa 1960.
- str. 132 *Długi Targ w oczekiwaniu na przyjazd ministra Goebbelsa – wrzesień 1939 r.* AP Gdańsk.
- str. 143 *Dworzec Główny – widok z Podwala Grodzkiego.* Ok. 1904, Zbiory BG PAN.
- str. 144 *Nelly.* Archiwum rodzinne.
- str. 159 *Szkunery na Starej Motławie przy spichrzach – widok z Zielonego Mostu.* Ok. 1930, Zbiory BG PAN.
- str. 160 *Grosse Allee (Wielka Aleja).* Ok. 1926, Zbiory prywatne.
- str. 167 *Aleje Jerozolimskie – widok na gmach Banku Gospodarczego. „Warszawa na starej fotografii”*, Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne, Warszawa 1960.
- str. 168 *Księgarnia i skład Gebethnera i Wolffa na Krakowskim Przedmieściu, 1933. „Warszawa na starej fotografii”*, Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne, Warszawa 1960.
- str. 185 *Willa (obecnie już nieistniejąca) na ulicy Parkowej – najprawdopodobniej należała do ojca Autorki.* 1911, Zbiory BG PAN.
- str. 186 *Kasino-Hotel przy sopockim mołu.* 1936, „Die Möwie”.
- str. 190 *Ojciec w ogrodzie botanicznym w Oliwie – 1937 r.* Archiwum rodzinne.
- str. 199 *Maria Kurecka z ojcem na spacerze w Karlsbadzie w przededniu wybuchu wojny.* Archiwum rodzinne.
- str. 200 *Hitler w Gdańsku na ulicy Długiej 19 września 1939 r.* Foto Sönke, Zbiory prywatne.
- str. 205 *Dworzec Anhalter Bahnhof w Berlinie.* Zbiory prywatne.
- str. 206 *Berlin - Friedrich Str.* Zbiory prywatne.
- str. 227 *Krakowskie Przedmieście z hotelem Bristol.* E. Borecka, „Portret Warszawy lat międzywojennych”, Wydawnictwo Arkady, Warszawa 1974.
- str. 228 *Ulica 6 Sierpnia w Warszawie. „Warszawa na starej fotografii”*, Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne, Warszawa 1960.
- str. 234 *Tę fotografię Maria Kurecka wysłała do oflagu przysłemu mężowi - Witoldowi Wirpszy.* Archiwum rodzinne.